



Susanne Fröhlich



***Punkty
za wierność***

1

Cała, calutka karta jest wypełniona małymi niebiesko-białymi naklejkami. Co za uczucie! Widok, że aż serce rośnie. Wreszcie! Po miesiącach mozolnego zbierania i pełnego zapachu naklejania nadeszła ta wyczekiwana chwila! Ze szczelnie wypełnioną kartką w rękę czuję się niczym prymuska przed swoją ulubioną panią nauczycielką. Tak, na mnie można polegać! Jestem lojalną osobą. Wiernym klientem. Aż dziw bierze, że stacja benzynowa nie przygotowała z tej okazji fajerwerków ani nawet małych fanfar na moją cześć.

Teraz pani przy kasie wręczy mi zasłużony prezent za wzorowe zachowanie. A jakże!

Chciałam pulsomierz, a tymczasem dostaję plecak na piknik. Coś, czego tak naprawdę nikt nie potrzebuje. I do tego jeszcze czarno-żółty! Co ci fachowcy od programów lojalnościowych na stacjach benzynowych właściwie sobie wyobrażają? Czy ja jestem może krewną pszczołki Mai albo członkinią fanklubu Borussii Dortmund? Niestety, punkty za wierność można zrealizować jedynie tam, skąd się je ma. I to jest właśnie podstawowy problem. Ale byłoby wspaniale, gdyby z punktami ze stacji benzynowej można było pójść do Diora i tam zaszaleć! Albo w sklepie Hermesa. Czy przynajmniej w H&M. Ale trudno, tak się nie da.

Z małżeństwem sytuacja wygląda poniekąd tak samo jak ze stacją benzynową. Najpierw człowiek jest oczarowany nieprawdopodobnie szeroką ofertą, dostępną w dodatku całą dobę. Ale im częściej się jej przygląda, im lepiej zna asortyment, tym szybciej następuje moment otrzeźwienia. Wiele nie znaczy wszystko. W końcu nawet najbogatsza oferta stanie się kiedyś nudna, a tego, czego pragniemy, i tak nie znajdziemy. A może ochota na coś szczególnego pojawia się właśnie dlatego, że wiemy, iż tej wymarzonej rzeczy stacja nie ma? Czy z małżeństwem nie jest dokładnie tak samo? Czy rzeczy nieosiągalne nie stają się przedmiotem pożądania tylko dlatego, że partner nie ma ich, by tak rzec, w ofercie i - co gorsze - nigdy nie miał?

Jest wiele rodzajów stacji benzynowych. Tak samo jak małżonków. Są wysokie, rozmiarami przypominające wielkie hipermarkety, albo takie małe, zagracone, które wyglądają wciąż jak przed laty - przy źle oświetlonych lokalnych drogach, bez świeżych bułeczek i czarodziejskich maszyn do przyrządzania cappuccino, ale za to z pożywką dla kierowców wielkich ciężarówek: świerszczykami typu „Dziewczynki w Akcji” i papierosami. W osta-

teczności wyposażenie stacji nie ma żadnego znaczenia. Bo ktoś, kto ogląda się za takim świerszczykiem, nie zadowoli się jakimś tam cappuccino. Każda oferta jest ograniczona, obojętne, jak bogata wydaje się na początku. Jak przekłada się to na małżeństwo? Nie ma wyjątków, nie może zdarzyć się coś nieoczekiwanego? Prawdopodobnie nie. W końcu stacja benzynowa to stacja benzynowa, a mąż to mąż. Tu nie pomoże ani program lojalnościowy, ani kartka do zbierania punkcików - ile wart jest dla kogoś plecak na piknik, jeśli ten ktoś wcale go nie potrzebuje?

Czy musimy pogodzić się z tym, że nie możemy mieć tego, czego pragniemy? A jak to właściwie jest z moją osobistą stacją benzynową? Moim mężem?

Jest, jaki jest. To dobrze i źle. Dobrze, bo przyjemnie wiedzieć, czego można się spodziewać. Jak zareaguje, co zrobi w następnych paru sekundach. Czyli przewidywalny. Źle, bo odpada wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z niespodzianką. Tam, gdzie brak spontaniczności, bardzo szybko wkrada się wielka paraliżująca nuda. Nie do powstrzymania niczym lawa. A im więcej nudy, tym bardziej pożądana staje się odmiana i każda miła niespodzianka.

Jednak ani mężczyzna, ani stacja benzynowa to nie koncert życzeń. Tak samo jak życie. Nigdy nie znosiłam tego powiedzenia, ale trzeba przyznać, że coś w nim jest. Amerykanie mawiają: *What you see is what you get*, i nie myślą się. Jak to rozumieć? Oczy szeroko otwarte przy polowaniu na mężczyznę?

- Albo może pani dostać ten szlafrok, jeśli dopłaci pani trzynaście dziewięćdziesiąt dziewięć - oferuje mi sprzedawczyni.

Chyba zauważyła, jak bardzo jestem rozczarowana. Bo ja przecież mam już jeden szlafrok, którego i tak wcale nie noszę. Tym samym moje zapotrzebowanie w tym względzie jest całkowicie zaspokojone. Zresztą szlafroki nie nadają się na obiekt pożądania. Butów, spodni czy biżuterii nigdy nie za dużo, ale płaszcze kąpielowe do tej kategorii nie należą. Komu można by pokazać się w takim frotowym szlafroku? Oczywiście, mogłabym wziąć go dla mego męża Christopha. Tu zapotrzebowanie jest ogromne. Jego szlafrok wręcz wzbudza litość. Myślę, że to prezent z okazji matury. A może nawet komunii? Kiedyś był biały, teraz wyraźnie poszarzał. Ten, kto ma go na sobie, sprawia wrażenie chorego na wyjątkowo paskudną grypę żołądkową. Poza tym szlafrok jest dla męża trochę za mały. Christoph gwałtownie zaprzecza, jakoby jego figura zmieniła się od czasów matury, co oznacza,

że wszystkiemu jestem winna ja i to, że rzekomo nie potrafię właściwie prać jego garderoby. Tymczasem materiał jest już tak sfatygowany, że boję się nawet dotknąć tego szlafroka, nie mówiąc o praniu. W każdej chwili mogą zostać z niego same strzępy.

Mogłabym więc być miła i dopłacić te trzynaście dziewięćdziesiąt dziewięć euro. Mogłabym. Z drugiej strony, to ja od miesiący zbierałam punkty za wierność stacji benzynowej i w pełni zasłużyłam sobie na tę premię. Czy jestem Matką Teresą od punktów bonusowych? Czy za ten poryw dobroci i bezinteresowności dostanę dodatkowe punkty? Założę klub dobroczynny pod patronatem stacji? Nie, z pewnością nie. A przede wszystkim dlatego, że w ostatnim czasie mój mąż nie zasłużył sobie na żadną nagrodę. Ale to już inny temat. Szczerze mówiąc, nic wesołego. Niech więc sobie Christoph jeszcze długo biega w tym swoim zapyziałym szlafroczku niczym z młodszego brata!

Decyduję się na czarno-żółty plecak. Guciu, twoja urocza pszczołka Maja już przybywa! Nie zbierałam przecież tych punktów, aby zostać teraz z pustymi rękoma. Doprawdy, polowanie może być bardziej zajmujące niż sama zdobycz - tego właśnie uczę się teraz przy kasie. Filozoficzna mądrość wyniesiona ze stacji benzynowej. Mimo wszystko zasłużyłam sobie na ten plecak. Albo, inaczej mówiąc, zatankowałam go razem z benzyną.

Zostawię plecak w samochodzie i będę w nim wozić wszelkie potrzebne utensylia. Na przykład w razie silnego ataku głodu będę mogła zjeść hamburgera jak należy, na plastikowym talerzyku. A gdy na drodze zdarzy się korek, mogę udawać najlepiej w świecie zorganizowaną panią domu: kierowcy w samochodzie przede mną podam widelczyk, a jeśli dzieci będą chciały zajadać coś w aucie, to proszę bardzo, ale na talerzyku! Dobra gospodyni jest przygotowana na każdą okoliczność!

Dzwoni Christoph. Tak na marginesie, pierwszy raz tego dnia. Dawno temu, kiedy się poznaliśmy, dzwonił niemal co godzinę. Czasami, żeby mi tylko powiedzieć, jak szaleńczo jest zakochany. We mnie! Albo jak bardzo za mną tęskni. Ale te czasy już minęły. Teraz, kiedy dzwoni, chodzi najczęściej o sprawy logistyczne. Kto, kiedy, kogo odbiera i temu podobne. Czego chce tym razem? Spontanicznie zaprosić mnie na romantyczną kolację czy może powiedzieć mi, że jestem najwspanialszą kobietą na świecie? Nic z tych rzeczy.

- Wrócę trochę później. Michels i ja musimy jeszcze omówić parę spraw - mówi mój mąż.

Znowu ta głupia Michels! Ostatnio tak często słyszę jej imię, że ta kobieta niedługo stanie się chyba członkiem naszej rodziny. Co on znowu musi omawiać z panną Michels, hm? Z tą seksbombą kancelarii?! Ona jest jak nowa uniwersalna broń masowego rażenia: niesamowicie inteligentna, po egzaminie z pierwszą lokatą, a do tego diablo ładna. Nigdy jej nie widziałam, ale kiedy pewnego razu zapytałam, jak wygląda Michels, mój mąż odpowiedział: „Mniej więcej jak Angelina Jolie, ta od Brada Pitta”. Pani Michels, lub Michelle, jak nazywa ją mój małżonek, pochodzi z Kanady. Mówi płynnie po francusku, angielsku, oczywiście także po niemiecku, i wywodzi się z zamożnej rodziny. Nie znam jej i tak naprawdę wcale nie mam ochoty jej poznać. Już teraz działa mi na nerwy, chociaż nie zamieniłam z nią ani słowa. Uważam, że kiedy perfekcja osiąga zbyt wysoki poziom, na podziw nie ma już miejsca. Ludzie, przecież wszystko powinno się mieścić w granicach możliwości normalnego człowieka! Gdyby jeszcze miała, na przykład, jakąś paskudną wadę wymowy, lekkiego zezą albo chociaż krzywe nogi czy aparat na zębach, wtedy mogłabym ewentualnie przymknąć oko. Szczerze mówiąc, najbardziej odpowiadałaby mi zajęcza wargą. A tak mogę ją tylko nienawidzić. Pomimo to, albo właśnie dlatego, słuchając wyjaśnień męża przez telefon, zachowuję obojętność i bez emocji życzę mu udanej rozmowy. Można być zazdrosną, ale w miarę możliwości nie należy się z tym zdradzać. „Zazdrość świadczy o niskim poczuciu własnej wartości”, twierdzi mój mąż i dlatego nie mam zamiaru się kompromitować. Ale ta cała pani Michels działa na mnie deprymująco.

- Może pójdziemy jeszcze coś zjeść, więc nie musisz na mnie czekać - bąka mój mąż w słuchawkę i szybko się żegna.

Szkoda. Z przyjemnością zaproponowałabym mu plecaczek z wyposażeniem na miły piknik, żeby od tej chwili zawsze, kiedy będzie miał ochotę, mógł jeść z panią Michels w zaciszu kancelarii - z Belle Michelle, jak mówią o niej za plecami koleżdy z pracy. Takie kobiety należałoby wysyłać na księżyc. Osłabiają morale tych, które muszą tak jak ja codziennie odrabiać swoją pańszczyznę (dzieci, kuchnia itd.) - czyli większości kobiet.

Dobrze, że w przyływie szczodrości nie wzięłam dla mojego męża tego szlafroka. Chociaż, gdyby chciał istotnie udać się z Belle Michelle do sauny (żeby, na przykład, omówić to i owo), raczej nie powinien zakładać na grzbiet tego domowego wytarciucha.

Mój plecaczek na piknik i ja jedziemy do domu. To będzie dopiero wspaniały wieczór! Christoph z Belle Michelle przy kolacji w przytulnej restauracyjce, a ja z dwojgiem dzieci, które wołają jeść, muszą zostać wykąpane i na sto procent pokłóć się ze sobą.

Odbieram dzieciaki od ich kolegów i już się cieszę na pojutrze.

Pojutrze idę do urzędu pracy, a raczej do biura doradztwa personalnego. Chcę wreszcie znaleźć sobie znowu jakąś robotę. Dzieci, jak to się mówi, odchowane już z najgorszego, więc ja też chcę mieć szansę zmienić się w taką Belle Michelle. Chociaż Belle Andrea brzmi zdecydowanie mniej atrakcyjnie i jakoś tak cholernie głupawo. Ale konieczność wieczornego omawiania niecierpiących zwłoki spraw z kolegą z pracy (który zupełnie przypadkowo wyglądałby jota w jotę jak Brad Pitt!!) brzmi dość kusząco. Nie żebym pałała chęcią zemsty, byłoby jednak wspaniale móc rzucić Christophowi do słuchawki: „Nie czekaj na mnie, bo muszę jeszcze wyjaśnić kilka spraw dotyczących firmy z boskim Bradem!”. Czyż nie byłoby pięknie!

Jestem ciekawa, co te pierniki z biura doradztwa mi zaproponują. Zbyt wiele sobie nie obiecuję. Słucham przecież wiadomości w telewizji - pełne korytarze, okienka z numerkami, blade, zrezygnowane twarze czekających. Ale nie można się poddawać przed podjęciem pierwszej próby. Szansa znalezienia zatrudnienia jest w moim przypadku z pewnością niezbyt duża. Jestem przecież osobą o bardzo ograniczonej dyspozycyjności. Ograniczona dyspozycyjność. Co to w ogóle jest? Czy nie ma w tym wewnętrznej sprzeczności? Może to kryterium wykluczające mnie z góry z listy kandydatów do podjęcia pracy? Ale mając dwoje dzieci, nie mogę być dziś w Cottbus, a jutro w Monachium. Także przesiadywanie w biurze po nocach nie wchodzi w rachubę. Przedszkole też ma określone godziny otwarcia, a cierpliwość wychowawczyń swoje granice - szczególnie jeśli chodzi o rodziców spóźniających się z odebraniem swoich pociech. Na mojego byłego pracodawcę, stację radio-telewizyjną Rhein-Main, raczej nie mogę już liczyć. Program telewizyjny „Zgaduj z gwiazdami”, dla którego pracowałam, został niedawno zdjęty z anteny. Procent oglądalności widoczny był jedynie pod mikroskopem. Inaczej mówiąc, śladowe ilości. Nie sądzę, żeby brak mojej osoby w zespole przyczynił się do tego fiaska, ale myśl, że moje odejście mogłoby wykończyć program, jest po prostu absolutnie oszałamiająca. Współpracownicy redakcji zatrudnieni na umowę zlecenie zostali odprawieni, a kilku zatrudnionych na stałe przeniesiono do innych działów. Na pozór niezastąpiony prezenter-gwiazdor Will Heim za-

chęca teraz do zakupów w TV-shopie. Co za upokorzenie! Chociaż za nim nie przepadałam, trochę mi go żal. Niewiele brakowało, a z czystego współczucia o mały włos nie kupiłam u niego kompletu noży do sushi. Opanowałam się w ostatniej chwili - przede wszystkim dlatego że, szczerze powiedziawszy, rzadko sama robię sushi. Właściwie to nigdy. Christoph nie znosi ryb, a dzieci wstrząsają się na widok nawet paluszków rybnych. O surowej rybie nie ma więc mowy.

Po prostu nie chcę wracać do swojej starej firmy i myślę, że nawet nie miałabym na to szansy. Przez kilka lat pracowałam w moim wyuczonym zawodzie - jako handlowiec w spedycji. Tyle że branża tą ostatnio mocno kuleje i ze starej gwardii czterech pracowników już nie ma. Nie wygląda więc na to, żeby tam na mnie czekali. Z drugiej strony, myślę sobie, że gdzieś przecież w świecie ludzi pracujących musi być i dla mnie zajęcie. Spróbuję być optymistką. Nie kwękać, dopóki nie ma ku temu powodu. Wprawdzie profilaktyczny pesymizm może pomóc złagodzić ewentualne rozczarowanie, ale takie podłamanie już na starcie jest potworne i niewskazane. A zatem - możliwe, że od pojutra będę znów czynną zawodowo kobietą. Przynajmniej teraz pozwolę sobie na lekkie odurzenie tą przepiękną perspektywą.

Nie pozostaje mi na to wiele czasu. Claudia, moja dziewięcioletnia córka, już czwartoklasistka, i Mark, mój syn, prawie sześciolatek, znowu wymagają nieograniczonej uwagi. Ostatnimi czasy tak się ze sobą kłóca, że jestem bliska zwrócenia się do Urzędu ds. Nieletnich, aby przyjechali po moje dzieci. Radzę sobie jednak sama. Godzinę później Claudia i Mark leżą nakarmieni i w miarę czysti w łózkach. I co teraz? Ciąg dalszy emocjonującego wieczoru przede mną!

Poczekam na Christopha. Posłucham sobie, jak tam było z Belle Michelle. Poza tym swoją obecnością przypomnę mu delikatnie, że już ma żonę. Tak dla pewności, gdyby o tym drobnym fakcie zapomniał. To nie tak, że jestem szaleńczo zazdrosna, ale od kiedy Christoph został partnerem w kancelarii adwokackiej Langnera, spędza czas praktycznie tylko w pracy. Niedługo będę zmuszona pokazywać dzieciakom zdjęcia, żeby im przypomnieć, jak wygląda tatuś. Nie chciałabym, żeby kiedyś na ulicy rzuciły się na jakiegoś obcego faceta i krzyczały w ekstazie „tata”. Christoph jest ambitnym mężczyzną - i wszystko to robi rzecz jasna tylko dla nas, dla swojej rodziny.

Oglądam „Supernianię” i jestem zdumiona, do czego dzieci mogą być zdolne. Skąd oni wytrzasnęli te małe potwory? W porównaniu z nimi moje są wręcz bardzo dobrze wychowane. Żadne mnie przecież jeszcze nie opluło ani nie nazwało starą zdzirą. Rośnie we mnie wdzięczność za drobiazgi. To może otworzę butelkę wina. Niezwykła rzecz w moim przypadku - popijanie do lustra nie sprawia mi przecież przyjemności. Ale dzisiaj moje ciało domaga się alkoholu. Jestem bardzo ciekawa, kiedy mój mąż wróci do domu.

Gdy wychylałam trzeci kieliszek czerwonego wina, dochodzi kwadrans po dziesiątej, a Christopha ani widu, ani słyhu. Zadzwoić do niego? Przecież mógł mieć wypadek albo samochód mu się popsuł. Może potrzebuje pomocy? Wystukuję numer jego komórki i od razu zaczynam się głupio czuć. Jak taka ciotka od kontrolowania, czyli typowa zazdrosna, histeryczna żona. Odpowiada jego poczta głosowa. Odkładam słuchawkę. Och, jak ja tego nienawidzę! Mój mąż nigdy nie odbiera telefonu. Po co mu w ogóle ta komórka?

Ile razy już mu tłumaczyłam, że komórka, aby mogła spełniać swoją funkcję, musi być włączona. Odmalowywałam mu scenariusze niczym z horrorów: „Wyobraź sobie, że jestem z Claudią lub Markiem w izbie przyjęć i mam podjąć decyzję o amputacji nogi albo coś w tym rodzaju. Chyba byłoby wskazane, abyś i ty jakoś się na ten temat wypowiedział. Tyle że najpierw twoja komórka musiałaby być włączona”. Takie wizje jednak nim nie wstrząsnęły.

Ale dlaczego akurat teraz jest wyłączona? Jakiś wewnętrzny głos mówi mi, że mój mąż przystawia się do Belle Michelle. Właśnie stara się zwabić ją do hotelowego pokoju i oczywiście nie chce, aby przeszkadzano mu natrętnymi kontrolnymi telefonami z domu. By odpędzić od siebie tę myśl, szybko wypijam jeszcze jeden kieliszek wina. Kto wie, gdzie zabłądziły teraz jego palce? Wlewam alkohol do gardła jak wodę i mam nadzieję, że to wino jest jednym z lepszych z piwniczki Christopha. Jedno z tych, które dopiero po trzech, a nawet czterech latach zyskują prawdziwy aromat i tym samym stanowią dobrą inwestycję na przyszłość. A więc jedna z tych butelek, których nie wolno mi nawet dotykać. Mój mąż uwielbia czerwone wino. Jego skarby leżą w piwnicy starannie poukładane na odpowiednio przysposobionym regale. Ale marzeniem Christopha jest piwnica na wina z prawdziwego zdarzenia. Najlepiej z taką specjalną szafą, w której panuje stała temperatura. Moim zdaniem, niepotrzebny bajer. Naprawdę są rzeczy, które byłyby nam w domu pilniej potrzebne. Zawsze jednak mieliśmy różne poglądy co do tego, który zakup jest bardziej nieodzowny.

Gdy opróżniam kolejny kieliszek, jest już pół godziny przed północą. Myślę, że mojemu mężowi nieźle odbiło. Jak długo może trwać „omawianie czegoś”? To już naprawdę lekka przesada. On urządza sobie uroczy wieczór z Belle Michelle, a ja siedzę w domu jak w więzieniu i wlewam w siebie butelkę czerwonego wina. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem wściekła. Odzywa się jednak racjonalna strona mojej natury. Powinnam iść już do łóżka. Takie czekanie kompletnie mnie rozbija. Z drugiej strony - skoro wytrzymałam już tak długo, to chętnie zobaczę, w jakim stanie wróci mój mąż. A przede wszystkim kiedy! Jeszcze raz próbuję się do niego dodzwonić. Mogło się przecież zdarzyć, że podczas mojej ostatniej próby znajdował się w gigantycznej dziurze poza zasięgiem. Ta cała technika ma wiele niedoskonałości. No tak, my, kobiety, takie już jesteśmy - zawsze grzecznie szukamy usprawiedliwienia dla męskich występków. Co z nas za żalosne, żadne harmonii istoty! Wystukuję numer Christoph'a i znowu odzywa się tylko poczta głosowa. Tym razem się nagrywam. Poprzestaję na krótkim, jasnym przekazie: „Zadzwoń do mnie. Natychmiast”. To powinno wystarczyć. Nie była to miła wiadomość, ale bardzo wyraźna. Miałam ton głosu jak ta domina z reklamy gorącej linii dla masochistów.

Tymczasem zrobiła się północ. Przeskakuję z kanału na kanał. Ludzie kochani, co za bzdury lecą w nocy! Można wybierać jedynie między debilnymi quizami a reklamami gorących linii. Butelka wina jest już pusta. Zrezygnowana prezenterka ze źle przedłużonymi włosami (widać łączenia) gada jak najęta, oferuje mnóstwo paczuszek z pieniędzmi za rozwiązanie dziecinnie prostego zadania. Nawet z głową ciężką od wina od razu zgaduję odpowiedź. Nie mam nic innego do roboty - jeśli można zarobić szybko parę euro, to czemu nie? Jeszcze nigdy nie brałam udziału w takich quizach, ale prezenterka tak się prosi, że nie pozostaje nic innego jak zadzwonić. Wystukuję numer. Zajęty. Za trzecim razem udaje się. Niestety, słyszę jakieś nagranie, a nie prezenterkę. A jednocześnie cały czas widzę te błagania w telewizorze, żeby do niej zadzwonić. Gdzie tu logika? „Laluniu, dzwonię przecież. Musisz tylko podnieść słuchawkę!” - myślę sobie i wybieram jeszcze raz ten sam numer. Nawet jednak za ósmym razem słyszę wciąż to samo nagranie z taśmy. O nie, teraz chodzi już o zasadę, nie dam robić z siebie balona! Każda próba połączenia kosztuje czterdzieści dziewięć centów. Wydzwoniłam już tyle pieniędzy, że te paczki z forszą naprawdę bardzo by mi się przydały. Ale jeszcze bardziej potrzebuję wina. Bo jak się już zacznie pić, można się

do tego przyzwyczaić. Przynoszę sobie drugą butelkę ze świętego regału Christoph'a. Cała pokryta kurzem, wygląda na naprawdę drogą. Mam nadzieję, że to prawdziwy rarytas.

Jest już pięć po wpół do pierwszej, a Christoph'a jak nie było, tak nie ma. Dzwonię ostatni raz, ale znowu odsłuchuję tylko durne nagranie, i decyduję się na coś obrzydliwego: „Skarbie, jestem na ostrym dyżurze w szpitalu i nie wiem, czy noga powinna być amputowana. Gdzie jesteś? Co ja mam zrobić? Zadzwoń!”. Ha, ale się przestraszy! Zasłużył sobie! Sam jest sobie winien, skoro nie reaguje na moje telefony. Blondyna w telewizorze ciągle biadoli, że nikt do niej nie dzwoni. Podejmuję jeszcze dwie próby. „Dziękujemy za państwa telefon”. Brawo. Wieczór poczt głosowych. Poddaję się. Nie dzwonię już ani do panienki od quizu, ani do Christoph'a. Nie, to nie.

Jestem śmiertelnie zmęczona, nawet zbyt zmęczona, aby w ogóle wstać. Przecież mogę tu, na sofie, uciąć sobie drzemkę, wtedy będę słyszeć, kiedy Christoph wróci do domu. Nawet nie daję rady wyłączyć telewizora (o umyciu zębów i demakijażu już nie wspomnę) i nieoczekiwanie zapadam w głęboki sen.

Budzę się, ponieważ potrząsa mną jakiś czerwony na twarzy facet, który wyrzuca z siebie najgorsze przekleństwa. Jestem tak otumaniona, że potrzebuję chwili, aby zarejestrować, że ten facet to mój mąż, który w tym momencie wykazuje duże podobieństwo do Rumcajsa. Widzę go jak przez mgłę, czego przyczyną jest pewnie fakt, że nie zdjęłam do spania szkieł kontaktowych.

- Daj mi spać - mamrocze pod nosem.

- Łaskawie mnie wysłuchaj! - krzyczy. - Jesteś psychicznie chora! - To jest następne zdanie, które dochodzi do mojego rozmemłanego mózgu.

Chora psychicznie, tego już zaczyna być za wiele. Siadam i gapię się na niego.

- Czemu się tak denerwujesz? - chcę wiedzieć.

No bo kto siedział do białego rana z Belle Michelle? On czy ja? Znowu typowe zachowanie. Stara jak świat, ogólnie znana strategia faceta. Atak najlepszą obroną. Ale nie ze mną te numery! Na takie głupawe triki ja, w moim wieku, nie dam się nabrać.

- Opanuj się i nigdy więcej nie nazywaj mnie psychicznie chorą - mówię tak spokojnie i wyraźnie, jak to tylko możliwe.

- Ja? Ja mam się opanować? - ryczy mój mąż i znowu mną potrząsa. - Tylko choroba psychiczna byłaby usprawiedliwieniem dla twojego totalnie histerycznego zachowania. - Uważam, że histeria jest chyba gorsza od choroby psychicznej. Na nią nie ma lekarstwa.

„Histeryczny” to ulubione określenie mężczyzn. Zawsze kiedy nic innego nie przychodzi im do głowy, używają tego właśnie słowa.

- Zostaw mnie. A jeśli już ze sobą rozmawiamy, to kto się tu z nas dwojga zachowuje histerycznie? - odparowuję mu, moim zdaniem, bardzo sprytnie.

- Andrea, dosyć tego. Dzisiaj posunęłaś się naprawdę za daleko. - Christoph staje się nagle względnie spokojny, a jego oczy wyglądają jak małe skośne szparki, przez które przeblaskują złe spojrzenia. Dokładniej mówiąc, wściekłe spojrzenia.

Robię się bezwzględna.

- Przychodzisz w środku nocy ze swojej służbowej narady i ni z tego, ni z owego zaczynasz się na mnie wydzierać? Co za ironia losu! Chyba musisz mieć coś na sumieniu.

- Teraz mówię ja, moja droga - syczy Christoph jak ohydny wąż krótko przed swoim finalnym atakiem. - Opowiem ci, jak spędziłem wczorajszy wieczór. Potem ty opowiesz mi o swoim, chociaż mogę sobie dokładnie wyobrazić, jak on wyglądał - mówi, patrząc wymownie na pokój, niewyłączony telewizor, puste butelki i zaśmiecony stolik.

Oberwę teraz, bo odważyłam się wypić jedną, dwie butelki wina, a potem zasnęłam, nie sprzątnąwszy wcześniej ze stołu?

- Proszę bardzo, jeśli ci przeszkadza, możesz posprzątać - odpowiadam, dotknięta do żywego, a do tego zła jak cholera.

- Nie chodzi o ten chlew tutaj. - Christoph kręci nosem i demonstracyjnie podnosi jedną z pustych butelek. - O tym porozmawiamy później.

- Aha, policja obyczajowa! Jestem już dosyć duża i mogę pić, co mi się tylko podoba - odpalam.

- Andrea, posłuchajże wreszcie. Byłem z Michelle i Langnerem w biurze. Potem zamówiliśmy sobie pizzę, ponieważ okazało się, że w sprawie Mingnera jest do omówienia więcej, niż przypuszczaliśmy. Do tego mieliśmy wodę mineralną i, jak widzisz, nie jestem ubzdryngolony. - Sztywnieję. Przede wszystkim dlatego, że czuję się obrażona, że ja niby miałabym być „ubzdryngolona” po niewinnych kieliszkach wina, no i z powodu Langnera. Jak to? Myślałam, że Christoph i Belle Paskudna Krowa spędzili ten wieczór we dwoje.

- Langner też tam był? Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? - pytam z wyrzutem. To zupełnie zmieniłoby postać rzeczy, gdybym o tym wiedziała.

- A jakie to ma znaczenie? Przecież to obojętne, kto ze mną pracuje - zauważa beznamiętnie mój mąż. Coś tak głupiego może powiedzieć tylko mężczyzna. Oczywiście, że to ma ogromne znaczenie. To nieprawdopodobna różnica. Gdybym wiedziała, że Langner nadzorował pracę nowej kancelaryjnej parki papużek nierozłączek, Belle Michelle i Christoph, wszystko rzeczywiście by mi wisiało. - Naprawdę upokarzający był jednak koniec tego wieczoru - ciągnie dalej Christoph. - Harowaliśmy jak woły i zamiast pójść coś zjeść, zamówiliśmy jedzenie do biura. Dokładnie mówiąc, pizzę.

- Tę dobrą od Giovanniego? - dopytuję się.

- Nie, zresztą dla całej tej historii to nieistotne - bąka Christoph. - Słuchaj mnie. Kiedy krótko przed północą skończyliśmy mowę obrończą dla Mingnerów, nawiasem mówiąc to jedna z bardziej skomplikowanych spraw, włączyłem komórkę i odsłuchałem twoje wiadomości. Nie będę przedłużał. Dwadzieścia minut po północy znalazłem się na izbie przyjęć. Z Langnerem, który okazał się tak miły i mnie tam zawiózł. Byłem tak zdenerwowany, że powiedział: „Nie pozwolę, panie kolego, żeby w tym stanie pan prowadził”. Przez całą drogę do szpitala odchodziłem od zmysłów. Gdy wpadliśmy z Langnerem na izbę przyjęć, niemal jednocześnie krzyknęliśmy: „Nie amputować! Nie! Proszę poczekać!”. - Christoph, sapiąc głośno, mówił dalej: - Jak oni tam na nas patrzyli na tej izbie przyjęć! Lekarz dyżurny od razu chciał nam przynieść białe kaftany. „Jaka noga? - spytał. „Mojej córki albo mojego syna, nie jestem pewien” - odpowiedziałem. „Nie jest pan pewien? Czyja córka, czyj syn?” - pytał dalej zbaraniały lekarz. Parę następnych minut upłynęło na wzajemnym wyjaśnianiu, o co chodzi, aż stało się jasne, że na izbie przyjęć od paru godzin nie było żadnego dziecka. Potem lekarz chciał zadzwonić na psychiatrię, żeby przysłali dla nas odpowiedniego partnera do rozmowy. Tak właśnie się wyraził: odpowiedniego partnera do rozmowy. Dla Langnera i dla mnie. Psychiatrę. Lekarza od czubków. Przekonywaliśmy chyba z dziesięć minut, zanim udało nam się odwieść go od tego pomysłu. Potem pojechałem z Langnerem do szpitala uniwersyteckiego, bo pomyślałem, że trafiłem do niewłaściwej kliniki. Pędziliśmy tam jak szaleni, a ja przez całą drogę próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale było ciągle zajęte. - Coś mi zaświtało. Moje telefony do presterki od quizu, a raczej do nagranej taśmy. Christoph ciągnął dalej: - W klinice uniwersyteckiej też nie było dziecka z zagroże-

niem amputacji nogi. Żeby nas uspokoić, przyprowadzono Langnerowi i mnie jedyne go pacjenta, który ewentualnie mógł wchodzić w rachubę, pryszczatego nastolatka na kompletnym haju, który na naszych oczach od razu się wyrzygał. Ohyda! I ani śladu moich dzieci. Potem zadzwoniłem do rodziców, bo pomyślałem sobie, że może oni coś wiedzą. Byli totalnie wyprowadzeni z równowagi, ale o niczym nie mieli pojęcia. Matka omal nie dostała zawału. - Christoph odchrząkuje i wzdycha. - Później powoli dotarło do mnie, że to miał być żart. Tak na marginesie, mało udany. Nie spodziewałem się tego po tobie. Andrea, to był najokropniejszy wieczór w moim życiu. Jak mogłaś mi coś takiego zrobić!? Uważasz, że to dowcipne!? Jak sądzisz, co sobie Langner teraz myśli? Jak on na mnie patrzył!

- No cóż - zaczynam swoją mowę obrończą - nie podchodziłeś do telefonu, a było bardzo późno. I nie wiedziałam o tym, że Langner jest z wami. - Tu zapada chwila milczenia. Niepotrzebnie.

- No i? - wydziera się Christoph. - Wiedziałaś przecież, że pracuję! Wtedy zawsze mam wyłączoną komórkę! Kiedy pracuję, nie telefonuję! Jeszcze tego nie pojęłaś? Jak można być tak głupim!? Ty zazdrosna wariatko!

Tego już za wiele. Rozwiódę się! Albo coś w tym rodzaju. Żona nie ma wiele innych możliwości, aby postraszyć mężczyznę. Co tym typkom przychodzi do głowy? W końcu chyba zameżnej kobiecie wolno zapytać, gdzie przesiaduje jej małżonek około północy? Jak on śmie nazywać mnie zazdrosną wariatką!? Arogancki przygłup! I to właśnie mówię:

- Arogancki przygłup!

- Powinnaś zapisać się na jakąś terapię. Coś takiego wymaga leczenia! Potrzebujesz pomocy, bo to już chyba nie jest normalne. Zresztą Michelle też tak uważa!

To ostatnie zdanie było przysłowiową kropką nad „i”. Michelle też tak uważa! Ona chyba nie była w klinice? Czy oprócz swoich licznych talentów ma też zdolność przepowiadania przyszłości? A może Christoph zadzwonił zaraz, aby jej opowiedzieć, jaką wariatką jest jego żona?!

Zeskakuję z kanapy i pędem ruszam w kierunku schodów. Nasza sypialnia znajduje się na piętrze. Niestety, po drodze nie ma żadnych drzwi, którymi mogłabym z hukiem trzasnąć. Szkoda. Na schodach jeszcze raz się odwracam i krzyczę teatralnym tonem:

- Twoja Michelle guzik mnie obchodzi. Może mnie pocałować. O, tu! - Z pewnością nie było to zachowanie, które w takich sytuacjach polecałyby poradniki, ale co z tego?

Wiem, że mój występ miał niewiele wspólnego z prawdziwą godnością i nonszalancją, ale w tej chwili zupełnie mi to wisi.

- Ani ty, ani żadna inna nie może się z nią równać! - odkrzykuje Christoph, a ja w tym momencie nienawidzę ich obojga, Michelle i mojego męża.

- W takim razie idź sobie do tej swojej Michelle - krzyczę, ale kiedy słyszę jego odpowiedź:

- Dobry pomysł! - Staję jak słup soli.

Jeśli on teraz pójdzie, wtedy... No właśnie, co wtedy? Pobiegnę za nim? W żadnym razie! To on powinien przyjść do mnie.

- No to idź! - mówię tonem, który wyraża wielką złość, i mierzę go wyniosłym spojrzeniem z najwyższego schodka.

- Okay! - odpowiada Christoph - jak sobie życzysz. Zadzwoń, jak wrócisz do równowagi psychicznej.

Nie wierzę własnym oczom! On rzeczywiście wychodzi, i w dodatku to wszystko wygląda tak, jakby było moim pomysłem. Nie myślałam, że jedno krótkie zdanie typu „Idź sobie do swojej Michelle” Christoph może wziąć na serio. Okazuje się, że może, bo zabiera kurtkę, aktówkę, tę ładną, w kolorze koniaku, którą dostał ode mnie (cholernie droga i elegancka rzecz), i kieruje się w stronę drzwi. Najpóźniej teraz powinnam spasować. Przecież on nie może tak po prostu się stąd wynieść. Z drugiej strony - niech idzie. Jest takie mądre powiedzenie: „Nie zatrzymuje się odchodzącego” - czy coś w tym rodzaju. Kiedy wciąż zastanawiam się nad odwrotem, on demonstracyjnie trzaska drzwiami. Słyszę jeszcze ryk silnika jego kochanego bmw, po czym zapada cisza. Przejedzie się ze dwa razy wkoło osiedla, uspokojam samą siebie. On chce mnie tylko zmiękczyć, przestraszyć, nie robi tego na poważnie.

Czekam pół godziny. Tak duże to nasze osiedle nie jest. Podchodzę do drzwi i patrzę na nocny krajobraz. Nie dociera do mnie żaden dźwięk. Szeregowe domki pogrążone w głębokim śnie. Prócz mnie wszyscy śpią. Obląkana gospodyni domowa po katastrofalnym wieczorze. Po dziesięciu minutach robi mi się zimno i staje się dla mnie jasne: pojechał. Ale dokąd? Może jednak do tej swojej Michelle? Mam ochotę dać sobie w ucho. Jak mogłam do tego stopnia stracić panowanie nad sobą? Czy możliwe, że własnymi słowami pchnęłam go dokładnie tam, gdzie sobie życzył? Czy naprawdę jestem zazdrosną wariatką? A jeśli nawet,

czy nie miałam do tego wszelkich powodów? Gdyby nie dzieci, pojechałabym teraz do Michelle. Żeby tylko sprawdzić, czy gdzieś w jej okolicy nie ma zaparkowanego samochodu Christoha. Ale przecież nie mogę chyba zostawić maluchów samych w środku nocy? Co prawda obydwójce śpią z reguły twardym snem. Mimo to rezygnuję ze szpiegowskiej wycieczki - również dlatego, że piłam wino. Zamiast tego wysączaam resztę z drugiej butelki i idę do łóżka. Nic nie da, jeśli będę tak tu siedzieć i wyczekiwać. Usłyszę, jak wróci, a jak nie, to nie.

Czy od jutra będę samotną matką? A co z moją pracą, której co prawda jeszcze nie mam, ale którą tak bardzo chciałabym mieć? Czy dzieci będą potrzebować pomocy psychologa? Co powiedzą moi rodzice? Chce mi się wyć - bardziej ze złości niż z rozpacz. Andrea Schnidt tak szybko się nie poddaje, upominam samą siebie.

Dzwoni telefon. A więc poszedł po rozum do głowy i skruszony chce wrócić. Dobrze, że nie zadzwoniłam. Cierpliwość i bezkompromisowość jednak popłacają. Wyskakuję z łóżka i pędzę w kierunku aparatu. Będę surowa, ale jednocześnie uprzejma, a jeśli przeprosi w odpowiedni sposób, dam się przejednać. Jednak to nie Christoph, tylko moi teściowie. Przy telefonie jest teść, Rudi:

- Andrea, serce, przełączyłem rozmowę na głośnik, Inge siedzi obok mnie, powiedz nam szybko, jak nóżka, jak nasza dziecinka, czy wszystko w porządku, może potrzebujesz pomocy, jesteśmy gotowi przyjechać, powiedz tylko, tak bardzo się martwimy! - wyrzuca z siebie jednym tchem. - Naprawdę, Andrea, wszystko da się zrobić. Teraz są tak świetne protezy, że dzieci szybko się przyzwyczajają - chce mnie pocieszyć. Cholera jasna! Tego tylko brakowało! Moi poczciwi teściowie siedzą w środku nocy w domu gotowi zaraz ruszyć w drogę, roztrzęsieni i rozdygotani, tylko dlatego, że chciałam trochę rozzłościć ich synalka.

- A więc - jakam się - to jest jakieś straszne nieporozumienie. Z dziećmi wszystko w porządku. Śpią. I mają wszystkie nogi. Bez żadnych protez czy czegoś podobnego. Wracajcie szybko do łóżek. Naprawdę, wszystko jest w najlepszym porządku.

Rudi bełkocze:

- Tak, ale przecież Christoph dzwonił do nas i... nie, ja tego nie rozumiem. Co się tak naprawdę stało? Kto właściwie nie ma nogi? - W tle słyszę zaniepokojony głos Inge. - Czy z dziećmi na pewno wszystko w porządku?

- Tak, Inge - wołam do słuchawki - w całkowitym porządku.

- Ty chcesz nas tylko uspokoić, ale my zniesiemy prawdę, chociaż jesteśmy już starzy. Możesz z nami otwarcie rozmawiać, Andrea! Daj mi naszego chłopca do telefonu. - Rudi pozostaje nieugięty.

Aha, chcę rozmawiać z Christophem, swoim synusiem. To może być trudne. Też chętnie dowiedziałabym się, gdzie on jest. Jeśli teraz przyznam, że dzieci mają po dwie nogi, a mój mąż z tego powodu zabrał się i poszedł, to tych dwoje chyba znikuje.

- On już śpi - zmyślam szybko, bo przecież nie chcę, żeby jeszcze bardziej się zamartwiali. - Śpi, tak jak dzieci, ja też właśnie chciałam się położyć. Jutro się z wami skontaktuję - obiecuję jeszcze. Chociaż tak bardzo ich lubię, w tym momencie mam ochotę skończyć tę rozmowę jak najszybciej. Rudi czuje się trochę urażony:

- Najpierw swoimi nocnymi dziwacznymi telefonami doprowadza nas do obłądu, a potem kładzie się jak gdyby nigdy nic i śpi. Smacznie śpi. To nie w porządku! Jak nasz chłopaczek mógł nam to zrobić? Przecież nie kosztowałoby go zbyt wiele, żeby do nas zadzwonić i powiedzieć, że wszystko w porządku. Nie, to naprawdę nie fair.

Ja też uważam, że to nie fair, ale uspokajająco przemawiam do swoich teściów:

- Zadzwonię do was jutro. Christoph musi się wyspać, znacie go przecież. On na pewno nie chciał, żeby to tak wyszło.

Coś takiego nazywa się altruizmem. Bezinteresowne działanie. Mogłabym teraz nawymyślać na tego ich chłopaczka, ale jestem tak wielkoduszna, że biorę go w obronę nawet przed jego rodzicami.

- No dobrze, jeśli rzeczywiście wszystko jest w porządku, to chłopak powinien się wyspać - mruczy Rudi, a ja jeszcze raz słyszę w tle mamrotanie Inge:

- Dziwne to wszystko. Nic z tego nie rozumiem. - Wreszcie oboje życzą mi grzecznie dobrej nocy. Uff, mam ich z głowy.

Śpię niespokojnie. Śnię chaotyczny sen o Christophe i Belle Michelle, której spośród lśniących włosów wystają diabelskie różki i która ciągle złośliwie chichocze.

Następnego dnia budzę się z nieprawdopodobnym kacem. Jeszcze tego brakowało! Myślałam, że piję dobre wino. Co za podłe trunki Christoph trzyma w piwnicy? Może być mi wdzięczny, że je wypiałam. Z wielkim wysiłkiem próbuję wyczarować coś dzieciom na śniadanie. Zalewam mlekiem płatki kukurydziane, a kiedy pytają o ojca, odpowiadam, że jest w biurze. Nie ma potrzeby napędzać maluchom strachu. Ponieważ Christopha bardzo często nie ma z nami przy śniadaniu, bez trudu mi wierzą. Dzieci nie mają żadnych skłonności do podejrzeń. Odwożę Claudię do szkoły, a Marka do przedszkola, po czym najkrótszą drogą wracam do domu.

Zamykam za sobą drzwi i natychmiast naciskam guzik automatycznej sekretarki. Pali się czerwona lampka, co oznacza, że ktoś dzwonił. Wrócił mu rozum i chce przeprosić za swoją ucieczkę. Muszę przyznać, że jestem zadowolona. Ulżyło mi. Zawsze źle się czuję po takich kłótniach - należę do kobiet, które pragną harmonii. Co nie oznacza jednak, że uciekam od konfliktów. Najwyżej tylko troszeczkę. Automatyczna sekretarka oznajmia, że mam dwie nowe wiadomości - jedną z wczorajszej nocy i jedną z dzisiejszego ranka. Naciskam „start”: „Andrea, daj znać, co się dzieje! Jestem w izbie przyjęć i nie wiem co robić! Zadzwoń do mnie, proszę!”. Cholera jasna, przeoczyłam wczoraj tę wiadomość! W głosie Christopha słychać lekką panikę. Zdaje się, że historia z nogą dosyć nim wstrząsnęła. Może jednak trochę przesadziłam. Z drugiej strony - mógł przecież wcześniej do mnie zadzwonić. Gdyby tak zrobił, sprawy nie zaszłyby aż tak daleko. Gdyby słuchał mnie przez ostatnie lata, od razu wyczułby ironię w moich słowach. Mówiłam przecież wiele razy: „Proszę, włącz swoją komórkę. Wyobraź sobie, że jestem w izbie przyjęć i muszę na przykład zdecydować, czy naszemu dziecku mają amputować nogę”. Innymi słowy, sam jest sobie winien. Na słabsze impulsy zdaje się nie reagować. Może niektórzy potrzebują właśnie silniejszego wstrząsu. Wiadomość numer dwa nie jest, niestety, tą, na którą miałam nadzieję. To moi teściowie po wczorajszej nocy domagają się formalnych wyjaśnień. „Zadzwoń do nas, nic z tego nie rozumiemy. Wczoraj nie mogliśmy już zasnąć”. I koniec, nic więcej nie ma. Żadnej aktualnej wiadomości od Christopha. Także na mojej komórce.

Co to ma znaczyć? Czy on ze mną wczoraj skończył, czy może rozpoczynamy zawody - które z nas dłużej wytrzyma i się nie odezwie? Tak jak między dziećmi: kto pierwszy

powie słowo, przegrywa. Czy wykonanie telefonu jest równoznaczne z przyznaniem się do winy? Siadam na kanapie i myślę. A może ja powinnam się odezwać? Całkiem *cool*, po prostu zapytać, czy dobrze spał? Tak jakby nigdy nic? To byłoby bardzo dojrzałe i wręcz wzorcowe. Z drugiej strony, nazwał mnie zazdrosną wariatką. Kiedy o tym myślę, jeszcze się we mnie gotuje. Zarozumiały bufon! Co on sobie myśli, że kim on właściwie jest!? Najbardziej pożądanym facetem w całej Hesji? Czy mam go utwierdzać w tym przekonaniu? Ja, zazdrosna wariatka? Nie, w żadnym wypadku! Muszę sprawiać wrażenie, jakby było mi zupełnie obojętne, gdzie spędza noce. Po prostu muszę zachować spokój. Co on potrafi, ja potrafię od dawna!

Ktoś dzwoni do drzwi. To znowu nie Christoph, ale nasza sąsiadka Anita. Jej domek przylega do naszego od zachodu. Chciałaby wypić ze mną kawę. Mam nadzieję, że nie słyszała nic z wczorajszej nocy.

- Jasne, wejść - mówię, bo przy moim bólu głowy kawa nie zaszkodzi, a Anitę i tak wyjątkowo trudno spławić.

Poza tym dopóki będzie u mnie siedziała Anita, z pewnością się opanuję, by nie zadzwonić do Christopha. Powinien być już w kancelarii. Mam przynajmniej taką nadzieję. Gdybym była z Anitą w bardziej zażyłej przyjaźni, poprosiłabym ją, aby tam zadzwoniła. Tylko żeby zapytać, czy już dotarł. Bo jeśli ja to zrobię, będę musiała co nieco wyjaśnić, a tego nie chcę. Gdy się mieszka na takim osiedlu jak nasze, tego rodzaju wyznanie równałoby się towarzyskiemu samobójstwu. Wieść o tym rozeszłaby się lotem błyskawicy. Przede wszystkim dlatego, że osobą wysłuchującą zwierzenia byłaby Anita. To wiem z kolei od Tamary, która mieszka w domku naprzeciwko i sama chętnie wprowadza w obieg wszelkie nowinki. Naturalnie wszystko pod przysięgą zachowania tajemnicy. Ale Tamara twierdzi, że Anita jest jak multiplikator plotek.

I rzeczywiście. Kiedy ja przygotowuję kawę, ona bez zbędnych wstępów przechodzi do rzeczy:

- Słuchaj, Andrea - zaczyna małe przesłuchanie - czy to możliwe, że dziś w nocy słyszałam Christopha? Tak około drugiej. Odjechał z piskiem opon. Właśnie byłam w łazience z powodu swojego pęcherza, który znowu zaczął mi dokuczać, prawdopodobnie w wyniku osłabienia mięśnia łonowo-guziczego, tak przynajmniej twierdzi mój ginekolog i zaleca

robienie ćwiczeń, aby znów się podniósł - papie, dając mi tym samym cenne sekundy do zastanowienia się.

- Tak, Christoph musiał dziś w nocy pilnie wyjechać - robię małą dramatyczną pauzę. Wciągam powietrze i intensywnie myślę.

- Co się stało? - Anita trzyma się tematu.

- Jego mama źle się poczuła. Pojechał na izbę przyjęć, coś było nie tak z jej nogą - kłamię, ale przecież nie do końca.

Przyznaję, czasowo nic się nie zgadza, bo o tej porze Christoph był już po nocnej wizycie w izbie przyjęć, a jego mama dotychczas nie miała żadnych problemów z nogą, ale z grubsza można przecież powiedzieć, że moja wypowiedź zawierała elementy prawdy. Szpital, izba przyjęć i noga nie były bynajmniej zmyślane. Anicie jednak nie wystarczają takie ogólne informacje.

- Ach, biedna kobieta! Ma zakrzepicę czy może coś innego? - dopytuje się.

- Zakrzepicę, dokładnie - mówię, aby nie prowokować kolejnych pytań. Zresztą nic innego nie przychodzi mi do głowy. - Ale jest już dużo lepiej. Mogła wrócić do domu. Na całe szczęście. Biedna Inge.

Byłam naiwna, myśląc, że tak szybko odciągnę Anitę od tematu.

- Z zakrzepicą puścili ją do domu? Moja kuzynka miała kiedyś bardzo poważną zakrzepicę, wiesz, ta Regina, córka mojej ciotki Klary, poznałaś ją kiedyś, nie Reginę, tylko Klarę, była tu na czterdziestych urodzinach Friedhelma. I ona prawie umarła z powodu zakrzepicy. Nie chcę cię niepokoić, ale wydaje mi się, że to duże zaniedbanie ze strony lekarzy w szpitalu, że ją tak po prostu puścili - Anita robi wymowną przerwę.

- Czy twoja kuzynka, ta Klara, jeszcze żyje? - próbuję zmienić temat.

Odwrócenie uwagi jest tu konieczne.

- Moja ciotka ma na imię Klara, a kuzynka nazywa się Regina, to ta, która w dzieciństwie miała ciężką świerzbiczkę ogniskową. No jasne, że teraz czuje się zupełnie dobrze. Ma przecież prywatne ubezpieczenie - potrząsa głową Anita, jakby to pytanie było zupełnie pozbawione sensu. - O mało nie umarła, ale teraz jest zdrowa jak ryba.

Dzięki prywatnemu ubezpieczeniu, rzecz jasna. - Logika Anity zwała z nóg, można przypuszczać, że jej krewni są prawdopodobnie równie nieustępliwi jak ona sama.

- Twój mąż nie narobił tam rabanu? Dlaczego pozwolono jej wrócić do domu? U ludzi w tym wieku... w każdej chwili może się coś stać - mówi z patosem w głosie.

- Już z nią rozmawiałam i wszystko jest w porządku. Dali jej odpowiednie lekarstwa, a Christoph trzymał rękę na pulsie, przecież jest prawnikiem i uważa na takie rzeczy - kończę moją małą blagierską historyjkę.

Nie mam ochoty wiedzieć, jakie rzeczy miał dziś w nocy pod kontrolą Christoph. Już na samą myśl o tym przechodzi mnie dreszcz. Ale, ale - baron Münchhausen* byłby ze mnie dumny. Potrafię lepiej kłamać, niż myślałam. Jak już się zacznie, dalej idzie jak z płatka. Najpiękniejsze jest to, że im głębiej wchodzi się w szczegóły, tym bardziej daje się wiarę własnym wymysłom. Muszę koniecznie zapamiętać, żeby powiedzieć Christophowi (jeśli się pogodzimy), że jego mama cierpi na zakrzepicę. Od dzisiejszej nocy. Na tak zwaną ostrą zakrzepicę o gwałtownym i krótkim przebiegu. Powracam do tematu miednicy Anity, a ponieważ ona rozmawia najchętniej o sobie samej lub ewentualnie o mężu Friedhelmie (tak na marginesie, to jeden z największych nudziarzy, jakich dane mi było spotkać), szybko przeskakujemy z zakrzepicy na miednicę. Anita prezentuje mi jeszcze szybko dwa ćwiczenia, które powinnam koniecznie codziennie robić. Profilaktycznie. W tym celu turla się po naszym parkiecie (który, szczerze mówiąc, jest laminatem, ale jak do tej pory nikt tego nie zauważył!) i bardzo głośno oddycha. Zapewniam ją, że z tego, co wiem, moja miednica funkcjonuje bardzo dobrze, ale Anicie to nie wystarcza:

* Karl Friedrich Hieronymus, Freiherr von Münchhausen - niemiecki szlachcic, żołnierz, podróżnik i awanturnik. Bohater literacki i filmowy. „Baron kłamstwa” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

- W moim przypadku też tak było i nagle zaczęłam w nocy wstawać na siusiu. Mój ginekolog od razu poznał, gdzie leży problem. Wyjaśnił mi, że prawie wszystkie kobiety na to zapadają. Musisz mieć się na baczności.

Dalej ćwicz, sapie, jakby była w ostatniej fazie porodu, i przestaje dopiero wtedy, kiedy powtarzam ćwiczenie po niej i obiecuję, że od dzisiejszego wieczoru będę regularnie je wykonywać. Szczerze mówiąc, na jej miejscu, oprócz chorego mięśnia, znalazłabym też inne powody dla nocnych ucieczek z łóżka. Myślę, że byłabym zadowolona, mając pretekst do opuszczenia posłania dzielonego z takim Friedhelmem. Anita, usatysfakcjonowana wypełnieniem misji „miednica”, wreszcie wychodzi.

Z okna w kuchni widzę, jak dzwoni do drzwi Tamary. Osiedlowa poczta pantoflowa rozpoczyna swój bieg. Czterdzieści minut później Tamara stoi przed moimi drzwiami i dopytuje, jakby mimochodem, o zakrzepicę Inge. Jeszcze tego mi brakowało! Żwawo kłamię dalej jak z nut i chociaż Tamara jest bardziej godna zaufania niż Anita, wiem, że już nie wyjdę z labiryntu kłamstw. Jeśli kłamać, to konsekwentnie. Jakoś będę musiała powiedzieć mojej teściowej, że od dzisiejszej nocy ma problem z nogami. W końcu oboje często opiekują się naszymi dziećmi i jeśli Tamara lub Anita miałyby ją spotkać na swej drodze, byłoby piekielnie głupio, gdyby Inge otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia: „O jaką znowu zakrzepicę pani pyta?”.

Tamara ma na szczęście mało czasu i dlatego oszczędzone są mi pytania o detale. Zanim wychodzi, wciska mi jeszcze do ręki parę wysłużonych rajstop w cielistym kolorze:

- Dla twojej teściowej. To są specjalne rajstopy obciskające. Mam je jeszcze od czasu porodu. Pozdrów ją ode mnie i życz powrotu do zdrowia. Czegoś takiego nie można w żadnym wypadku bagatelizować! Ale ty pewnie doskonale o tym wiesz.

Dziękuję jej raczej powściągliwie. Wciskanie komuś używanych rajstop, do tego z takim tupetem, trochę mnie szokuje. Na dodatek Tamara ma te rajstopy od czasu porodu, a jest w końcu matką dziesięcioletniego dziecka. Niektórzy ludzie mają zamiłowanie do chomikowania! Zawsze myślałam, że to ja zbieram niepotrzebne rzeczy, ale Tamara bije chyba wszelkie rekordy. W każdym razie podziwiam, jak szybko udało jej się odnaleźć te rajstopy.

Sprzątam trochę bałagan w salonie, piąty raz tego dnia naciskam guzik automatycznej sekretarki, szukam w komórce nowych SMS-ów i jestem niepokieszona. Żadnych wiadomości. Ani tu, ani tu. Chociaż mam pełny zasięg i bateria jest naładowana. Zadziwiające, że kobiety są bardziej nieufne wobec techniki niż wobec własnych mężów. Mój przypadek jest jednak jasny: żadnych telefonów, żadnych SMS-ów. Ten facet potrafi być jednak uparty! Ale jeszcze się zdziwi. Niedługo pozna prawdziwą mistrzynię, uosobienie uporów. Poczekaamy, zobaczymy. Chodzi o zasadę. Ta przepychanka to walka o hierarchię w naszym związku - kto pierwszy pęknie, przegrywa.

Dzwonię do mojej lesbijskiej przyjaciółki Heike z Monachium. Na wszelki wypadek ze stacjonarnego, bo może Christoph będzie akurat próbował dzwonić na komórkę. Heike jest moją najlepszą przyjaciółką. Ma zawsze dobre pomysły i wyśmienicie się zna na najbardziej pogmatwanych związkach. Wysłuchuje cierpliwie mojego dramatu. Uważa historię

ze szpitalem i amputacją za dosyć drastyczną, ale niepozbawioną humoru. Chichocze. W każdym razie uważa, że to niewystarczający powód, by nie dawać o sobie znaku życia. Christoph jednak ma najwyraźniej inne zdanie.

- Ach, ci mężczyźni - wzdycha tylko Heike. - Od kiedy oni mają poczucie humoru?

Tu się z nią absolutnie zgadzam. Mężczyźni lubią się śmiać, ale nigdy z samych siebie. A już nabić w butelkę pozwalają się niezbyt chętnie, co akurat mogę zrozumieć.

- Ale co ja mam teraz zrobić? - pytam moją najlepszą przyjaciółkę o radę.

- Zadzwoń do niego i powiedz, że jest ci potwornie przykro - proponuje. - To jest najszybsze i najprostsze wyjście. No tak, będziesz musiała się pokajać i pomizdrzyć, ale on na pewno już czeka na twój telefon. Sprawa będzie załatwiona i wszystko wróci do normy.

Nie był to rodzaj propozycji, jakiej oczekiwałam. Na coś takiego sama bym wpadła. Liczyłam na bardziej oryginalny pomysł, jakieś rozwiązanie, w którym ja i Christoph, obydwój z wysoko podniesioną głową, wychodzimy cało z tej awantury. Albo przynajmniej ja.

- Heike, wysił się, ty chyba nie mówisz poważnie. Miałabym powiedzieć coś takiego Christophowi? Taki telefon oznaczałby absolutne wyznanie grzechu! Przyznanie się do winy. A ja wcale nie czuję się winna! Jeśli tak zrobię, on wygra i będzie co wieczór przesiadł z tą głupią Michelle, bo zda sobie sprawę, że jest górą. Tak nie może być! W żadnym wypadku! Poza tym jesteś przyjaciółką moją, a nie Christopha. No, może Christopha też, ale tylko w małym stopniu, tak więc proszę...

- Oczywiście, że mam więcej propozycji - odzywa się znowu Heike. - To był po prostu najszybszy i najmniej skomplikowany wariant. Te męsko-damskie gierki to zwykła dziecinada. Po prostu powiedz mu prawdę: z zazdrości byłaś cholernie wściekła i dlatego, wszelkimi sposobami, próbowałaś ściągnąć go do domu. On poczuje się miłe polechtany i od razu ci wybaczy.

Myślę, że wszystko idzie w przeciwnym kierunku, niż bym sobie tego życzyła. Moja najlepsza przyjaciółka podpowiada mi najzupełniej poważnie, że bym po tym wszystkim zaczęła przymilać się do swojego męża.

Czy ona coś dziś brała, czy co? Jeśli takie rady daje mi Heike, to tych od swojej matki wolę w ogóle nie słuchać. Mogę sobie wyobrazić, jak wielką dostałabym pokutę. Na przykład przejść tam i z powrotem drogą św. Jakuba* - przynajmniej w myślach.

* Droga Św. Jakuba - szlak pątniczy do Santiago de Compostela w północnej Hiszpanii prowadzący do grobu apostoła.

- Przyznaj się, uczestniczyłaś może w jakimś seminarium dla par? Coś z tobą nie tak?
- dopytuję się zupełnie zbita z tropu.

Być może bezgraniczna szczerość w związkach jest jedynym rozsądnym i dojrzałym rozwiązaniem, ale ja mam co do tego pewne zastrzeżenia. Bez małych utarczek wszystko stałoby się bardzo szybko jednostronną grą. A wiadomo przecież, jak się takie gry kończą.

- Czyli rozsądkiem wiele się u ciebie nie wskóra - śmiejąc się, wtrąca Heike. - Wobec tego pozostaje siedzieć cicho. Strategia odczekiwania. Samo przyjdzie, jak mawiają w sporcie. Zobaczymy, co przygotował przeciwnik. Dla niecierpliwych twardy orzech do zgryzienia.

Takie podejście jest znacznie bliższe moim wyobrażeniom. Zresztą jak do tej pory nic więcej nie zrobiłam. Odczekać - tak naprawdę to żadna nowa strategia.

- I jak długo mam czekać? - dopytuję się.

- Aż on zmięknie - wyjaśnia pragmatycznie Heike.

Nie mogę powiedzieć, żeby ta rozmowa wiele mi pomogła w rozwiązaniu sprawy. Od Heike oczekiwałam jednak trochę więcej finezji.

Zabawne - kobiety hetero często myślą, że związki lesbijek są o wiele bardziej cywilizowane. Heike nierzadko śmiała się z takiej wizji. „Miłość to dosyć trudna kwestia, aby dopiąć swego, obie strony walczą wszelkimi sposobami. Lesbijki też”.

Sprowadziła mnie na ziemię, a szkoda. Długo sądziłam, że to właśnie testosteron jest winny wszystkim problemom w związkach i przed laty przeszło mi nawet przez myśl, czy by nie zmienić orientacji, aby raz na zawsze zejść z drogi temu hormonowi. Heike nazwała wtedy moje rozmyślenia „heterobzdurami”, a ja szybko odrzuciłam ten pomysł - ale nie ze względu na komentarz mojej przyjaciółki, lecz z powodu pewnej do granic możliwości nabuzowanej estrogenem Danieli, która mnie tak nagabywała, że pod względem grania na

nerwach nie ustępowała żadnemu mężczyźnie. Każdy hormon w nadwyżce wydaje się trudny do zniesienia. Z tego względu nastawiłam się ponownie na działanie testosteronu.

Jestem, niestety, bardzo chwiejną osobą. Wpadam w stany ekstremalnego zachwytu, ale też szybko pozwalam, aby emocje opadły. Nie wiem, czy jest to dobra cecha, ale ułatwia życie.

- Czy nie mogłabyś przynajmniej zadzwonić do Christopha do biura, żeby sprawdzić, czy siedzi jak zwykle w kancelarii? - pytam nieśmiało przyjaciółkę.

- A gdzie on miałby się podziewać w biały dzień? - odpowiada osłupiała Heike.

Nawet nie chcę sobie tego wyobrażać. Żadnych szczegółów. W mojej głowie przewijają się niezbyt piękne obrazy na ten temat: Belle Michelle i on tarzają się prawdopodobnie w najdelikatniejszej satynie (my mamy flanelową pościel!), bo postanowili po wspaniałej nocy spędzić w łóżku także cały dzień. Lub coś podobnego. Zdziwiająca. Bez względu na to, co sobie wyobrażam, Belle Michelle jest zawsze obecna w tych wizjach. Prawie naga, na ustach ma lubieżny uśmiezek zdobywczyni. Ale gra się jeszcze nie skończyła, moja droga Michelle! Nie znasz mnie, jeżeli tak myślisz! Mnie, Andrei Schnidt! Możliwe, że Michelle nawet pod względem wizualnym różni się ode mnie, ale popracuję nad sobą. Mam tu jeszcze pole do popisu. Natomiast jako żona nie chcę nawet wspominać, że wcześniej zyskałam prawa do Christopha. Takie rozmyślenia rzadko prowadzą do logicznych wniosków. Już niejedna kobieta wyplakała sobie oczy, łamiąc nad tym głowę - większe prawa czy nie, nie ma znaczenia. A poza tym - najczęściej kobiety z większymi prawami mają też więcej lat na liczniku. Muszę się koniecznie dowiedzieć, ile lat ma ta Michelle. Tymczasem Heike próbuje mnie uspokoić.

- Jak długo mężczyźni dużo gadają, najczęściej nic się nie dzieje. Nie opowiadałby w zachwytach o tej Michelle, gdyby coś między nimi było.

Brzmi logicznie, ale ta reguła jest stara jak świat i faceci już dawno się w niej pewnie połapali. Wycwanieni rutyniarze mogą zacząć opowiadać o jakiejś kobiecie, bo doskonale wiedzą, że dzięki temu nie wzbudzą żadnych podejrzeń. Z drugiej strony jednak, do tak wyrafinowanej strategii większość mężczyzn nie byłaby moim zdaniem zdolna.

- Wyluzuj, wróci szybciej, niż byś tego chciała. Oni wszyscy wracają - przekonuje mnie Heike, a w jej głosie słyszę ton typowy dla terapeuty.

Widzę, że oprócz standardowych frazesów nie ma żadnych nadzwyczajnych propozycji rozwiązania tego problemu.

Zmieniam więc temat.

- A co u twojej ukochanej? - pytam.

Heike ma, jak chętnie mawiają mężczyźni, superlaskę. Absolutnie zwalającą z nóg. Innymi słowy, kogoś w rodzaju Belle Michelle. Nazywa się Lea i ma najdłuższe nogi, jakie było mi dane widzieć u ludzkiej istoty. Patrząc na jej nogi, można by pomyśleć, że ta kobieta pochodzi w linii prostej od żyrafy. I to czarujące stworzenie, a jednocześnie odnoszącą sukcesy kobietę interesu, w dodatku mądrą i miłą, złowiła sobie moja przyjaciółka. Gdy kiedyś przyszła z Leą na wielką urodzinową imprezę

Christopha, mężczyźni strasznie się ślinili na jej widok. Taka jest ta Lea.

- Nie uwierzysz, chcemy się pobrać - rzuca nagle Heike.

Staję jak wryta. Pobrać? Zawsze będzie dla mnie zagadką, dlaczego homoseksualiści muszą robić te same bzdury co my. Uważam, że owszem stan małżeński ma swoje zalety (jeśli się głębiej nad tym zastanowić) - ale po co się pobierać, jeśli nie można mieć dzieci? Tylko żeby móc odwiedzać się nawzajem na OIOM-ie czy jeszcze po coś innego?

- Jak to pobrać? - pytam ostrożnie. - Zostaniecie wspólnie opodatkowane albo coś w tym rodzaju? - przychodzi mi do głowy inny wariant.

- Ale ty jesteś nieromantyczna - jęczy Heike. - Marna mamona nie ma dla nas żadnego znaczenia. Kochamy się. To jest powód - robi przerwę na złapanie oddechu.

A potem znowu wypala:

- Poza tym chcemy mieć dziecko.

Dziecko. Heike. Ta Heike, która kiedyś powiedziała, że te beczące potwory powinny zniknąć z powierzchni ziemi. Ona chce mieć teraz dziecko? Wow, naprawdę niesamowita nowina.

- Życzę szczęścia - mówię, ale nie jestem pewna, czy jest to właściwa reakcja.

- Dziękuję. - Heike śmieje się i kontynuuje: - W związku z tym będę potrzebowała twojej pomocy. Jesteś przecież bardziej doświadczona na tym polu.

Osobliwe zdanie. Co to ma znaczyć? Może ona chce mnie zapytać, czy urodzę jej dziecko? Czy będę matką zastępczą? Żeby nie wiem jak zażyła była nasza przyjaźń, ja się na coś takiego nie piszę. Być w ciąży. Mieć opuchnięte nogi, znosić potworne bóle porodo-

we, a potem, gdy się tylko to maleństwo wyciśnie, trzeba je oddać? To tak jakby przestrzegać przez długie tygodnie diety, żeby ktoś inny miał schudnąć.

- Czy mam urodzić dziecko? - pytam lekko skonsternowana.

Mam nadzieję, że w moim głosie nie słyhać przerażenia.

- Co ty! Teoretycznie mogłybyśmy same - uspokaja mnie Heike. - Ale ani ja, ani Lea nie chcemy być w ciąży.

Czy moja przyjaciółka nie potrzebuje przypadkiem uzupełnienia wiedzy z biologii? Może powinnam o tym pomyśleć? Delikatnie wspomnieć jej o pszczołkach, pyłku i kwiatkach? Zanim udaje mi się do tego zabrać, ona już mówi dalej:

- Uważamy, że ten pomysł z bankiem spermy jest głupi. Hugo mógłby co prawda być do naszej dyspozycji, ale taki wariant nam jakoś nie odpowiada.

Hugo jest zaufanym przyjacielem Heike, też mieszka w Monachium, ma salon fryzjerski i jest kimś w rodzaju wzorcowego geja. Zna nawet Udo Walza i całą berlińską śmietankę.

- Wobec tego jak miałyby się to odbyć? - okazuję zdziwienie, może naiwnie, ale przecież niebezpodstawnie.

- Zaadoptujemy dziecko tak jak Patrick Lindner i jego były przyjaciel. Chcemy się pobrać, żeby uniknąć potem tych wszystkich korowodów. To ma być nasze dziecko.

Mówię tylko „Wow!”, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Naprawdę niesłyszana wiadomość! Jak mogłaś tak długo trzymać język za zębami i na dodatek wysłuchiwać całej tej nieszczęsnej historii z Christophem? Niesamowite, moja przyjaciółka bierze ślub.

- A co w tym takiego niesamowitego? Moja przyjaciółka też jest po ślubie. Mam na myśli ciebie, rzecz jasna. To chyba normalne w naszym wieku.

O cholerka, popełniłam małe faux pas. Heike jest dosyć czuła na punkcie swojej orientacji seksualnej. Głupio wyszło.

- Cieszę się bardzo - dodaję szybko, zresztą zgodnie z prawdą.

Lubię ukochaną mojej najlepszej przyjaciółki. Nawet bardzo. Ale na początku byłam nawet ociupinkę zazdrosna. Heike uspokajała mnie wtedy:

- Ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką, a ona jest moją dziewczyną. To są definitywnie dwie różne pary kaloszy. - I miała, jak zwykle, rację. Poza tym Lea dobrze działa na

Heike i odwrotnie. Wszystko się więc układa jak najlepiej i więcej nie należy nawet oczekiwać. - Chcemy się pobrać mniej więcej za trzy miesiące. Zgodzisz się być moim świadkiem? - Heike szybko zapomina urazę.

- Będę zaszczycona - odpowiadam i tak właśnie się czuję.

Zaszczycona. Już widzę siebie, szlochającą w urzędzie stanu cywilnego. Bardzo łatwo się wzruszam. Obojętne, czy to wesele, czy pogrzeb. Andrea Schnidt z łatwością roni łzy.

- Nie martw się z powodu swojego faceta. Wróci do domu szybciej, niż myślisz - Heike nawiązuje do tematu wyjściowego.

- Mam wielką nadzieję - kończę rozmowę i obiecuję zadzwonić do niej jutro po wizycie w urzędzie pracy i zrelacjonować ją ze szczegółami.

Ona za to zobowiązuje się odezwać do mnie za parę dni i zdradzić więcej szczegółów na temat wesela. Jak, co, gdzie i kiedy. Jeszcze raz podkreślam, jak bardzo się cieszę, że będzie brać ślub, a potem się żegnamy.

Najlepsza przyjaciółka to coś bardzo szczególnego. Moja najlepsza przyjaciółka jest daleko w Monachium. Nie bądź niewdzięczna Schnidt, strofuję samą siebie, inne w ogóle nie mają najlepszej przyjaciółki. Ale byłoby pięknie móc czasami wpaść do niej na kawę. Zwłaszcza w takich sytuacjach jak ta. Christoph nadal nie zadzwonił. Uparty osioł! Z drugiej strony ma to swoje zalety. Moja skrucha przeradza się stopniowo we wściekłość. O kurczę, zapomniałam zapytać Heike, jak mogłabym jej pomóc w sprawie dziecka. Próbuję jeszcze raz zadzwonić. Nikt nie odpowiada. Muszę uzbroić się na jakiś czas w cierpliwość, zanim zaspokoję swoją ciekawość.

Minęło przedpołudnie i właściwie nic nie zrobiłam. Za pół godziny muszę odebrać Marka z przedszkola, a Claudia, moja dumna czwartoklasistka, za godzinę zadzwoni do drzwi. Do domu wraca sama na piechotę. Wiele matek przyjeżdża po swoje córki, chociaż szkoła jest bardzo blisko. Powód: czyhające wokół zagrożenia. Ja całe lata chodziłam do szkoły na piechotę i uważam, że jeszcze nikomu to nie zaszkodziło. Czyż nie mówi się wszędzie, że dzieci powinny mieć więcej ruchu? Oczywiście, gdy widzę w gazetach makabryczne tytuły o uprowadzonych i wykorzystanych dziewczynkach, mam czasami wątpliwości. Powątpiewam też w szkolny program bezpieczeństwa, rzekomo idealny. Ale życie zawsze niesie w sobie jakieś ryzyko. Poza tym Claudia wraca ze szkoły zawsze w towarzystwie dwojga innych dzieci z naszej ulicy.

Jednym z nich jest Emil, syn Tamary. Ten bardzo uzdolniony, który, niestety, musiał powtarzać pierwszą klasę. Zdaniem matki, przyczyna tkwiła w jego ponadprzeciętnych zdolnościach. Był niedoceniany i z tego powodu się zniechęcił. Tak więc Claudia i Emil są teraz w jednej klasie. Emil to dziwny chłopiec. Chętnie używa pięści, szczypie i kopie, ale potrafi też wyjaśnić istnienie czarnych dziur i teorię względności Einsteina. Może choć trochę zarazi swoją błyskotliwością Claudię. Muszę przyznać, że moja córka nie jest zbyt lotnym dzieckiem. Co prawda nie sprawdzaliśmy jej IQ, ale jak do tej pory nie zauważyłam u niej żadnych oznak ponadprzeciętnych zdolności. Nie chciałabym więc przeżyć zawodu na teście inteligencji. Jakie to musi być przykre - pójść z dzieckiem do psychologa w przekonaniu, że jest utalentowane, i dowiedzieć się, że maluch mieści się zaledwie w granicach przeciętnej inteligencji! Czegoś takiego nikt nie chciałby przeżyć.

Claudia niespecjalnie lubi Emila, głównie z tego powodu, że on niemal bez przerwy dłubie w nosie.

- On jest obrzydliwy - mówi moja córka i ma oczywiście rację. - Nie chcę chodzić do szkoły z takim „górnikiem”.

- Po prostu nie patrz - mówię i dodaję jeszcze: - Nie musisz przecież wychodzić za niego za mąż.

Sformułowanie „wychodzić za mąż” jest dla Claudii niemal tak samo obrzydliwe jak dłubanie w nosie. Wzdryga się na samą myśl o tym. U dziewczynek w jej wieku odraza do małżeństwa wydaje się automatyczna. Może to rodzaj naturalnego instynktu samozachowawczego? Ale dlaczego i kiedy właściwie go tracimy?

Mimo tej instynktownej niechęci Claudia maszeruje jednak z Emilem ze szkoły. Również Tamara na to nalega. Chłopiec jest zachwycony w takim samym stopniu jak moja córka, więc człapią obok siebie jak biedni, niemi małżonkowie z przymusu.

- O czym rozmawiacie, kiedy tak idziecie razem? - zapytałam kiedyś, a Claudia spojrziała na mnie jak na wariatkę.

- Ja wcale nie rozmawiam z Emilem - powiedziała, jakby był to istotnie dziwaczny pomysł z mojej strony. - Jak pójdę do nowej szkoły, będę musiała dalej chodzić z tym głupkiem? - dopytuje się regularnie Claudia.

- Nie, prawdopodobnie nie - odpowiadam jej równie często. Jeśli chodzi o wybór następnej szkoły, moja córka wybierze pewnie inną drogę niż Emil mądrała.

À propos wyboru szkoły. To jeden z absolutnie gorących tematów, który zajmuje nas, matki, niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę. Najpóźniej w trzeciej klasie zaczyna się istny cyrk. „Na którą szkołę się decydujesz?” - pada niezmiennie pytanie. Naturalnie, ja również zdażyłam się już zarazić tą chorobą i głowię się, co wybrać dla Claudii. Tego ważnego dla matek tematu nie da się odsunąć na bok - tak samo jak w światku mody po prostu nie wypada nie mieć pewnych rzeczy.

W naszej miejscowości nie ma wybitnych, jak to się zwykło ładnie nazywać, szkół. Dlatego dzieci muszą kolejką lub autobusem jeździć dalej. Jednak odległość nie jest decydującym kryterium wyboru szkoły - pewnie byłoby to najbardziej logiczne, ale zbyt pospolite. Chodzi przecież o możliwie najlepszą szkołę dla dziecka. Pierwszym pytaniem jest: szkoła główna, realka czy gimnazjum?* Albo może szkoła ogólna? Zresztą dzisiaj nauczyciele sugerują, do jakiej szkoły dziecko się nadaje.

* Gymnasium, Realschule i Gesamtschule - trzy typy szkół ponadpodstawowych w Niemczech o różnym stopniu trudności.

Claudia jest dobrą uczennicą. Niespecjalnie bystrą, ale solidną. Same czwórki i czwórki z plusem, z wyjątkiem matematyki i religii. Piątki raczej nie są w jej zasięgu, gorszych ocen też nie dostaje. Trudności z matematyką ma prawdopodobnie po mnie. Jej nauczycielka uważa, że Claudia powinna pójść do gimnazjum. Na szczęście Christoph i ja jesteśmy z tą opinią zgodni. Przeciwwstawienie się sugestii grona pedagogicznego wymaga odwagi. Powiedzieć: „Uważam, że moje dziecko powinno iść do gimnazjum”, w przypadku, kiedy odpowiedni nauczyciele sugerują realkę, jest aktem męstwa. Jednak dopiero po konsultacjach z nauczycielem zaczyna się prawdziwy cyrk.

Na którą szkołę się zdecydować? W tej kwestii skłaniam się raczej ku pewnemu pragmatyzmowi. Dlaczego nie wybrać najbliższej, z najlepszym dojazdem? A może moje podejście jest zbyt praktyczne? Mamy do wyboru pięć szkół: gimnazjum żeńskie, koedukacyjne, humanistyczne, szkołę zbiorczą i międzynarodową. Teoretycznie do wszystkich można bez trudu dojechać, co bynajmniej nie ułatwia wyboru.

- Najlepiej byłoby, gdyby poszła do tej szkoły, do której idą jej koleżanki. Wtedy będzie czuła się tam najlepiej - powiedziałam raz Christophowi.

Mój mąż na taki przejaw naiwności pokręcił tylko głową:

- Tu nie chodzi o dobre samopoczucie, ale o przyszłość naszej córki - odpowiedział władcym tonem, a potem objaśnił, dlaczego tylko międzynarodowa szkoła wchodzi w rachubę. - Biorąc pod uwagę dzisiejszy wyścig szczurów, dobrze by się stało, gdyby nasza córka była dwujęzyczna.

Potem nastąpił krótki wykład na temat globalizacji. Dla mnie - totalna bzdura. Nawet ze względów finansowych. Nie stać nas na międzynarodową szkołę. Kosztuje 1500 euro miesięcznie, a ja uważam za niedopuszczalne, aby reszta rodziny musiała zadowalać się suchym chlebem i makaronem, byle tylko nasza panna mogła uczyć się do takiej szkoły. Poza tym dlaczego miałyby być dwujęzyczna? To ma sens w przypadku dzieci z rodzin, w których w domu rozmawia się w dwóch językach - na przykład, kiedy matka jest Angielką albo ojciec Japończykiem. Ale ja jestem z Hesji i Christoph również. Szkoły międzynarodowe są dla dzieci, których rodzice zamierzają tylko przez jakiś czas mieszkać w Niemczech, a potem wyjechać do Ameryki - dla dzieci dyplomatów, polityków albo prezesów rad nadzorczych, którzy co dwa lata przenoszą się służbowo z kraju do kraju. Dla tych dzieci szkoła międzynarodowa istotnie ma sens. Ale dla Claudii? Czy w normalnym gimnazjum nie ma lekcji angielskiego?

Christoph wyleczył się z tego pomysłu dopiero po wizycie w szkole. Byliśmy w niej na dniu otwartym. Mój mąż już na parkingu rozdziawił buzię. Same monstrualnych rozmiarów auta terenowe, sportowe i jak okiem sięgnąć ani jednego polo, sharana czy forda fiesty. Cała дума Christoph'a, jego małe bmw, wyglądało jak nie z tej bajki. Tak jak na obrazkach: „Znajdź błąd - co tu nie pasuje?”. Mam! Jeden jedyny samochód poniżej 100 000 euro. Mój mąż wyglądał na porażonego ciężkim atakiem zazdrości. Niewiele brakowało, a zaczęłyby głaskać z namaszczeniem niektóre samochody na parkingu. No i ci rodzice! Wszyscy z tej samej gliny. Elegancy, obwieszeni symbolami statusu społecznego - torebki od Prady, biżuteria od Tiffany'ego, koszule Ralphi Lauren'a. Wybitnie jednowymiarowy świat. W którym pieniądze nie odgrywają żadnej roli, a jednak są najważniejsze. Kiedy dwie matki obok mnie wymieniały się uwagami o kłopotach z cumowaniem jachtów w Cannes, wiedziałam już, że ten świat nie jest kompatybilny z naszym światem domków szeregowych. Nie chcę, aby moja córka dorastała w środowisku, w którym nie istnieje coś takiego jak trzypokojowe mieszkanie. Udało nam się względnie szybko i niepostrzeżenie wymknąć z

terenu szkoły. Christoph też wykazał się zdrowym rozsądkiem. Szczególnie kiedy wyliczyłam mu, co się stanie, gdy również nasz syn będzie musiał opuścić podstawówkę.

- Te same prawa dla wszystkich - powiedziałam, dodając, że dwa razy 1500 daje 3000. - Czy jesteś w stanie płacić miesięcznie 3000 euro tylko za szkołę swoich dzieci? - zapytałam.

- Nawet gdybym mógł, nie chciałbym fundować dzieciom czegoś takiego. Czy piłkarze nie zaczynają od lokalnych drużyn, żeby dopiero potem dostać się do Bundesligi? To naturalne. Taka szkoła nie może być dobra dla dzieci - odpowiedział Christoph.

Byliśmy zgodni. I dobrze. Oszczędzimy 3000 euro miesięcznie. Fantastycznie!

Tak więc z pięciu szkół pozostały nam cztery. Gimnazjum dla dziewcząt, koedukacyjne, humanistyczne i szkoła zbiorcza. Christoph jest przeciwny szkole zbiorczej. Jeśli nasza córka może iść do gimnazjum, to dlaczego miałyby chodzić do szkoły zbiorczej z innymi, którzy nie nadają się do gimnazjum? - argumentuje. I to jest powód? Widać, że kieruje się raczej emocjami. Ja z kolei jestem przeciwna gimnazjum humanistycznemu. Z równie nieokreślonych powodów. Nie lubię łaciny - strasznie się kiedyś przez nią namęczyłam. Do greki też jakoś nie mogę się przekonać. Pewnie dla ogólnego wykształcenia obydwie przedmioty mogą być istotne, ale ja uważam, że sukcesy można równie dobrze osiągać bez znajomości języków klasycznych. Gimnazja humanistyczne są ostatnio w modzie, po prostu oblegane przez kandydatów. Ale tak naprawdę nie chodzi tu o ofertę językową, lecz o pewien konserwatyzm w sferze wartości. Wszystkim się wydaje, że rodzice, którzy wysyłają dzieci do humanistycznego gimnazjum, są kulturalnymi ludźmi. Powstał więc pogląd, że w takich szkołach pociecha znajdzie tak zwane odpowiednie towarzystwo. Może i coś w tym jest, ale zamęczanie dzieci greką i łaciną nie wydaje mi się tego warte. Tak uważam. Gdybyśmy już teraz wiedzieli, że Claudia zostanie, dajmy na to, teologiem, sprawa byłaby jasna. Ale przeciwko temu przemawia chociażby jej trójka z religii. Pozostaje więc gimnazjum koedukacyjne i żeńskie.

Proponuję zapytać Claudię o zdanie. W końcu to ona będzie tam chodzić. Ku naszemu wielkiemu zdumieniu chce iść do szkoły żeńskiej. W głębi duszy myślę, że jej decyzja wynika jedynie z tego, że dłubiący w nosie Emil, pomimo wszystkich swoich talentów, na pewno tam nie pójdzie. Nie jestem jednak pewna, czy takie kryterium powinno być de-

cydujące przy wyborze szkoły. W wieku niespełna dziesięciu lat nie należy już uzależniać swoich decyzji od mężczyzn.

Postanawiamy wspólnie odwiedzić zarówno szkołę żeńską, jak i koedukacyjne gimnazjum państwowe. Szkoła dla dziewcząt jest mniejsza. Bardziej kameralna. I też bardziej katolicka. Nic dziwnego, w końcu to kościelna szkoła prywatna. Niespecjalnie mnie to przekonuje, bo do Kościoła mam raczej ambiwalentny stosunek i nie podzielam zazwyczaj poglądów papieża. W szkole dla dziewcząt trzeba odbyć rozmowę kwalifikacyjną - nie biorą każdego, kto by chciał się zapisać. Szkoła prywatna może sobie poprzebierać w kandydatkach. Dziecko musi być ochrzczone i mieć dobre świadectwo.

Tak czy inaczej - umówiliśmy się na spotkanie... z dyrektorem. W szkole dla dziewcząt szefem jest facet. Zabawne - wszędzie same kobiety, dyrygowane jednak przez mężczyznę. Ale jest sympatyczny i życzliwie nastawiony. Przynajmniej na razie. Poczęstowano nas zimnymi napojami i ciasteczkami. Claudia jest dziwnie spięta.

- Zachowuj się normalnie, bądź miła, a wtedy cię przyjmą - dodaje córce otuchy przed decydującą o jej przyszłości rozmową. Także Mark, nasz syn, musi się stawić u dyrektora, chociaż raczej nigdy do tej szkoły nie pójdzie, chyba że za te kilka lat zdecyduje się spontanicznie na zmianę płci.

- Chcemy poznać całą rodzinę - wyjaśniła sekretarka, kiedy zawiadamiała nas o terminie spotkania. Christophowi, niestety, nie pasuje termin. - Poradzicie sobie sami - powiedział krótko. - Nie mogę przecież w zwykły dzień pracy przebiimbać popołudnia w jakiejś tam szkole.

- O rany, ty jesteś taki głupi - narzeka Claudia na brata krótko przed wyznaczonym spotkaniem.

- A co dostanę, jak będę grzeczny? - Mark staje do przetargu.

Bardzo sprytnie jak na dziecko z przedszkola. Cała sytuacja jest, ogólnie rzecz biorąc, groteskowa. Claudia w czasie jazdy samochodem z uporem maniaka szczotkuje włosy, tak jakby dobra wola dyrektora zależała tylko od właściwej dbałości o włosy. Ja mam na sobie swój najbardziej klasyczny strój - granatowy garnitur z błękitną bluzeczką pod marynarką. Przed nami rozmowa kwalifikacyjna i, poza Markiem, daje o sobie znać zdenerwowanie, jakby chodziło o nie wiadomo co. Jednak kiedy już staję do zawodów, chcę wygrać. Nawet tutaj. Chcę, żeby dyrektor powiedział: „Oczywiście, że pani córka zostanie przyjęta. Jak

najbardziej, pani Schmidt. To będzie dla nas zaszczyt". Wtedy my zawsze możemy powiedzieć: „Nieeee, dziękujemy. Zdecydowaliśmy jednak inaczej”.

Dyrektor wita nas. Siadamy na małej narożnej kanapie. Na początek pyta o męża.

- Praca, praca i jeszcze raz praca - odpowiadam i żeby to uwiarygodnić, opowiadam o jakimś ważnym procesie. Nie mam pojęcia, czy moje wyjaśnienia są zgodne z prawdą, ale jako wymówka brzmią nieźle. Dyrektor, pan Leopold Knuschke, wykazuje zrozumienie.

- No to zaczynajmy - rozpoczyna rozmowę kwalifikacyjną.

- Dlaczego chcesz przyjść do naszej pięknej szkoły, Claudio? - pyta moją córkę.

- Ponieważ tu nie ma chłopców! - odpowiada bez chwili namysłu.

Krótko, zwięźle i precyzyjnie.

- Nie lubisz chłopców? - pyta dalej.

- Nie! - woła Claudia tak głośno, że można ją pewnie usłyszeć na szkolnym dziedzińcu.

Zaczynam coś bredzić o badaniach, według których dziewczynki w żeńskich szkołach osiągają lepsze wyniki z przedmiotów przyrodniczych, a przy tym nie są skrupowane i lepiej się uczą. Dyrektor przytakuje, na pewno zna lepiej te badania ode mnie. Teraz chce poznać nasz stosunek do religii.

- Claudio - znowu zwraca się do naszej córki - chodźcie chętnie do kościoła?

Zanim udaje jej się otworzyć usta, Mark woła:

- Nieeeee, to głupie!

Claudia patrzy przerażona, pojmuję prawdopodobnie, że nie jest to odpowiedź, jaką chciałby usłyszeć pan Knuschke, i mówi cicho:

- Ja chętnie bym poszła, ale rodzice zawsze tak długo śpią.

Fantastycznie odbiła piłeczkę. Zresztą dyrektor i tak już zaniemówił. Brawo! Ciekawe, jak z tego wybrnę. Pan Knuschke patrzy na mnie. Ja śmieję się trochę zakłopotana i czuję, że robię się czerwona jak burak. Jak ośmiolatka przyłapana na oszustwie.

- No cóż - próbuję elegancko wyjść cało z opresji - coś w tym jest. Po całym tygodniu jesteśmy tak strasznie zmęczeni.

Dyrektor mierzy mnie surowo.

- Stąd pewnie ta trójka z religii? - nie ustępuje.

Claudia smutno przytakuje, jak biedactwo, któremu ciągle odmawia się cotygodniowego wyjścia do kościoła z powodu zaspanych rodziców.

Myślę gorączkowo, jak mogłabym wyrzucić na dyrektora pozytywne wrażenie.

- Mój mąż był kiedyś ministrantem - wypróbuję domniemany maleńki atut.

Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Co prawda nigdy mi nie mówił, żeby kiedyś służył do mszy, ale chyba nie ma żadnych list, gdzie można by to sprawdzić. Na pana Knuschke moje słowa nie robią jednak wrażenia. Chce wiedzieć, czy jestem zadowolona z wyboru papieża. Przecież nie mogę powiedzieć, że wszystko mi jedno, który staruszek zostanie wybrany. Gdzieś czytałam, że postępowe siły w Kościele opowiadały się za kandydatem z Ameryki Południowej.

- Życzyłabym tego mieszkańcom Ameryki Południowej - staram się dać sprytną odpowiedź. Wybór papieża nie jest tematem, w którym czuję się mocna.

- Tak, można na to spojrzeć i z tej perspektywy - dyrektor kończy temat.

Sądzę, że akceptacja brzmi jednak inaczej.

- Matematyka nie wydaje się twoim ulubionym przedmiotem - startuje z nową serią pytań i patrzy wyczekująco na Claudię.

- Nie - odpowiada.

Moja córka jest zazwyczaj bardziej rozmowna, tymczasem tu ogranicza się do minimum. Zawsze jednak odpowiada na pytanie, a to już coś.

- Jest bardzo dobra z niemieckiego - wspominam dla równowagi mocniejsze strony Claudii.

Dobry Boże, jakie to uwłaczające, że za wszelką cenę staram się wkraść w jego łaski. Najchętniej powiedziałabym: „Nie, to nie”, i wyszła. Ale wiem, jak bardzo moja mała jest zdenerwowana i jak bardzo chciałaby zostać uczennicą tej szkoły. Dlatego staram się jak mogę, chociaż za nic w świecie nie nazwałabym tej rozmowy miłą.

- Bardzo dobra z niemieckiego, aha - bąka pan dyrektor i wyciąga z teczek Claudii świadectwo. - Chyba raczej dobra - dodaje, patrząc na czwórkę na cenzurce.

Och, cóż za drobiazgowy pawian! Chcę stąd wyjść. Może teraz odpyta mnie, czy stosujemy antykoncepcję, a jeśli tak, to jaką?

- Czy pracuje pani społecznie? - chce wiedzieć tymczasem doktor Knuschke.

- Tak, owszem - próbuję zyskać czas, by zebrać myśli. - Chociaż nie lubię o tym mówić. Opiekuję się starszymi sąsiadami, a przede wszystkim sąsiadkami, zapraszam je czasem na kawę. Albo idę z nimi na zakupy.

Mam nadzieję, że Anita i Tamara wybaczą mi to małe kłamstewko w naprawdę awaryjnej sytuacji. Anita jest rzeczywiście starsza ode mnie, Tamara też, o pół roku. I przecież przychodzą do mnie regularnie na kawę. I sąsiadkami też są. Na zakupy także razem chodzimy. Dyrektor Knuschke nie będzie chyba łaził po naszej ulicy i zasięgał informacji.

- Zwłaszcza starsi ludzie potrzebują uwagi i ludzkiego ciepła - okraszam jeszcze całość. - Dla mnie to rodzaj sąsiedzkiej pomocy.

Przytakuje. Moja odpowiedź chyba mu się podobała. Jestem z siebie dumna. Dobra robota, Schmidt, myślę, ale już następują kolejne pytania.

- Czy byłaby pani gotowa udzielać się w szkole, pani Schmidt? - patrzy na mnie wy-czekująco.

- Czy mam tu uczyć? - pytam zdziwiona.

Uśmiecha się.

- Nie, do tego mamy wykwalifikowany personel, ale w naszym barku, bibliotece czy ogrodzie przyda się każda pomocna para rąk. Czesne pokrywa jedynie najpilniejsze potrzeby.

Tego jeszcze brakowało! Smarować kanapki w szkolnym bistro! Ale dopóki nie muszę niczego podpisywać, zgodzę się na wszystko. Przecież jeśli przyjmie moją córkę, nie może jej potem wyrzucić tylko dlatego, że matka nie pracuje regularnie w szkolnym barku.

- Mój mąż uwielbia pracować w ogrodzie - staram się wspomnieć w rozmowie nie-obecnym.

- Ciekawe - odpowiada pan dyrektor Knuschke i dodaje: - Ze swej strony gwarantujemy, że w tej szkole nie przepadają żadne lekcje.

Nie rozumiem, co ma praca w ogrodzie do przepadania lekcji, ale może pan Knuschke chciał tylko zwrócić uwagę na kolejny atut szkoły. W końcu nauka w niej kosztuje i choćby z tego względu dyrekcja musi coś oferować.

- Wspaniale - mówię i myślę tylko, że gdybym była uczennicą, wcale nie byłabym tym zachwycona. Murowane lekcje. Żadnych niespodzianek i odwołanych godzin.

Ale jako matka powinnam uznać to za argument przemawiający na korzyść szkoły. Wreszcie jesteście wolni.

- Skontaktujemy się z państwem. Proszę nie dzwonić, my państwa powiadomimy - mówi pan Knuschke.

Głos zabiera także Mark:

- Czy możemy wreszcie wyjść?

Taktycznie niemądra uwaga, ale właściwie uzasadniona. Łapie jeszcze z talerza garść ciasteczek i kieruje się w stronę drzwi. Oczywiście, bez przepisowego „do widzenia” czy czegoś podobnego. Claudia natomiast dyga przed dyrektorem. Szkoda, że nie mam w rękę aparatu, nie miałam pojęcia, że moja córka w ogóle wie, jak się to robi. Dobry Boże, jakie to poniżające! Sprawy zaszły naprawdę za daleko.

Wychodząc, rzucam jeszcze spojrzenie na biurko. Olbrzymie zdjęcie w ramce. A na nim nie rodzina Knuschke, lecz dyrektor Knuschke z papieżem. Świetnie. Moja uwaga o kandydacie z Ameryki Południowej była zatem z pewnością bardzo „pomocna”.

Jedziemy na lody. Uważam, że zasłużyliśmy sobie na nagrodę. Claudia dopytuje się, czy będzie mogła chodzić do szkoły bez chłopców.

- Tego nie wiem - odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Jeśli mnie tam nie przyjmą, to ty będziesz winny - wyrzuca bratu.

Staram się ich uspokoić.

- Nikt niczemu nie jest winny. Wiele dziewczynek chce się dostać do tej szkoły, ale wszystkich nie mogą przyjąć. Musimy poczekać na odpowiedź.

- Nie dostanę się tam, bo nie chodzimy do kościoła - utyskuje Claudia. - Od teraz chcę chodzić do kościoła. Żebym mogła się tam dostać.

- Tata pójdzie z tobą, jeśli koniecznie chcesz. A jeśli nie przyjmą cię do tej szkoły, znajdziemy inną.

Mała zaczyna płakać.

- Nie chcę chodzić gdzie indziej, bo tam pójdzie też Emil i już zawsze będę musiała wracać z nim ze szkoły.

- Nie, nie będziesz musiała - mówię, chociaż nie wiem, czy to prawda. Ale w tej chwili powinniśmy się wszyscy przede wszystkim odprężyć.

Kilka dni później jedziemy na dzień otwarty do państwowego gimnazjum koedukacyjnego. W tym przypadku chodzi o zwykłe obejrzenie szkoły. Nie musimy spotykać się z żadnym dyrektorem i odpowiadać na jego pytania, co o wiele bardziej mi się podoba. Poza tym wszystko wygląda prawie tak samo, tylko szkoła jest trochę większa.

- Ta poprzednia była ładniejsza - marudzi Claudia.

- Przecież ta też jest ładna! - przekonuję z zapałem, zabezpieczając się na wypadek odmowy przyjęcia do szkoły dla dziewcząt.

Nagle dostrzegamy, zmierzających przez szkolny dziedziniec dokładnie w naszym kierunku, Tamarę, jej męża Steviego i ich nadzwyczaj uzdolnionego „górnika”. Szkolny koszmar Claudii. Tamara macha ku nam ręką.

- I jak, wam też się podoba? - pyta podniecona.

- Tak, bardzo - mówię, obserwując przy tym swoją córkę, która staje jak wryta.

- Emil będzie tu chodził? - staram się, aby moje pytanie zabrzmiało jak najbardziej obojętnie.

- Być może - odpowiada ojciec Emila, Stevie, a Tamara szybko pyta:

- A co z Claudią?

O, wkraczamy na niebezpieczny teren. Przecież nie mogę powiedzieć: „Claudii podoba się, owszem, ale pod warunkiem, że Emil się tu nie pojawi”.

- Zobaczymy - daję wymijającą odpowiedź, która niczego nie wyklucza.

- Mogę tu chodzić, jeśli Emil pójdzie gdzie indziej. - Claudia okazuje bezwstydną szczerłość i absolutny brak taktu.

Widać, że mocno zacięła się w sobie. Ale Emil nie wygląda na zmieszanego czy oburzonego. Tamara tylko się śmieje:

- Emil też tak mówi. Wybierze tę szkołę, do której nie pójdzie wasza córka.

- Co za bzdura! - śmieje się mój mąż, który jak zwykle nie ma o niczym pojęcia. - Kto się czubi, ten się lubi.

Mogłoby się wydawać, że te słowa powinny rozluźnić atmosferę, tymczasem efekt jest zupełnie odwrotny. Jakby ktoś rzucił granat. Jeśli człowiek nie orientuje się w sytuacji, lepiej trzymać buzię na kłódkę. Claudia wygląda tak, jakby miała do wyboru albo zabić swojego ojca, albo tu i teraz zwymiotować.

- Nigdy nie pójdę tam, gdzie on - wyrzuca z siebie i, żeby nikt nie miał wątpliwości, celuje palcem wskazującym w Emila.

On wyciąga swój na moment z nosa i wskazuje na Claudię:

- Z tą głupią krową nigdzie nie pójdę!

Teraz chyba nawet Christoph zrozumiał, że ci dwoje nie darzą się wielką miłością.

- Mamy jeszcze czas - mówi i klepie Steviego jowialnie po plecach.

Tak jakby chciał powiedzieć: „Jakoś to będzie, brachu, moja córka nie miała tego na myśli”. Także Stevie się uśmiecha:

- Eee, wiesz, to nie jest szkoła dla Emila. Zbyt zdolny chłopak, żeby tu przyjść.

Przynajmniej jedno stało się teraz jasne. Nadzwyczajnych zdolności Emil nie odziedziczył po ojcu. A może to bezpośrednie porównanie ojca z synem sprawia, że Emil wydaje się bystrzakiem? Jakby nie było, bardzo bym się cieszyła, gdyby rodzice Emila wybrali mu inną szkołę, bo przeczucie mówi mi, że ze szkoły dla dziewcząt nic nie wyjdzie.

Miałam rację, chociaż za względu na Claudię wcale nie czuję satysfakcji. W dwa tygodnie po rozmowie przysłano z żeńskiego gimnazjum odmowną odpowiedź. Christoph jest do głębi oburzony:

- Co ten facet sobie wyobraża? - protestuje, czytając list.

- Przecież może przebierać między uczennicami i jak widać, woli praktykujących katolików. Albo dziewczynki, które nie mają kiepskiej oceny z matematyki. Albo matki, które pieją z zachwytem nad papieżem - podchodzę praktycznie do sprawy.

Christoph złości się, że nie było go przy rozmowie, co akurat złości mnie. Tak jakbym sama nie potrafiła zaprezentować w korzystnym świetle naszej rodziny na rozmowie kwalifikacyjnej! Jakby jej rezultat mógł być zupełnie inny, gdyby on stawił się tam razem z nami! Mam wrażenie, że mój mąż zrzuca na mnie winę. Czuje się dotknięty do żywego, że ktoś odważył się odmówić czegoś jego dziecku. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Vereny. Jej mąż jest bratem jednego z zarządzających szkołą. Ale Verena nie należy do moich najlepszych przyjaciółek - to tylko była znajoma z placu zabaw, którą poznałam jedynie dlatego, że jej syn Torben przyłożył kiedyś mojej córce łopatką po głowie.

Głupia mówię o moim pomysle Christophowi, który jak na złość zapala się do niego.

- Zadzwon, trzeba wykorzystywać znajomości! Że też mnie podkusiło...

- Nie znam jej dobrze, będzie mi bardzo niezręcznie - wyznaję szczerze.

Teraz Christoph uważa, że to głupie.

- Co znaczy niezręcznie? W sprawach naszej córki nigdy nie powinniśmy czuć się niezręcznie! - wykrzykuje. - Gdybym ja ją znał, już dawno bym zadzwonił.

Oszczędzam sobie wyjaśniania, że pojęcie „znać kogoś” definiuje się trochę inaczej niż przypadkowe spotkanie na placu zabaw.

- Zadzwonię jutro - mówię, bo chcę zyskać na czasie. Przecież nie mam nawet numeru telefonu do tej Vereny.

Oczywiście, mogłabym zadzwonić do Thei, mamy Belindy, jednej z koleżanek Claudii z przedszkola, z którą moja córka od paru lat nie ma kontaktu. Tak jak ja z Theą. Thea wysłała Belindę do szkoły Waldorfa*. Zwykła szkoła nie była dość dobra dla jej córki. Tak przynajmniej uważała Thea. Dla dzieci rozstanie było wtedy dosyć bolesne, natomiast dla mnie nie bardzo. Thea jest supermatką, co bywa męczące. To jedna z tych, przy których człowiek czuje się malutki.

* Szkoły Waldorf / Szkoły Rudolfa Steinera - szkoły prywatne, istniejące obecnie w większości krajów europejskich, w których nauczanie oparte jest na pedagogice antropozoficznej Rudolfa Steinera, kładące szczególny nacisk na rozwój kreatywności uczniów; program obejmuje edukację w zakresie wszystkich przedmiotów standardowych, a także plastyki, malarstwa itp. Pierwsza tego rodzaju szkoła została założona w 1919 roku w Stuttgarcie przez właściciela fabryki papierosów Waldorf-Astoria z przeznaczeniem dla dzieci jej pracowników.

Obojętne, czy chodzi o składanie serwetek, czerpanie papieru, szycie kostiumów - ona potrafi wszystko. Przy niej każda jest nieudacznikiem. Matką na pół gwizdka. Jak już robić, to porządnie - oto dewiza Thei. Jej zdaniem, dzieciom trzeba się całkowicie poświęcić, wręcz im się oddać. Według mnie brzmi to trochę jak definicja ofiarnego jagnięcia. Między zaniechaniem dziecka a przesadnym matkowaniem jest jeszcze cała ogromna przestrzeń. Thea karmiła piersią nie kilka miesięcy, ale kilka lat. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby Belinda jeszcze teraz potajemnie ssała wieczorami cyca. Thea nie piecze zwykłych ciast, lecz tworzy cukiernicze dzieła sztuki. I tak dalej. Mówiąc krótko: Thea wprawia mnie w zły humor. Mimo wszystko dzwonię do niej. Po trosze także z ciekawości. Właściwie szkoda, że nasze dzieci nie widziały się już tak długo. Mogłabym zaprosić ją na kawę, naturalnie z Belindą, a potem zapytać mimochodem, co słychać u Vereny. I oczywiście u Piusa, męża Thei. Wtedy flirtował trochę z Lydią, samotną fryzjerką. O samej Thei wiem tylko, że uro-

dziła jeszcze bliźnięta - dwóch chłopców, Maksa i Moritza. I że rodzina się przeprowadziła bliżej szkoły Waldorfa (wprawdzie tylko dwa kroki dalej, ale dwa kroki w kosmosie matki znaczą cholernie dużo). Nie ułatwia sprawy fakt, że nasze kontakty utrzymywały się tylko dzięki dzieciom. Nie pomaga też upływ czasu ani różne koncepcje wychowania.

- Zadzwońię do Thei i zapytam o numer Vereny - oświadczam Christophowi.

Nie mam bowiem ochoty wysłuchiwać przez następne dwadzieścia lat: „Gdybyś wtedy zadzwoniła, życie Claudii mogłoby potoczyć się inaczej”. Mężczyźni nadzwyczaj łatwo zapominają o rocznicach albo nawet o urodzinach, ale taki drobiazg jak ten, mój mąż prawdopodobnie pamiętałby nawet przy mocno posuniętej chorobie Alzheimera. Faceci mają niewiarygodnie wybiórczą pamięć. Właściwie równie dobrze on też mógłby tam zadzwonić. W końcu wymigał się już od rozmowy z doktorem Knuschke. I teraz właśnie mu ten fakt wypominam. Ojciec, który nie ma czasu na tak ważne spotkanie, nie spodobał się dyrektorowi. Wprawdzie nie jest to do końca zgodne z prawdą - myślę, że temu Knuschkemu nieobecność ojca Claudii była tak naprawdę obojętna - ale jeśli ta uwaga wystarczy, żeby wzbudzić u Christopha choć cień wyrzutów sumienia, to świetnie. Mam wrażenie, że teraz ja powinnam podjąć jakieś kroki. Nieprzyjemne uczucie. Poczucie winy jest łatwiejsze do zniesienia, jeśli można je z kimś dzielić.

Z myślą o przyszłości swojej córki wybieram numer do Thei. Dopiero przy siódmym sygnale podnosi słuchawkę. W tle słyszę hałas jak na jakimś ludowym festynie.

- Kto tam? - jej głos przekrzykuje zgiełk.

- Andrea, Andrea Schnidt - wrzeszczę do słuchawki.

- Andrea, co za niespodzianka. Masz jakąś sprawę? - Entuzjazm Thei jest raczej umiarkowany. Wydaje się spięta.

- Chciałam się do ciebie odezwać, usłyszeć, co u was nowego - zagajam rozmowę.

Nie potrafię tak od razu, bez ogródek, wyznać, że potrzebuję pewnego numeru telefonu, a ona sama jest mi kompletnie obojętna. Opanowałam w końcu pewne zasady *savoir-vivre'u*.

- Nie miej mi za złe - odpowiada, a wrzaski w tle zdają się zapowiadać nadejście pory karmienia drapieżnych zwierząt - ale trafiłaś na zły moment. Chłopcy mają ospę wietrzną, a Belinda wariuje i gra na nerwach wszystkim dookoła.

Czy to powiedziała Thea, matka nad matkami? Wspaniale! Wcześniej takie słowa w jej ustach byłyby nie do pomyślenia. Ona nigdy nie wypowiadała się z taką frustracją o swojej najukochańszej córce, tym zdolnym i niezwykłym dziecku.

- Nie ma problemu - natychmiast wykazuję zrozumienie. - Kiedy ci bardziej pasuje?

- Właściwie tylko w nocy mam spokój, ale wtedy trzeba raczej spać, żeby móc przeżyć kolejny dzień - wzdycha do słuchawki.

Mój Boże, chyba rzeczywiście musiał nastąpić jakiś gigantyczny zwrot. Teraz jestem nawet ciekawa naszego spotkania. Przykro mi z jej powodu, ale w głębi ducha słowa Thei mnie uspokajają.

- Odpręż się - używam jej dawnego słownictwa - zadzwonię jakoś jutro.

- Dobrze - odpowiada - cześć.

Poszło bardzo szybko. Czuję się jak agentka od wciskania ludziom ubezpieczeń, która jest tak samo mile widziana jak wysypka na genitaliach. Ale zawsze będę mogła powiedzieć: „Zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy”.

- Jutro dostanę numer telefonu do tej Vereny - oznajmiam mężowi.

- Dobrze - odpowiada tylko.

Wolałabym usłyszeć więcej entuzjazmu w jego głosie. Ale co tam! Zastanawiamy się, jak powiedzieć Claudii o odmowie. Christoph obstaje za taktyką zwłoki.

- Mamy jeszcze czas, nie trzeba jej niepotrzebnie denerwować. - Ponieważ nie chce mi się wysłuchiwać jej lamentów, zgadzam się.

Dostajemy dobrą wiadomość kilka dni później. Jesteśmy na liście rezerwowej dyrektora Knuschke. Jeśli ktoś zrezygnuje, przeprowadzi się czy cokolwiek innego, istnieje szansa, że Claudia zostanie przyjęta do szkoły. Co za wspaniałomyślność ze strony pana dyrektora. Najchętniej zadzwoniłabym do niego i powiedziała, że może sobie wsadzić tę listę rezerwową. Christoph uważa jednak, że to świetna wiadomość:

- No widzisz. Dobrze, że nic nie powiedzieliśmy Claudii. Może jednak zostanie przyjęta i tylko niepotrzebnie byśmy ją denerwowali.

Pan Knuschke nie poinformował nas jednak, które miejsce zajmujemy na liście oczekujących. Ile w ogóle jest na niej osób? Według jakich kryteriów przydzielane są pozycje na tejże liście? Dla mnie to wszystko zakrawa na jakiś kabaret. Tymczasem z gimnazjum koedukacyjnego otrzymujemy zgodę bez żadnego „ale”.

- Pójdzie tam - stwierdzam i to samo powtarzam Christophowi. - Nie będziemy żebrać u tego głupiego Knuschke, który wstawia naszą córkę na jakąś listę rezerwową. Powinniśmy do niego zadzwonić, pokazać resztkę dumy i powiedzieć, że rezygnujemy.

Christoph uważa, że mi odbiło.

- Przecież potem nikogo nie będzie interesowało, jak Claudia dostała się do tej szkoły. Oczywiście, jej też nie powiemy, że przeskoczyła z listy rezerwowych! - zamyka sprawę Christoph.

O Boże! Muszę odebrać Marka. Chwytam kluczyki i pędzę do samochodu. Za cztery minuty zamykają przedszkole, a ja potrzebuję sześciu minut, żeby tam dojechać. Pod warunkiem, że światła po drodze będą mi sprzyjać. Skąd wytrzasnąć te dwie minutki? Szlag by trafił! Udaje mi się dotrzeć na miejsce w pięć minut. Nowy rekord w pokonywaniu tego odcinka.

Przed przedszkolem niemal wpadam na jakiegoś faceta, który wygląda jak mój nauczyciel geografii z ósmej klasy. Pan Girstmann. Ostatni raz spotkałam go rok temu. Nie umawiam się ze swoimi byłymi nauczycielami (choć podobno są tacy ludzie), ale wtedy mieliśmy spotkanie klasowe, a dokładniej mówiąc zjazd rocznika. Wiekopomny zjazd rocznika. Bardzo dobrze go pamiętam, choć minął już ponad rok.

Zadzwonił Mischi-Kiełbasa. Mischi-Kiełbasa chodził ze mną do szkoły, a jego rodzice mieli masarnię - stąd ksywka. Pośrednio także z powodu okropnych bułeczek z metką, na które próbował zdobywać dziewczyny. Całe lata później spotkałam go ponownie w szpitalu. Przyjechałam na porodówkę, a on pracował tam jako lekarz. Nie byłam zachwycona, ponieważ nie uśmiechało mi się badanie w wykonaniu Mischi-Kiełbasy. Już sam fakt, że udało mu się dostać na medycynę, stanowił, delikatnie mówiąc, pewną niespodziankę, bo w szkole raczej nie grzeszył intelektem. Spotkanie to zmąciło trochę moje wyobrażenie o lekarzach.

Moja przyjaciółka Sabine zakochała się potem potwornie w Mischi-Kiełbasie. Po części właśnie dlatego, że był lekarzem - Sabine dostaje maślanych oczu na widok białego kitla. Niestety, Mischi-Kiełbasa dał jej kosza dla - jakie to prozaiczne - bardzo młodej pielęgniarki, która, jak powiedział, „wyrażała więcej empatii dla jego pracy”. Sabine bardzo cierpiała, co do dzisiaj jest dla mnie raczej niezrozumiałe. Widocznie Mischi-Kiełbasa musi mieć jakieś walory, których my wtedy, za czasów szkolnych, nie mogliśmy nawet prze-

czuć. Kiedyś Sabine, po paru lampkach wina, porównała go do nieoszlifowanego diamentu:

- Takich mężczyzn nie spotyka się często. On ma w sobie niesamowitą energię! - mówiła wtedy rozanielona, co w wolnym tłumaczeniu brzmiałoby mniej więcej tak: „To tygrys w łóżku. Niezmordowany i wytrwały”. Sabine przez wiele tygodni była niepokieszona.

Ale wracając do Mischi-Kiełbasy:

- Andrea, zarezerwuj sobie sobotę za cztery tygodnie, bo mamy spotkanie klasowe! Przyjedzie cały rocznik. To będzie impreza!

Jeszcze w trakcie rozmowy postanowiłam tam nie iść, ale przed Mischi-Kiełbasą udawałam zachwyconą.

- Cudownie Mischi (za każdym razem, kiedy się do niego zwracam, muszę uważać, żeby nie nazwać go Mischi-Kiełbasą), bardzo się cieszę. Jeśli tylko będę miała czas, na pewno przyjdę.

Idea spotkań klasowych z zasady mi się nie podoba. Co prawda jestem ciekawa, co słyhać u dawnych koleżanek i kolegów, ale z drugiej strony mam raczej niemiłe wspomnienia z okresu spędzonego w szkole.

Nigdy nie należałam do paczki nadającej reszcie klasy ton i fason. Byłam szarą myszką, zadowolona, jeśli zostawiało się ją w spokoju lub ewentualnie poświęciło trochę uwagi, racząc miłym słowem. Nie pełniłam funkcji gospodarza ani jego zastępcy, nigdy nawet nie zaproponowano mojej kandydatury. Byłam tak niepozorna, że nikt by pewnie nie zauważył, gdybym pewnego dnia po prostu przestała przychodzić do szkoły. Może trochę to wszystko wyolbrzymiałam, ale jedno nie ulega wątpliwości: szkoła nie jest czymś, za czym tęsknię w swoich wspomnieniach. Dlatego po maturze nie utrzymywałam z nikim kontaktu. Dziwne, lecz na spotkaniach klasowych zawsze wpada się - zupełnie mimowolnie i niemalże nieświadomie - w swoją dawną rolę. Bez względu na to, jak bardzo staramy się temu zapobiec. Więc znowu byłabym bladą okularnicą Schmidt z ósmej klasy - dziękuję, nie skorzystam.

Mimo wszystko poszłam. Z czystej ciekawości. Chociaż już wcześniej starałam się zdobyć najsmakowitsze ploteczki. Zadzwoiłam do dwóch byłych koleżanek z klasy i poprosiłam je o zdanie relacji, gdy już będzie po imprezie. Pudło.

- Ha ha - zaśmiała się Karolina - nieźle to sobie obmyślałaś, ale kto nie przychodzi, ten nic nie wie.

No tak, mogłam się domyślić. Karolina nigdy nie dawała nikomu odpisywać. Robiła z piórnika mały murek, żeby nikt nie skorzystał z jej prześwietnych pomysłów. Także i od Britty, tej rudej z wielkim biustem (Britta miała już biust, kiedy cała reszta nie miała jeszcze pryszczki), nie zdołałam nic wyciągnąć. - Tak sobie postanowiłaś czy masz jakieś powody, żeby nie przyjść? - zapytała najpierw. Dzieci i inne plany jako wymówka odpadały. - Ja mam pięcioro dzieci i przychodzę, więc przestań się zasłaniać swoją dwójką. Nic ci nie zdradzę, jeśli nie przyjdiesz. Obiecałam też Karolinie. Już do mnie dzwoniła i powiedziała mi, że pewnie się ze mną skontaktujesz i będziesz próbowała mnie przekabacić.

Pięcioro dzieci. Niewiarygodne! Czy to znaczy, że od czasów szkolnych ona nie miała ani jednego weekendu, w którym nie byłaby w stanie błogosławionym? Czterdzieści pięć miesięcy daje około czterech lat ciąży. Już choćby z tego powodu podziwiam kobiety, które mają dużo dzieci. Całymi latami nie widzieć własnych stóp!

Po tym jak Karolina i Britta kategorycznie odmówiły zdania relacji ze spotkania rocznika, pozostało mi jedynie pójść tam albo powiedzieć sobie: „Nie interesuje mnie, co u nich nowego”. Ale w spotkaniach klasowych właśnie najciekawsze jest to, jak innym potoczyło się życie i jak sobie dzisiaj radzą. Czy można wreszcie zatriumfować? Czy z dawnej klasowej piękności zrobiła się ropucha? Czy najbystrzejsi odnieśli największe sukcesy? A przede wszystkim: co porabia ten piękny i nieosiągalny Luke? Miałam bzika na punkcie Luke'a (właściwie Ludgera!) od siódmej klasy aż do matury. Niestety, z nim było odwrotnie - w żadnej mierze nie zbzikował na moim punkcie. Poza tym był mało wybredny - chodził zarówno z Karoliną, jak i Brittą. Z tą ostatnią nawet kilka razy (przy takim biuście nic dziwnego!). Miał długie falowane włosy i oszałamiającą sylwetkę, jeździł na motorowerze i palił papierosy. W dodatku był nonszalancki, po prostu bohater! Wygrzebuję stare zdjęcia z czasów szkolnych i dumam dwadzieścia minut nad fotografią Luke'a. Co za chłopak! Jeden z tych, na których jeszcze i dzisiaj miałabym chrapkę. Myślę, że on przez całą szkołę nie dostał ani razu kosza.

Postanawiam iść na to spotkanie: „Niech ten cały Luke się przekona, co stracił w szkolnych czasach”. Przez dwa tygodnie jem mniej niż zwykle i specjalnie na ten wieczór kupuję sobie rewelacyjne dżinsy w rozmiarze 29! Trochę cisną, ale, jak powiedział Chri-

stoph, moja pupa wygląda w nich oszalamiająco. Ha! Co prawda ledwie mogę oddychać, ale kto o tym będzie wiedział?

Do dzinsów wkładam obcisły sweterek w szpic, aby nie sprawiać wrażenia zbyt wystrojonej. Kupuję też biżuterię - olbrzymie kreolskie koła do uszu. Pozazdrościłyby mi ich każda Afrykanka. Robię sobie makijaż jak najstaranniej potrafię i zużywam dwa razy więcej pianki do włosów niż zwykle. Według motto: zrobić coś z niczego. Moje cienkie strąki stanowią rzeczywiście wyzwanie. Wciąż je suszę, układam, modeluję za pomocą kilku okrągłych szczotek, wcieram w nie wszystko, co jest dostępne na rynku, a mimo to cała ta wspaniała szopa zazwyczaj opada już po trzech kwadransach. A co najbardziej mnie wkurza: tych zabiegów w ogóle nie powinno być widać. Bo największą sztuką jest to, żeby nikt nie zauważył tych wszystkich wysiłków i sztuczek poczynionych dla osiągnięcia efektu końcowego. Na wierzch nakładam jeszcze efektowne poncho. Kolorowy, obramowany frędzlami kawałek materiału z dziurą na głowę. W razie gdyby dzinsy odebrały mi ostatni dech, będę mogła swobodnie odpiąć guzik, nie musząc wychodzić na dwór. Poza tym poncho jest ostatnim krzykiem mody. Kiedy tak „zrobiona” wychodzę z domu, Christoph jest trochę zły:

- Dla kogo się tak wystroiłaś? - pyta tylko.

- Dla wszystkich - odpowiadam. - Niektóre rachunki nie zostały jeszcze wyrównane.

Ale się zdziwią. Luke robi wielkie oczy. Może powstać nowa wersja historii o Kopciuszku. W torebce (mała, z krótkim paseczkiem, bardzo modna - zwana „jamnikiem”, jak poinformowała mnie sprzedawczyni) mam na wszelki wypadek najlepsze zdjęcia swoich dzieci. Kiedy oglądała je moja mama, zapytała, kto na nich jest. Nie ma wątpliwości, że mam ładne dzieci, ale na tych zdjęciach wyglądają po prostu fantastycznie - co nie do końca pokrywa się z rzeczywistością. Ale co tam. Sfotografowałam też nasz domek. I to tak, żeby nie było widać, że do jego boków przyklejone są identyczne. Mam także zdjęcie Christopha. Stoi na nim oparty o swoje bmw. Tak, wiem, że to dziecinne i dosyć żenujące. Nawet bardzo. Ale dla mojego ego absolutnie konieczne. Kto wie, co inni wyciągną ze swoich torebek? Wcale nie muszę pokazywać tych fotografii, ale na wszelki wypadek jestem doskonale przygotowana.

Sobota wieczór, Frankfurt-Bornheim. Wreszcie nadszedł ten dzień. Mischi-Kielbasa, wielki organizator spotkania, wynajął lokal w Domu Mieszczańskim Bornheim, a jego ro-

dzice przygotowali bufet. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Płacimy wszyscy trzydzieści euro na głowę i dostajemy za to pyszne wyroby z wieprzowiny oraz parę standardowych sałatek. Są też legendarne pieczone zrazy. Wszystko jak kiedyś. Tylko nie my. Zestarzeliliśmy się. Mnie samej nie rzucają się w oczy zmiany we własnym wyglądzie. Jednak w konfrontacji z równolatkami, z których żaden nie wygląda już młodzieńczo, chcąc nie chcąc, muszę stwierdzić, że mnie też pewnie to nie ominęło. Starość przychodzi niezauważalnie, cichaczem, bo każdy z nas widzi siebie codziennie w lustrze i ma czas, żeby się przyzwyczaić do swojego wyglądu.

Kiedy przychodzę, sala jest już w połowie pełna. Nie jestem przesadnie punktualna, ale też nie chcę pojawić się zbyt późno, żeby nie ściągać na siebie uwagi wszystkich. A są przecież tacy ludzie, którzy specjalnie przychodzą spóźnieni, żeby choć przez chwilę być w centrum zainteresowania.

Mischi-Kielbasa ma krótką przemowę powitalną, ale nie bardzo mogę się skoncentrować, ponieważ koło mnie stoi Britta, a dokładniej mówiąc jej dekolt. Dekolt tak głęboki, że widać niemal kolana, a biust tak duży, że można się poczuć jak Reinhold Messner przed pierwszym zdobyciem ośmiotysięcznika. To niesamowite, że ten obfity biust mógł się jeszcze do tego stopnia powiększyć. Britta zauważa moje spojrzenie. Nie pytając, otrzymuję odpowiedź:

- Dałam sobie zrobić po ostatnim dziecku. Podwójne D.

Britta zawsze miała duże piersi. Spoglądam na swoje - przy niej wydają się Niziną Reńską. Dobrze, że moje poncho zakrywa detale. Przemówienie Mischi-Kielbasy (chyba przynajmniej cztery razy wspomniał, niby mimochodem, że jest lekarzem) ma się ku końcowi. Dziękuje swoim rodzicom i życzy nam wszystkim dobrej zabawy. Jak do tej pory, nie udało mi się wyłowić wzrokiem Luke'a. Widzę za to całe mnóstwo ludzi, których nie rozpoznaję. Czy oni wszyscy rzeczywiście chodzili ze mną do szkoły?

- Gdzie jest Luke? - pytam Karoliny, która przykleiła się do mnie i do Britty.

- Chyba go jeszcze nie ma. Też już się nie mogę doczekać. Nie widziałam go od czasów szkoły.

Chichoczemy. Britta poprawia swoje „podwójne D” i szczebiocze:

- Jeśli jest taki jak kiedyś, zafunduję sobie gorący wieczór.

Jeśli jest taki jak kiedyś, zacznij się ślinić po pierwszym rzucie okiem na dekolt Britty, przypadnie gdzieś w ciemnym kącie i tyle go będziemy widziały z Karoliną. Ale kto wie. Podobno niektórym mężczyznom w dojrzałym wieku zmieniają się upodobania i duże piersi same w sobie nie są już dla nich wystarczającą atrakcją wieczoru. Mnie jednak nie udało się spotkać takich wielu.

Karolina, Britta i ja siadamy przy jednym z długich stołów. Karolina ciągle jeszcze dobrze wygląda. Szczupła, wysoka (nie jesteśmy przecież jeszcze takie stare, żeby już się kurczyć) i elegancka. Jest skromnie ubrana i uczesana gładko w koński ogon. Ma starannie zrobione blond pasemka, włosy bez najmniejszego śladu siwizny, a w uszach nosi małe brylanciki - całość śmierdzi mi kasą. Buty, torebka plus obcisły beżowy sweterek - głowę dają, że kaszmir. Jej mąż jest producentem karmy dla zwierząt i podobno niezłą szyczą. Szlachetnie urodzony - jakaś pomniejsza arystokracja, ale zawsze.

- Jeśli będziecie potrzebowały taniej karmy dla psów albo kotów, dajcie znać - Karolina oferuje wielkodusznie.

Sądząc po jej wyglądzie, na produktach dla zwierząt można zarobić mnóstwo pieniędzy. Sama Karolina pracuje na pół etatu w jakimś butik. Naturalnie nie w Orsaju ani w Zarze, ale u Armaniego.

- Znamy Giorgia z Włoch. Zapytał mnie kiedyś, czy nie miałabym czasu i ochoty zajmując się jego sklepem.

U Armaniego. To pasuje do niej idealnie. Zrobiła na nas wrażenie. Giorgio. Karolina jest znajomą Giorgio Armaniego. A gdzie u licha oni się spotkali? Czy Armani hoduje zwierzęta? Ma tyle domowych zwierząt, że sprowadza karmę od żony producenta, czyli Karoliny? Czy może poznali się na jakimś party na jachcie? Zresztą i jedno, i drugie może imponować. Trudno się do czegośkolwiek przyczepić. Na Britcie jednak zrobiło to mniejsze wrażenie niż na mnie.

- Mój mąż pracuje w Telekomie. Niechętnie o tym mówię, bo muszę godzinami wysłuchiwać albo o beznadziejnych notowaniach akcji, albo na zmianę o beznadziejnych usługach. Ale Andre nie pracuje w sprzedaży, tylko jest inżynierem - opowiada nam.

Obydwie najpierw w ogóle nie reagujemy na opowieści o Giorgiu. Udajemy obojętne, jakbyśmy wszystkie miały znajomych à la Giorgio Armani. Czy od dzisiaj mogę kupować u

Armaniego po cenach hurtowych? Wtedy to spotkanie rocznika wszystkim by się opłacało. Britta też pracuje. Na pół etatu jako doradca podatkowy.

- Z powodu dzieci nie dają rady więcej, ale za jakieś piętnaście lat, kiedy już wyjdą z domu, wtedy chcę znowu pracować w pełnym wymiarze godzin.

Jej dekolt kołysze się przy każdym słowie. Jak akompaniament towarzyszący potokowi wymowy.

Grzecznie wypyujemy się nawzajem o dzieci. Karolina nie ma potomstwa, ale za to dwa wyżły weimarskie. Cholernie eleganckie, szare duże psy o niebieskich oczach. Pokazuje nam zdjęcia. Karolina z księciem Philippem i baronówną Odette - tak nazywają się jej psy - przed wielką bramą. Za bramą widać długą żwirową drogę.

- Droga wjazdowa do domu - objaśnia nam Karolina.

Na wszelki wypadek postanawiam pozostawić zdjęcie swojego domu tam, gdzie jest - w torebce. Britta nie ma oporów. Wyciąga furę fotografii i opowiada:

- Anna ma dwanaście lat, Bea dziesięć, Chris osiem, Deni sześć, a ten tutaj to Eduard - skończył cztery lata.

Britta ma rzeczywiście pięcioro dzieci. Od A do E.

- To był pomysł Andre - wyjaśnia - od razu wiadomo, które jest najstarsze.

Tak więc mamy w naszych szeregach kogoś w rodzaju Ursuli von der Leyen*. Cztery dziewczynki i jeden chłopiec. Uszeregowani według alfabetu dla zachowania przejrzystości sytuacji. Jeśli tworzą jeszcze orkiestrę domową, chyba padnę.

* Ursula Gertrud von der Leyen, polityk niemieckiej Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU), federalna minister do spraw rodziny, osób starszych, kobiet i młodzieży, matka siedmiorga dzieci.

- Czy grają na jakimś instrumencie? - pytam więc.

- Nie, dwójka zaczęła się uczyć grać na flecie, ale to było nie do wytrzymania. Mam na myśli hałas - odpowiada Britta, śmiejąc się, a ja oddycham z ulgą. Potem ja pokazuję swoje dzieci. Gratulujemy sobie nawzajem naszych pociech. Wszystkie są takie słodkie. Psy i dzieci.

Od bufetu trzymam się raczej z daleka, ale nie stronię od wina. Dwie godziny później (Luke'a ani widu, ani słyhu) biegnę już chyba po raz trzeci do toalety. Mój pęcherz jest tak

samo napięty jak cała reszta mojej osoby. Kiedy znowu wchodzę na salę, Mischi-Kiełbasa pokazuje palcem jednoznacznie na mnie.

- Ach, ta Schmidt, niektórzy ludzie nigdy się nie zmieniają - ryczy przez całą salę i śmieje się do rozpuku.

Jestem zmieszana, przede wszystkim dlatego, że gapi się na mnie cała sala. O co chodzi? Wtedy zauważam całą tragedię. Ociekam wodą. No może nie ja, ale moje luźne poncho. Pozostawia wyraźną smużkę na podłodze. Szybko się domyślam: gdy robiłam siusiu, moje poncho zwisało nad muszlą. Mam nadzieję, że zamoczyło się po spuszczeniu wody. Jak można być tak głupią? Nerwowo ściągam je przez głowę, krople wody fruują dookoła, a ja stoję przed całym rocznikiem z mojej szkoły z niedopiętymi spodniami. Cała sala ryczy. Ze śmiechu. Kiedy biegnę z powrotem do toalety, mam okropne déjà vu. Już kiedyś przeżyłam coś podobnego. Co prawda lata temu, ale dokładnie wszystko pamiętam.

Byłam wtedy w dziewiątej klasie. W czasie lekcji poszłam do toalety, a kiedy wróciłam do klasy, pan Girstmann, nasz nauczyciel geografii, popatrzył na mnie jakoś dziwnie. Moje koleżanki i koledzy byli mniej powściągliwi. Skręcali się ze śmiechu. Zanim zdołałam odczytać niewerbalne sygnały pana Girstmanna (który nie był szczególnie komunikatywny), jako ostatnia zauważyłam, o co chodzi. Moja spódnica po części tkwiła w majtkach! Z przodu wszystko było w porządku, ale patrząc od tyłu, stałam przed klasą w majtkach i, niczego nieświadoma, zupełnie zadowolona przemaszerowałam w stronę swojego miejsca. Koszmar, przede wszystkim dlatego, że miałam na sobie okropne majtasy. Takie z dnia tygodnia. W poprzek mojej pupy widniał napis „środa”. Ten śmiech pamiętam do dzisiaj. Jeszcze kilka lat później krążył po szkole kawał - często powtarzany i wciąż popularny:

- Jaki mamy dzisiaj dzień? Andrea, możesz się odwrócić?

Nawet w przemówieniu podczas uroczystości maturalnych była mowa o mojej pupie!

- Dziś nasz ostatni dzień w tej szkole - i jeśli ktoś chce wiedzieć, jaki dzień tygodnia jest tym szczęśliwym dniem, proszę zwrócić się do Andrei Schmidt!

Resztę wieczoru spędziłabym najchętniej w toalecie. Albo ulotniła się przez tylne wejście. Że też akurat ja musiałam zamoczyć to głupie poncho w sedesie! Tak jakbym nie była już naznaczona klozetową traumą. Powinnam omijać ubikacje szerokim łukiem albo przed wizytą w łazience do rosołu się rozbierać. Lub nic nie pić, aby oddalić od siebie niebezpieczeństwo wizyty w tym przybytku. Już wiem, dlaczego właściwie nie chciałam iść na

spotkanie rocznika. Na co mi drogie, supereleganckie džinsy, kiedy teraz wszyscy wiedzą, że nie mogę dopiąć się w pasie? I co ja teraz zrobię? „Schmidt, pokaż swoją wielkość, bądź ponad to, śmieję się razem z nimi” - mówi do mnie głos wewnętrzny, ale ten głos jest bardzo słaby, a cała reszta Andrei czuje się tak samo upokorzona jak przed laty.

Wyratowała mnie Karolina.

- Wracaj do nas, przyszedł Luke i jest bardzo smutny, że przegapił twój występ.

Zawsze coś. Luke nie widział na żywo mojego obciachu. Jest jeszcze Bóg w niebie! Ale mnie wrobił ten okropny Mischi-Kiełbasa! Gdyby nie wykrzyczał na całą salę, prawdopodobnie nikt by nic nie zauważył. Ja mu pokażę!

- No chodź już, nie bądź dziecinna - najlepsza przyjaciółka Giorgia Armaniego, zwana Karoliną, popycha mnie w kierunku sali.

Poddaję się, zapinam guzik džinsów i rzeczywiście, kiedy wchodzę z powrotem na salę, nikt się mną nie zajmuje, ponieważ pośrodku stoi Luke. Niczym objawienie. Otoczony kobietami z naszej byłej klasy. Luke, zwalający z nóg Luke. Karolina ciągnie mnie w jego stronę. Obok niego stoi - co za niesamowity przypadek - Britta: demonstracyjnie pokazuje, kto ma do niego największe prawa. Wcale mnie to nie dziwi, bo Luke prawie się nie zmienił. Oczywiście, ma więcej lat, ale one tylko dodały mu uroku. Upływający czas okazał się dla niego bardzo łaskawy. Włosy ma nadal bujne, lekko przyprószone siwizną na skroniach. Dość długie i falujące - być może zbyt długie dla mężczyzny w jego wieku, do niego jednak bardzo pasują. Luke jest wysoki i nie ma śladu nadwagi - niestety, bo mała oponka na brzuchu bardzo by mnie uspokoiła. Koszulę włożył w seksowne džinsy. Już na pierwszy rzut oka widać, że nie musi demonstrować za pomocą garnituru swojej zawodowej pozycji, jak wielu innych tutaj. Wita mnie szerokim uśmiechem.

- Witaj, moja kochana! Jak miło cię wreszcie widzieć, Andrea!

Gdyby wiedział, ile znaczy dla mnie ten mały, maleńki przejaw uprzejmości. Więc a) wie, kim jestem, co oznacza b) że mnie rozpoznał i c) wygląda tak, jakby rzeczywiście się cieszył. Najmilszą częścią zdania było słowo „wreszcie”. Wyciągam do niego rękę, ale on nie chce wcale mojej ręki, tylko przyciąga mnie do siebie swoimi pięknymi ramionami. Zawsze miał wspaniałe ramiona. Tak jak kiedyś, nosi wysoko podwinięte rękawy koszuli, dzięki czemu dokładnie widać rzeźbę jego muskulatury. Jak mężczyzna może mieć tak piękny kolor skóry? W środku jesieni? Przyciska mnie do siebie. „Mogłeś zrobić to dużo

wcześniej, ty idioto!" - mam ochotę zawołać, rozkoszuję się jednak swoim późnym zwycięstwem. Ten uścisk na sto procent pozwoli mi przeskoczyć o kilka miejsc wyżej w klasowej hierarchii.

Britta robi się lekko nerwowa. Odciąga Luke'a ode mnie, ponieważ chce go zaprowadzić do stolika pana Girstmanna. Naszego dawnego nauczyciela geografii, który jako jeden z niewielu z grona pedagogicznego przyszedł na spotkanie rocznika.

- Girstmann już nie może się doczekać, żeby cię zobaczyć - wabi pięknego Luke'a.

Mam niejasne przeczucie, że chodzi jej o odciążenie przystojniaka ode mnie i Karoliny.

- My się jeszcze zobaczymy. Tak, żebyśmy mieli chwilę spokoju - szepcze mi Luke do ucha, a ja, zachwycona, kiwam tylko głową.

Nie jestem jednak tak wyluzowana, jakbym sobie tego życzyła. Karolina też nie może się pozbierać:

- O rany, co za facet!

Mimo że Luke ciągle jeszcze nic o sobie nie opowiedział, z pewnością przynajmniej połowa obecnych na sali kobiet byłaby gotowa z miejsca paść mu w ramiona. Błyska mi myśl o Christophe. Moim mężu. Bez dwóch zdań był dobrym połowem. Ale Luke to co innego - coś jak połów ryb w wodach poza własnym rewirem. On jest tak wspaniałym szczupakiem - by pozostać przy ichtiologicznych metaforach - że kobiety mają prawo uważać się za wybranki losu: „Ja, marna makrelka, nie zasłużyłam sobie na niego. Co za nieopisane szczęście!”. Kiedy ktoś na pierwszy rzut oka piękniejszy, jaśniejszy niczym klejnot, wykaże tobą zainteresowanie, rodzi się w człowieku uczucie wdzięczności. Wiem, to głupota, ale nie potrafię się uwolnić od takich myśli. Spotkanie z Luke'em stanowi dla mnie zwrot w przebiegu dzisiejszego wieczoru. Czuję się nobilitowana. Wybrana, ponieważ jeszcze na odchodnym mrugnął okiem właśnie do mnie. Karolina i ja nie drepczemy za nimi do stolika pana Girstmanna. Po pierwsze, pan Girstmann zawsze był bałwanem i nienawidziłyśmy geografii. Po drugie i najważniejsze, chcemy pokazać, że przynajmniej hormonalnie panujemy nad sobą i nie wyjemy za smakowitym Luke'em jak suczki w okresie rui.

Przechadzam się dookoła sali. Z Karoliną, która, jak widzę, też jest zadowolona, że nie musi stać tu sama. Przysiadamy się na chwilę do stolika kujonów. Przy nim rzeczywiście zebrali się wszyscy, którzy w szkole zajmowali pierwsze ławki i nigdy nie chodzili na

wspólne wagary. „No nie, fizyka jest tak interesująca, że po prostu nie możemy jej opuścić”. Tak mawiały osoby, które pod względem zaskarbiania sobie klasowej sympatii plasowały się jeszcze niżej ode mnie. Dla niektórych bycie kujonem okazało się opłacalne. Cornelia została profesorem fizyki kwantowej w Oksfordzie. Już samo słuchanie o tym napawa mnie strachem. Nie mam bladego pojęcia, o co może chodzić w fizyce kwantowej. Jak niesamowicie zdolni mogą być ludzie! Cornelia nawet wizualnie zyskała, bo wygląda całkiem miło. Przy bardziej wnikliwych oględzinach okazuje się wręcz dosyć ładna. I wzbudza zaufanie. Rozmawiamy ze sobą dłużej niż przez cały czas szkoły. Jej mąż (tak, tak, również takie mądre kobiety mają mężów, tyle że, według badań, poszukiwanie przez nich życiowego partnera jest trudniejsze niż przez osoby przeciętnie uzdolnione, takie jak na przykład ja) jest Anglikiem, sędzią Sądu Najwyższego w Londynie.

- To taki w długiej białej peruce? - pytam zaciekawiona. Ależ to podniecające! Kto by pomyślał!

- I to jakiej! - śmieje się. - W tej peruce jest więcej włosów, niż my obie mamy na głowach.

Takiej konkurencji nie wytrzymałabym nawet z podwójną porcją pianki. Zresztą kobiety bardzo szybko odkrywają skrzętnie skrywane niedoskonałości swoich koleżanek. Wszystkie czytamy przecież te same kobiece czasopisma i zawarte w nich porady w stylu: „Chcesz ukryć zbyt obfite biodra - noś długie marynarki”. Kiedy więc jakaś kobieta nosi ciągle długie czarne marynarki, można się łatwo domyślić, że nie robi tego dla przyjemności, ale ukrywa szerokie biodra.

Cornelia i ja plotkujemy sobie w najlepsze. Jestem zaskoczona. Przez całe lata nie zauważałam tej dziewczyny albo traktowałam ją jak głupią kujonkę. Mogłybyśmy spędzić ze sobą kiedyś miłe chwile, ale ja nie lubiłam jej tylko dlatego, że miała dobre oceny.

- Jestem zadowolona, że szkoła już się skończyła - przyznaje mi się. - Nie znosiłam być wiecznie błyskotliwa i zdolna. Zdolny znaczy tyle co pozbawiony seksapilu. Ale dajmy temu spokój - kończy temat. - Jeśli miałabyś ochotę przyjechać kiedyś do Oksfordu, serdecznie cię zapraszam.

Wstydzę się, że tak źle o niej myślałam.

Karolina jest rozkojarzona, ponieważ przez cały czas próbuje nie spuszczać z oka stolika pana Girstmanna, a tym samym Luke'a.

- Britta, limit już ci się skończył, teraz nasza kolej! - oznajmia po czwartym piwie.

Jestem pod wrażeniem, w jakim tempie ta kobieta od karmy dla zwierząt wychyla kolejne piwka, a zwłaszcza nie mogę nadziwić się temu, że w ogóle po niej nie widać wzrastającego poziomu alkoholu we krwi. Wygląda to na dużą praktykę. Czy Giorgio też sobie pociąga? Czy Włosi nie piją chętniej wina?

- Pójdę tam do nich, powiem Girstmannowi „cześć” - oznajmia po piątym piwie.

Powiedzieć Girstmannowi „cześć”! Też mi dowcip! Ale co tam!

- Jeśli chcesz - mówię zupełnie bez emocji.

Zostaję przy stoliku kujonów, którzy, ku mojemu zaskoczeniu, bardzo dobrze się bawią. Czego oni nie wyczyniają! Chyba chcą sobie odbić te wszystkie lata w szkole. Peter (bezbłędnie zdał najwyżej punktowane na maturze przedmioty, matematykę i chemię; teraz bada w Instytucie Maksa Plancka coś, czego nazwy nie da się nawet wymówić) jechał niedawno taksówką. Moment, kiedy kierowca się odwrócił, przypomniał scenę z reklamy - opowiada Peter wesoło, ale ze złośliwym uśmiechem na twarzy. Za kierownicą bowiem siedział Heiner, który w czasach szkolnych był kopia Luke'a. Też niezwykle piękny, z szeroką klatą i tak samo rozchwytywany przez dziewczyny. Heiner miał płyty z największymi szlagierami, rodziców, których nigdy nie było w domu, i świetnie przystosowaną do urządzania imprez piwnicę z czerwonymi żarówkami. Prywatki u Heinera były legendarne. Fajki, marycha i oczywiście alkohol w dużych ilościach. Do tego muzyka Pink Floyd i nieskończony odlot. Równie legendarny był brak zainteresowania Heinera dla spraw szkolnych. Chłopak zalał za skórę każdemu nauczycielowi, dostawał najwięcej uwag i bywał na dywaniku u dyrektora częściej niż sekretarka.

- Dziś nie ma śladu po tym nadętym Heinerze z tamtych czasów. - Peter opowiada dalej o swojej podróży taksówką. - Wręcz przeciwnie. Pytał mnie, czy nie wiem nic o jakimś mieszkanku do wynajęcia. Za małe pieniądze. Póki co mieszka w piwnicy u swoich rodziców, tej samej, gdzie kiedyś urządzał imprezy. Naprawdę szkoda mi go. Samochodu też nie potrafi dobrze prowadzić.

Z jednej strony rozumiem ten późny triumf Petera, nie powinien jednak być aż taki nienawistny.

- A co się właściwie dzieje z Annegret? - chcę wiedzieć.

Ona także należała do towarzystwa kujonów, które, jak mi się zdaje, jest dobrze poinformowane. Po pytaniu o Annegret zapada jednak podejrzana cisza.

- To ty nie wiesz? - wszyscy patrzą na mnie zdumieni.

- Nieee, została milionerką czy co? Może dostała Nobla, a ja to przegapiłam? - rozbawiona odpowiadam pytaniem na pytanie.

- Nie, ani nie została milionerką, ani nie dostała Nobla. Ona nie żyje - mówi Peter, a mały pryszczaty Julius kiwa tylko głową i patrzy ze smutkiem. Zawsze ją uwielbiał. - Została przejechana. Przez własnego męża. Nie widział jej. Na kempingu. Chciał przestawić przyczepę i nie zauważył, że jego żona za przyczepą wyciąga z ziemi śledzia.

Zawsze nienawidziłam kempingów. Okropna historia. Już na samą myśl się wzdrzgam. Przejechać własnego męża, potworność! A jeszcze potworniejsze być przejechaną. Dlaczego nic do mnie nie doszło?

- Kiedy to się stało? - wpytyuję.

- Pierwszego dnia ich miodowego miesiąca. Jechali na południe Francji i chcieli przenocować na kempingu w Szwajcarii. I tam to się stało. O zmroku. Cztery dni po ślubie.

Brzmi coraz gorzej.

- To Annegret wyszła za mąż? - chcę znać szczegóły.

- Oczywiście. Za Gunthera - informuje mnie Julius, drapiąc się w zadumie po swoich budzących obawy pryszczach. Jak widać, struktura skóry pozostała niezmienną. Biedaczysko. Dobija już prawie kryzysu wieku średniego, a pryszczki jak u nastolatka. Gorzka prawda. Ślub Annegret musiał być pewnie dla niego ciężkim przeżyciem.

- Jakiego Gunthera? - nie daję za wygraną. - Tego Gunthera, od fizyki? Jeckla?

Wyszła za mąż za naszego nauczyciela? Za nauczyciela fizyki? I w nagrodę została przejechana? Julius wygląda tak, jakby miał się zaraz rozplakać. Biedny mały facecik. Niefajnie zostać wystrychniętym na dudka przez nauczyciela, który był w dodatku dużo starszy i zupełnie nieatrakcyjny. I który jeszcze zabija ukochaną - potworność.

- To był najstraszniejszy pogrzeb, na jakim byłem - kontynuuje Peter, choć zapewne i on zauważył, że Julius jest u kresu wytrzymałości psychicznej. - Jeckel o mało nie wskoczył za trumną do grobu.

Co za dramat! Chociaż, jak wynika ze słów Petera, to wszystko zdarzyło się już prawie dziesięć lat temu, Julius nadal bardzo cierpi. Płacze. Niesamowicie, ile uczuć tkwi w tym

małym mężczyźnie! Co mnie podkusiło, żeby zapytać o Annegret i tym samym drastycznie zepsuć atmosferę?

Przytulam Juliusa do siebie. W końcu to ja sprawiłam, że chłop teraz płacze. Demonstracyjnie pociąga jeszcze dwa razy nosem, potem się uspokaja, ale wyraźnie nie chce uwolnić się z mojego uścisku.

- Zawsze cię lubiłem - przyznaje po chwili.

Ratunku! Nie chciałabym, żeby Julius coś tu źle zrozumiał! To miało być pocieszenie, a nie zbliżenie. Przy całym współczuciu, jakie dla niego żywię, muszę postawić sprawę jasno.

- Julius, ja jestem mężatką i mam dwoje dzieci - daję mu dobitnie do zrozumienia, że nie powinien robić sobie żadnych nadziei.

- I co z tego? - mówi, sapiąc. - Mnie to nie przeszkadza. Dzieci też nie.

- Ale mnie owszem - odpowiadam. - Jestem szczęśliwa, że jest tak, jak jest.

To powinno wystarczyć. Mogłabym jeszcze krzyknąć: „Zabierz te tłuste łapska, ty karle”. Ale najwyraźniej zrozumiał i bez tego, bo odsuwa się ode mnie. Całe szczęście, inaczej dostałabym jakiejś paskudnej egzemy. Prawdopodobnie byłoby mu to zupełnie obojętne.

Rozglądam się za Karoliną, ale nigdzie jej nie widzę. Dużo przegapiła. Możliwe, że nie wytrzymała z tęsknoty za Luke'em. Czy ja również powinnam zająć strategiczną pozycję i wyczekiwać na niego? Nie. Wszystkie te lata w szkole spędzone pod znakiem oczekiwania na sygnał od Luke'a muszą wystarczyć. Dziś wieczorem on powinien przyjść do mnie. Jak do tej pory, świetnie się trzymam w ryzach, a wieczór jest przecież długi. Poza tym, skoro już tu jestem, chciałabym się dowiedzieć tego i owego.

Tymczasem zaczął grać jakiś zespół. Przyjaciele Misch-Kiełbasy. I muzyka w stylu Mischiego-Kiełbasy. À propos! Gdzie on właściwie się podziewa? Muszę z nim jeszcze wyrównać rachunki za moje poncho. W końcu jestem przyjaciółką jego byłej dziewczyny, Sabine, i choćby dlatego mógł sobie oszczędzić uwag na mój temat. Udaję się na poszukiwania. Widzę, że siedzi obok pani Flink, naszej dawnej nauczycielki łaciny. Jak on mógł z nieprzymuszonej woli usiąść koło tej czarownicy? Flinkowa, obok paru innych nauczycieli, była szkolnym postrachem. O mały włos nie powtarzałam klasy właśnie z jej powodu. Próbuje się niepostrzeżenie wycofać, ale ona już, niestety, mnie zauważyła.

- Dobry wieczór, panno Andreo - wita mnie.

- Dobry wieczór, pani Flink - odpowiadam krótko.

Nauczycielka bierze do ręki czerwony zeszytek, który leży przed nią na stole.

- Pewnie pani też chce wiedzieć, co w tamtym czasie zanotowałam sobie o pani.

- Właściwie to nie. Niekoniecznie - odpowiadam tak grzecznie, jak tylko potrafię.

Czy ona żartuje? Przyniosła swój zeszytek z notatkami na spotkanie rocznika? Widzę, że już go kartkuje.

- Ależ nie, dziękuję. Było, minęło - bronię się, jak mogę.

Ale pani Flink nigdy nie zwracała uwagi na jakiegokolwiek wykręty. Dzisiejszego wieczoru podobnie.

- Andrea. Andrea Schnidt. Ha, mam! Jak to pięknie brzmi: *Iucundi acti labores*. Przyjemnie mieć pracę za sobą. Przeciętna uczennica, przyjemna w obyciu, ale niezdolna do nauki łaciny - śmieje się i, ożywiona, mówi dalej: - Ustne odpowiedzi ledwo na czwórkę, z prac pisemnych słaba trójka. Niezainteresowana materiałem. Ogólnie niepozorna osóbką.

Łapie oddech i patrzy na mnie wyczekująco. Mam się teraz cieszyć, krzyknąć „hurrrrra” czy może powiedzieć jej jeszcze „dziękuję”? Świetnie, że pani Flink zaszufladkowała mnie jako niepozorną osóbkę. Co za wyróżnienie! Lepiej już być krnąbrnym i agresywnym. Słowo „niepozorna” brzmi niemal obraźliwie. Nauczycielka czeka na moją reakcję.

- Bardzo ciekawe - mówię, aby ją usatysfakcjonować.

Jest tak samo głupia jak kiedyś. Starsza, ale wciąż głupia. Misch-Kielbasa znowu się śmieje. Mam ochotę powiedzieć: „Przestań się śmiać, nie musisz już jej wchodzić w tyłek, zdałeś maturę”, ale udaje mi się ugryźć w język. W głębi ducha myślę sobie jednak: „Gdyby pani wiedziała, pani Flink!”.

Pani Flink jest bowiem jedyną nauczycielką, wobec której byłam raz kiedyś naprawdę bezczelna i niegrzeczna. Zdarzyło się to na wycieczce do Bawarii. Chcieliśmy jechać do Amsterdamu, ale ona, wtedy nasza wychowawczyni, zdecydowała się na wyjazd do Bawarii. I tam dzień w dzień, przez całą dobę, grała wszystkim na nerwach. Co dwie godziny, nawet w nocy, przeprowadzała kontrolę pokoi, organizowała wielogodzinne wędrowki bez określonego sensu i celu, a do tego uprzykrzała nam życie ciągłymi wykładami o młodości. Rano czekała na nas rumiankowa herbatka, podczas gdy pani Flink dostawała kawę. I

wtedy przyszedł nam do głowy pewien pomysł. Gdyby udało się usunąć ją z pola widzenia, mielibyśmy trochę spokoju. Heiner wymyślił co i jak; przypadkowo miał też przy sobie właściwe środki.

- Krople przeczyszczające, absolutnie neutralne w smaku. Wlejemy tej czarownicy do kawy, a wtedy nie ruszy się już z kibla, żeby zejść na dół, i wreszcie będziemy mieli czas na zabawę.

Genialny pomysł. Jego realizacja sprawiała jednak pewne trudności. Jak dolać krople do kawy, żeby Flinkowa nie zauważyła? Nasza wychowawczyni była szczwana jak stary lis. Cholernie przebiegły lis. Ale Heiner znalazł i na to sposób.

- Schnidt, ty zagadasz Flinkową, wobec ciebie nikt nie ma podejrzeń, a ja wpuszczę jej krople do kawy.

Oczywiście, obleciał mnie strach; bałam się, że zostanę przyłapana. Ale przyznanie się do tego nie wchodziło w rachubę, szczególnie gdy jeden z najfajniejszych chłopaków poprosił o pomoc właśnie mnie, niepozorną Andreeę. Trzęsłam się ze zdenerwowania, ale nieźle wykonałam swoją robotę. Kiedy pani Flink nalała sobie kawy do filiżanki, podeszłam do niej.

- Pani Flink, bardzo mi przykro, ale wydaje mi się, że mam kleszcza.

- Pokaż, Andrea - odpowiedziała i już wzięła pierwszy łyk.

„O niebiosy, mam nadzieję, że zaraz przestanie popijać, bo nie będzie do czego dolać kropli!” - pomyślałam tylko, a głośno powiedziałam:

- Czy mogłaby pani ze mną wyjść, czuję się skrępowana tu, przy wszystkich.

Stęknęła, pomamrotała coś o muchach w nosie, ale podniosła się z krzesła i poczłapała za mną na korytarz. Kiedy mijałyśmy Heinera, mrugnęłam do niego porozumiewawczo. Podciągnęłam niezdarnie T-shirt do góry i wskazałam miejsce po niegroźnym ukąszeniu na plecach. Rzuciła na nie szybkie spojrzenie i stwierdziła:

- Dobry Boże, przecież to nie kleszcz, tylko zwykłe ugryzienie! Myślałam, że potrafisz odróżnić takie rzeczy.

Gwałtownym ruchem obciągnęła moją bluzkę w dół i pomaszerowała wojskowym krokiem z powrotem do jadalni. Mam nadzieję, że Heiner już wykonał swoje zadanie. Kilka minut wcześniej jeszcze nie byłam pewna, czy ona rzeczywiście na to zasłużyła, ale teraz najchętniej osobiście zaaplikowałabym jej te krople. „Zaraz zobaczysz, ty czarownico”,

pomyślałam, ciesząc się w duchu. Kiedy znowu usiadła, patrzyła na nią cała sala. Czy wypije jeszcze tę kawę, która tymczasem zrobiła się zimna? Wypiła. Trzy minuty później filiżanka była pusta. Teraz należało czekać. Nic się jednak nie stało.

- O ludzie, jaka ona jest odporna - dziwił się Heiner.

W pośpiechu do filiżanki wpadła mu zakrętka od kropli i dlatego Flinkowa dostała w kawie pięciokrotnie większą dawkę. Następnego ranka wracaliśmy pociągiem do domu. Pani Flink musiała często wychodzić do toalety.

- Zmiana klimatu jakoś nie służy mojemu żołądkowi - narzekała. Zawsze coś.

Trwało trochę, zanim środek zaczął działać, ale przynajmniej okazał się skuteczny. Przez parę następnych dni Flinkowej nie było w szkole. Właściwie powód do zadowolenia, ale drugiego dnia jej nieobecności zaczęłam się bać. Jak się dowiedzieliśmy, pani Flink miała poważne problemy żołądkowo-jelitowe, może nawet czerwonkę. „Co się stanie, jeśli ona umrze?” - zastanawiałam się i czułam, że bym się nie obroniła. Zostałabym oskarżona o współudział w czynie przestępczym, czy jakoś tak. Beze mnie przecież Heiner nie miałby okazji wpuścić śmiertelnych kropli do jej kawy. Co najmniej trzy razy dopytywałam się u pani Mull w sekretariacie o zdrowie Flinkowej. Niby mimochodem.

- Nic nowego, ciągle źle się czuje - słyszałam za każdym razem.

Potem nastął weekend. „Może mój ostatni weekend na wolności”, zamartwiałam się. Ale w poniedziałek pani Flink zjawiała się na naszej lekcji i kamień spadł mi z serca. Nigdy wcześniej nie przeszłoby mi przez myśl, że kiedykolwiek będę się tak cieszyć na widok starej Flinkowej. Dziwiła się, że nikt z nas nie miał podobnych problemów.

- Silna infekcja żołądkowo-jelitowa. Czerwonkopodobna, jak powiedzieli w szpitalu. Ogniska takich infekcji znane są raczej w krajach egzotycznych, nigdy nie występują w Bawarii - wyjaśniła nam, a potem mi podziękowała. Przed całą klasą.

- Andrea, nigdy bym nie pomyślała, że tak będziesz się troszczyć o moje zdrowie. Dziękuję, że się o mnie dopytywałaś. Pani Mull z sekretariatu poinformowała mnie o tym. To bardzo miłe, Schmidt.

O nie! Jednym zdaniem zniszczyła mój nowy image twardej babki. Heiner wywrócił oczami. Z każdej strony klasy rozległy się ciche stęknienia. Na następnej przerwie Heiner nazwał mnie tchórzem. Przy wszystkich.

Pani Flink mierzy mnie wzrokiem.

- Panno Andreo, czy pani mnie w ogóle słyszy? - pyta lekko poirytowana.

- Och tak, myślałam właśnie o naszej pięknej wycieczce do Bawarii.

Pani Flink sama wpada w zadumę.

- Tak, tak, pamiętam bardzo dobrze, jaką miałam po niej sraczkę. Nieprawdopodobną sraczkę.

Flinkowa wymawia na głos słowo „sraczka” - życie cały czas zaskakuje nas czymś nowym.

- A może wtedy zaaplikowała mi pani coś do kawy? - śmieje się.

O nie! Czy ona coś wie? Ciągle jeszcze mam pietra, pomimo że teoretycznie nic nie może mi już zrobić. Ale chyba niepotrzebnie się zdenerwowałam. Pani Flink tylko żartowała. Śmieje się. Gdyby wiedziała, że ta niepozorna Schnidt brała udział w spisku! Ale zrobiłaby wielkie oczy! Jednak tę niespodziankę zachowam sobie na kolejne spotkanie rocznika. Mischi-Kielbasę też zostawię sobie na następny raz. Pozwolę mu teraz posiedzieć koło Flinkowej, co jest samo w sobie wystarczającą karą.

Pierwsi zbierają się już do domów, a ja tymczasem, nie licząc momentu powitania, nie spędziłam ani chwili z Luke'em. Powoli, muszę trzymać emocje na wodzy. Niby przypadkiem zbliżam się do stolika mojego bohatera.

- Posuń się trochę - próbuję wcisnąć się koło Karoliny.

- Gdzie jest Luke? - pytam ją, rzuciwszy okiem na towarzystwo przy stole.

- Chciał pokazać coś ważnego Britcie. Wyszli. Na zewnątrz. Widocznie nie mógł pokazać jej tego przy wszystkich.

Pokazać coś ważnego? Co to ma znaczyć?

- A co on chce pokazać Britcie? Co ważnego? - wiercę dziurę w brzuchu.

- A co on może jej pokazać? - Karolina patrzy na mnie, jakbym była największą idiotką, jaką widział świat.

Jej spojrzenie jest tak wymowne, że powoli zaczynam pojmować, o co chodzi. Luke ma zamiar kontynuować z Brittą to, co skończył lata temu. Chyba nie zafundują sobie szybkiego numerka przed Domem Mieszczańskim na spotkaniu rocznika?

- Proszę cię - mówię z wyrzutem. - Britta ma pięcioro dzieci!

- A cóż to za argument? - odpowiada Karolina. - Przy piątce dzieci jest z pewnością bardziej oblatana w temacie. W ostatnich latach najwyraźniej niewiele więcej robiła.

Posiadanie pięciorga dzieci nie oznacza wcale, że nie ma się żadnego hobby. Ale Karolina sprawia wrażenie wyraźnie obrażonej. Ona - ta stylowa kaszmirowa przyjaciółka Giorgia, została wystawiona do wiatru z powodu dwóch krągłych „podwójnych D”.

- Możemy wyjść na zewnątrz i przekonać się, co jest grane - proponuję na otarcie łez.

- Jakie to żenujące! - kręci zde gustowana głową. - Nie pobiegnę za nim, te czasy mi-
nęły definitywnie.

Karolina wkurza się coraz bardziej, tymczasem do stolika wraca Britta. Lustrujemy ją dyskretnie. Na pierwszy rzut oka bez zmian. Szminka nierozmazana, ubranie w najlepszym porządku.

- No i co takiego ważnego jest tam na zewnątrz? - pytam spokojnie.

Britta szczyrzy zęby.

- Chciał pokazać mi coś, co należy do niego - odpowiada, patrząc na Karolinę.

- Aha, a co takiego chciał ci pokazać? - nie odpuszczam.

Britta oblizuje sobie wargi. Szybka jak mały legwan.

- To prywatna sprawa! - chichocząc, zamyka temat.

Karolina patrzy demonstracyjnie w innym kierunku.

Już w czasach szkolnych rywalizacja z Brittą była dla niej dużym problemem. Szczególnie kiedy Luke, po krótkim flirciku z Karoliną w dziesiątej klasie, wrócił do Britty. Zresztą wystarczyło, żeby Britta kiwnęła palcem, a on już był przy niej. To, że dzisiaj jest podobnie, musi najwidoczniej bardzo złościć Karolinę. Po chwili na salę wraca też Luke. Siada między Brittą a mną. Karolina udaje niezainteresowaną i ze sztucznym entuzjazmem zwraca się do mężczyzny siedzącego przed nią. Jest nim Ingmar. Jego rodzice byli fanami nart i Szwecji, więc dali synowi imię szwedzkiego narciarza Ingmara Stenmarka. Ingmar zmienił się naprawdę na korzyść. W czasach szkolnych był podobny do mnie - niepozorny. Już choćby z tego powodu w ogóle mnie wtedy nie interesował. Jeśli jest się typem „szarej myszki”, raczej nie chce się mieć w swoim otoczeniu podobnie przeciętnych egzemplarzy. Poszukuje się raczej takich, którzy błyszczą pośród innych, aby ich blask padał także na naszą osobę. Ingmar, na ile udaje mi się dosłyszeć z jego rozmowy z Karoliną, jest bankierem. Studiował ekonomię polityczną, zrobił doktorat i żyje w ciągłych rozjazdach między Nowym Jorkiem a Frankfurtem. Jakie to podniecające! Niestety, nie mogę dalej przysłuchiwać się rozmowie, ponieważ Luke dotyka mojego ramienia.

- Schnidt, co z ciebie wyrosło! Proszę, proszę!

Pochlebilo mi to, nie powiem. Komplement od pięknego Luke'a. Prawdopodobnie byłabym już mocno przejęta, gdyby nawet tylko chrząknął.

- Nie wyszlibyśmy razem na zewnątrz? - szepcze mi do ucha.

O ludzie, jak on napiera! Gdyby zapytał mnie o to osiemnaście lat temu, na pewno od razu bym pobiegła. Ale i dzisiejszego wieczoru nie musi mnie długo prosić. No przecież mogę wyjść z nim na przechadzkę, w tym nie ma nic złego. Ale kiedy już będzie mnie czarował, ja, Andrea Schnidt, powiem mu: „Powinieneś być wcześniej o tym pomyśleć, Luke!”. I zostawię go z buzującymi hormonami przed Domem Mieszczańskim.

Tymczasem Karolina i Ingmar wymieniają swoje wizytówki. Najchętniej zawołałabym przez stół: „Ingmar, masz jedną dla mnie?”. Bo Ingmar wygląda naprawdę słodko. Gdybym wcześniej to dostrzegła! Nie ma w sobie ani nic nonszalanckiego, ani ekscytującego - po prostu dobrze wygląda. Jest przyjemny i miły w obyciu. Atrybuty, które mało sobie ceni większość kobiet. Sama już zdążyłam zauważyć, że te cnoty są stanowczo niedoceniane. Mili mężczyźni są cudownym zjawiskiem; przy czym miły nie znaczy wcale nudny. Tak jak podniecający i emocjonujący nie oznacza dobry. Zresztą emocje też są dobre tylko do czasu - kto chciałby się wiecznie czymś emocjonować, nawet jeśli miałyby to być tylko pozytywne uczucia? Każdy potrzebuje przecież trochę spokoju i harmonii. Wydaje mi się, że Karolina też to zauważyła, bo ciągle gładzi swój koński ogon, kręci sobie na palcu włosy, przewraca oczami i mocno gestykuluje. Każdy ekspert od mowy ciała miałby niezłą uciechę, patrząc na nią. Karolina najwidoczniej zmieniła obiekt zainteresowania. Tymczasem ja znowu czuję dotyk ręki Luke'a na swoim ramieniu.

- Jesteś mężatką? - pyta mnie cicho.

Jego głos brzmi tak, jakby zamierzał mnie zbałamucić i uwieść. Na szczęście pytanie jest lekko otrzeźwiające. Co to ma znaczyć? Czy on chce najpierw ocenić swoje szanse, zanim poprosi mnie o wyjście z nim z lokalu? Czyżby inwestował tylko w kobiety, które są samotne? Zrobił dla Britty wyjątek jedynie ze względu na „podwójne D”?

- Tak, ale dlaczego chcesz to wiedzieć? - odpowiadam trochę zdenerwowana.

- Zaraz zobaczysz! - mówi i szczerzy się do mnie w swoim legendarnym uśmiechu.

Zęby jak z Hollywood - równe i białe niczym perełki.

- Chodź, Schnidt, zaczerpniemy trochę świeżego powietrza! - szepcze mi do ucha i wstaje.

Zwracanie się do kobiet po nazwisku jest może niezbyt szarmanckie, ale, jakby odruchowo, również wstaje. Luke bierze mnie za rękę i razem idziemy do wyjścia. Nie tylko Karolina patrzy za nami. Samo przejście przez salę warte jest obejrzenia tego, co on chce mi pokazać przed lokalem - obojętne, co miałyby to być. W klasowym rankingu skaczę na niebotycznie wysoką pozycję. Kobieta, która przyciągnęła uwagę Luke'a, musi być niezwykła. Są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają. Choćby z tego powodu delektuję się swoim występem. Naturalnie, że mogłabym się zdobyć na mały przejaw niezależności i zapytać: „A cóż ja miałabym z tobą robić na zewnątrz? Te czasy definitywnie minęły. Mnie to już nie kręci”. Nie jestem jednak do tego zdolna. Na dworze jest ciemno i Luke przyciąga mnie do siebie.

- Andrea - mówi - zawsze cię lubiłem.

- Ach tak - odpowiadam tylko i myślę: „Dlaczego nigdy tego nie zauważyłam?”.

Ale przynajmniej zwrócił się do mnie po imieniu.

- Mam tu coś, co wszyscy chcieliby mieć - mówi dalej i klepie się po kieszeni spodni.

Cóż, to już jest mało eleganckie, a nawet żenujące. Powiedziałabym: niewątpliwy przejaw zarozumiałstwa. Co ma znaczyć to poklepywanie się? W jego spodniach nie może być nic więcej oprócz penisa. A nawet jego penis jest tylko penisem. Nie mówię, że nie ma różnic, ale mężczyzna, który ma takiego bzika na punkcie swojego przyrodzenia i niczym sześciolatek permanentnie je eksponuje, jest żalonym palantem. Teraz powinnam obrócić się na pięcie i wrócić na salę, ale on przyciąga mnie do siebie coraz mocniej.

- Britta i jej mąż już w to weszli, może twój mąż też miałby ochotę. Ty oczywiście też możesz, jeśli chcesz. Albo wszyscy razem! Obojętnie jaka gra - mówi mi, rozochocony zawartością swojej kieszeni w spodniach.

Boże, jakie to obrzydliwe! Czy on nie proponuje mi trójkątka? Czy piękny Luke jest bi? Dlaczego Britta mnie nie ostrzegła? Właściwie powinnam mu przyłożyć. Najbardziej nieapetyczna propozycja, jaką kiedykolwiek dostałam! A właściwie dlaczego nie? Zrobię to. Zamachnę się i przyładuję mu kilka razy. Wspaniale wymierzony policzek. Słysząc tylko plask, wyraźny, nasycony dźwięk, mam uczucie, że na to właśnie zasłużył. Nie tylko za ten dzisiejszy występ, ale za wszystkie lata ignorancji. Chcę pobiec w stronę lokalu, ale on mnie zatrzymuje.

- Schnidt, coś nie w porządku z tobą? - wydziera się na mnie. - Ciesz się, że nie biję babek, bo inaczej byś tutaj nie stała. Szaleju się najadłaś czy co?

Luke okazuje się stuprocentowym prostakiem. Brawo!

- Ty obrzydliwy gnojku! - wrzeszcze na niego. - Jeśli myślisz, że mógłbyś mnie i mojego męża wciągnąć do tego wyuzdanego towarzystwa, grubo się mylisz. Nie dorastasz mojemu mężowi do pięt! - wpadam w prawdziwy szal.

- Do jakiego wyuzdanego towarzystwa? - pyta Luke i patrzy na mnie zupełnie zbaraniały. - Dlaczego miałbym wciągać ciebie albo nawet twojego męża do łóżka? Gdybym chciał kiedykolwiek się z tobą przespać, już dawno bym to zrobił.

Myślę, że jeden policzek to dla niego stanowczo za mało. On potrzebuje porządnego lania. Niestety, nie uczyłam się sztuk walki. Co za wstrętna kreatura. Jakie to upokarzające! „Gdybym chciał kiedykolwiek się z tobą przespać, już dawno bym to zrobił”. O Boże, nienawidzę tego typka! Jak mogłam być ślepa tyle lat? Sama powinnam sobie przyłożyć, i to nie raz. Obrzydliwy dziad!

- Britta nie powiedziała ci, co mam do zaproponowania? - pyta już trochę spokojniej i ciągnie mnie za rękę.

- Zostaw mnie, ty dupku! - zniżam się do jego poziomu słownictwa.

- Chodzi o bilety na mistrzostwa świata. Mam całą pulę i jeśli miałabyś ochotę - krzyczy na mnie, wyciągając rulonik z kieszeni spodni.

Nie wierzę własnym oczom! „Britta, ty mało, mogłaś mi powiedzieć”. Sprawiała wrażenie, jakby nie wiadomo co między nimi zaszło, a tymczasem kupiła od niego bilety na mundial. Ten palant jest dealerem biletów na mistrzostwa. Skąd on je ma?

- Za tysiąc euro możesz dostać bilety nawet na mecz inauguracyjny - robi się troszkę miłszy i wreszcie puszcza moje ramię.

- Wsadź je sobie, wiesz gdzie - syczę i korzystając z okazji, zostawiam go samego tam, gdzie stoi.

Z twarzą czerwoną jak burak wracam do stolika. Karolina podnosi z zaciekawieniem głowę i patrzy na mnie pytająco.

- Zapomnij - mówię tylko i mam nadzieję, że mój głos nie brzmi zbyt szorstko.

Jakoś nie mam ochoty dalej o tym myśleć. Chyba najwyższy czas wracać do domu. Ingmar też już wyszedł. Karolina powiedziała mi, że jutro rano wyjeżdża. Leci swoim pry-

watnym samolotem do Nowego Jorku. I znów postawiłam na niewłaściwego konia, wystając z jakimś babiarzem przed lokalem, gdy tymczasem ona ma za sobą niezły połów. Postanawiamy niedługo znów się spotkać. Karolina na pożegnanie jeszcze raz oferuje mi zakup karmy dla psa po cenach hurtowych. Wychodzę, nie uraczywszy Luke'a ani jednym spojrzeniem. Jego mit raz na zawsze legł w gruzach. Ale sama impreza rocznika była niezła.

Kiedy wracam do domu około pierwszej w nocy, Christoph jeszcze nie śpi.

- I jak było? - pyta uprzejmie. - Dobrze się bawiłaś? Wstydzę się. Choćby z tego powodu, że wyszłam z tym durniem Luke'em przed lokal. Ale numer z poncho wydaje się z kolei bardzo zabawny. Cholera jasna! Zostawiłam moje zasiusiane poncho w Domu Mieszkańskim!

- Było całkiem miło - mówię i opowiadam dalej obojętnym tonem, że jeden z dawnych kolegów z klasy miał do sprzedania bilet na mundial.

- Super! - mówi Christoph. - Wspaniale! Zamówiłaś jakieś dla mnie?

Kręcę przecząco głową.

- Nie, przecież ty nie szalejesz za piłką nożną - odpowiadam.

Christoph jest przerażony.

- Bilety na mundial to rarytas. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakbym triumfował w kancelarii! Zadzwoń do niego, wezmę dwa. Obojętne, na który mecz. Mógłbym zaprosić Langnera.

Wolę bez narkozy dać wyciąć sobie ślepą kiszkę niż zadzwonić do Luke'a, ale akurat tego nie mogłabym wytłumaczyć Christophowi bez opowiedzenia mu dalszych szczegółów tej porażającej historii.

- Spróbuję go złapać - mówię i obiecuję zadzwonić jutro rano.

Poza tym nigdy nie pójde już na spotkanie rocznika. Mogę upokarzać się w inny sposób.

Spóźniam się dwie minuty do przedszkola. Mark stoi już ubrany przy drzwiach. Jak taki mały, żywy wyrzut sumienia.

- Wreszcie, mama - mówi i skacze mi w ramiona.

- Miałam dziś rano strasznie dużo do załatwienia - usprawiedliwiam swoje spóźnienie przed przedszkolanką.

W końcu musiałam co chwilę spoglądać na lampkę kontrolną mojego cholernego telefonu i łamać sobie głowę, gdzie mój mąż spędził noc.

- Jak zawsze! - odpowiada i spogląda na mnie surowo.

Nie mam ochoty dalej się usprawiedliwiać, chwytam syna za rękę i wychodzę. Południe dawno minęło, a Christoph ciągle nie dał znaku życia. Musi być solidnie wkurzony. Albo już wprowadził się do Belle Michelle i tylko zajrzy kiedyś do domu, żeby zabrać swoje rzeczy. Sprawdzam automatyczną sekretarkę natychmiast po wejściu do domu. Nic. Ani jednego telefonu. Żadnej wiadomości od Christopha. Zwykle rzadko dzwoni w ciągu dnia, ale przynajmniej noce dotychczas spędzał w domu.

- Mamo, dzisiaj przecież jest jazda konna - przypomina mi moja córka zaraz po przekroczeniu progu. Tym samym sprowadza mnie na ziemię. Tak jest, raz w tygodniu zawożę Claudię na jazdę konną, ponieważ, niestety, nie ma własnego konia. Ani nawet kucyka. Naturalnie graniczy to z duchowym okrucieństwem. Ale ja nie chcę kucyka. A już na pewno konia. Pominąwszy koszty, ja się koni trochę boję. Są duże i nie wydają się szczególnie inteligentne. Uważam, że to niezbyt fortunna kombinacja. Poza tym nie umiem jeździć konno, nie znam się na pielęgnacji tych zwierząt i nie mam ochoty brać na siebie odpowiedzialności za jeszcze jedną żywą istotę. Widzę po swojej siostrze, ile pracy wymaga nawet pies. Poza tym na działce przy naszym domku szeregowym nikt nie przewidział ani zagrody, ani stajni. Ale te argumenty nie przekonują czwartoklasistki. Twierdzi, że troszczyłaby się o konia. Już od wczesnego rana, jeszcze przed szkołą, oporządzałaby swojego pupila, codziennie by na nim jeździła i go szczotkowała. Nasz ogród jest przecież wystarczająco duży. W końcu Pipi Langstrumpf też trzyma konia w ogrodzie. I ma nawet małąkę. Z małąki Claudia mogłaby wspaniałomyślnie zrezygnować.

- Mam ostatecznie brata, a przecież to prawie to samo - wyjaśniła.

Na szczęście ja i Christoph w końskiej sprawie jesteśmy zgodni. On też nie chce konia. Właśnie dlatego dostał niedawno alergii na końską sierść, a na alergię nie ma żadnych kontrargumentów. Oczywiście, nie jest to uczciwe i fair, ale na pewno skuteczne. Znam rodziny, które w ten sposób całe lata z powodzeniem prowadzą kampanię przeciw zwierzakowi w domu. Claudia uważa, że alergia nie jest taka straszna.

- Mój koń nie stałby w domu, a tato nie musiałby do niego wychodzić - argumentuje zupełnie logicznie, a potem jeszcze sprytnie dodaje: - I nie musiałby już kosić trawnika, bo koń załatwiłby to za niego.

Chytrze, ale póki co pozostaliśmy nieprzejednani, chociaż Claudia w każde urodziny i Gwiazdkę spogląda pełna nadziei w stronę ogródka, wypatrując ukrytego tam kucyka.

- Tak, pójdziemy dziś na jazdę konną - mówię i pakuję rzeczy do torby.

Punktem numer jeden na liście najgorszych matczynych zadań jest logistyka. I wieczne szukanie. Na przykład butów na gimnastykę, butelki na napoje, kasku, opakowania na kanapki, płaszczka przeciwdeszczowego i reszty całego kramu, którego dzieci mogą potrzebować. Ciągłe czegoś zapominam albo nie mogę znaleźć tego, co jest akurat na gwałt potrzebne. Zresztą moja własna torebka sprawia mi wystarczająco dużo problemów. Planowanie, kto, kiedy i czego potrzebuje, jest bardzo denerwujące. Do tego niekończące się zawożenie i przywożenie. Dziecko numer jeden z workiem na gimnastykę trzeba zawieźć do sali XY, potem dziecko numer dwa z segregatorem i samodzielnie zrobionym bębenkiem na zajęcia muzyczne dla maluchów; w powstałym w tym czasie okienku należy szybko zrobić zakupy, a potem punktualnie odebrać dzieci z tych dwóch różnych miejsc. Praktyczny byłby dziecięcy system nawigacyjny. Najlepiej w formie implantu wszczepionego zaraz po urodzeniu. Taki ukryty głos w uchu, który zawsze podpowiadałby, co następuje po kolei i co jest do czego konieczne. „Proszę skrócić do hali sportowej, zabrać worek z rzeczami na gimnastykę i nie zapomnieć zgłoszenia na zawody”.

Najmniejszym złem są stałe terminy, czyli regularne zajęcia gimnastyczne czy jazda konna. Prawdziwym ciężarem okazują się wynikające z nich dodatkowe obowiązki. Wszystkie te kluby lubują się w organizowaniu zawodów, kiermaszy i gwiazdkowych spotkań, które zwykle odbywają się w weekendy. Najlepiej zaraz po wschodzie słońca. O wyspaniu się można zatem tylko pomarzyć. Stoły muszą być rozstawione, automaty do kawy zawiezione na miejsce i nie wolno zapomnieć o upieczeniu ciast w wieczór przed imprezą. Wykręcić się od tego nie sposób. Od razu dostaje się etykietkę leniwej i niezaangażowanej. W kręgach matek powiedzieć „nie” dodatkowej pracy równa się grzechowi śmiertelnemu. Dlatego nie zgadzam się z tym, że dzisiejsze matki mają mniej do roboty niż kiedyś. Oczywiście, są pralki i zmywarki do naczyń (jestem za to doprawdy bardzo wdzięczna i gdyby ich wynalazcy jeszcze żyli, regularnie przesyłałabym im drobne wyrazy wdzięczności!), ale

czas, jaki zyskujemy dzięki tym wynalazkom, musimy wypełniać innymi zajęciami. W każdym razie nie przypominam sobie, żeby moja mama ciągle gdzieś mnie wozila. Zajęcia pozaszkolne były moją, a nie jej sprawą. Poza tym zapisywanie coraz mniejszych dzieci na przeróżne zajęcia ogólnorozwojowe jest z całą pewnością wynalazkiem dzisiejszych czasów. Oczywiście, wszystko to robi się dla ich dobra, ale czy jest to także dobre dla matki, śmiem powątpiewać.

Trening Claudii odbywa się na małym padoku, około dwudziestu pięciu minut drogi od naszego domu. Godzina lekcyjna trwa nie pełną godzinę, lecz czterdzieści pięć minut, co oznacza, że nie opłaca mi się w tym czasie wracać. A to z kolei prowadzi do tego, że wraz z innymi matkami snuję się po obejściu, wymieniam nieistotne informacje, wdeptuję w najświeższe końskie kupy i czekam, aż dzieci wreszcie zsiądą z kucyków. W piękną słoneczną pogodę można tam naprawdę mile spędzić czas, ale pogoda rzadko jest łaskawa dla czekających matek. Tak jak dzisiaj. Mży i Mark jest marudny. Nudzi się. Ja też. Niestety, ja nie mam nikogo, kogo mogłabym denerwować swoim kwękaniem. Matki są po prostu czymś w rodzaju zderzaków-amortyzatorów. Na kim, jeśli właśnie nie na nich, można wyładować agresję, dać upust kłótliwemu i płaczliwemu humorowi, rozpaczy i innej biedzie - krótko mówiąc: centrum serwisowe dla każdego rodzaju potrzeb.

Najczęściej, gdy Claudia jeździ konno, staram się ulokować Marka u któregoś z jego małych przyjaciół. Potem jednak zawsze musi nastąpić rewanz, bo świat matek opiera się na wzajemnym dawaniu i braniu. Wadą tego rozwiązania jest więc świadomość, że niebawem i nam zostanie podrzucona czyjaś pociecha. To z pewnością uczciwe rozwiązanie, chociaż bardzo męczące.

- Nie rozumiem - mówi Christoph, kiedy rozmawiamy na ten temat - co może być w tym męczącego? Dwoje dzieci bawi się ładnie razem, a ty masz czas dla siebie.

W teorii brzmi to sensownie. Praktyka jednakże pokazuje, że Christoph nie ma o tym zielonego pojęcia. Dwoje dzieci w wieku przedszkolnym nie gwarantuje bynajmniej przyjemnego, spokojnego popołudnia. Przeciwnie. Dzisiaj dzieci oczekują czegoś w rodzaju serwisu. Personel stanowi mama. Mama podaje jedzenie i picie, że o wytarciu pupy nie wspomnę. Już i tego wystarczy - niezbyt chętnie wycieram pupę innym dzieciom. Ale pominiemy to! Maluchy chcą najpierw bawić się na zewnątrz. Zakładamy więc buty, kurtki, czapki i co tylko jeszcze trzeba, zabieramy samochodziki i resztę zabawek z garażu. Kwa-

drans później chcą z powrotem do domu. Rozbieramy się. Po godzinie następuje pierwsza kłótnia, ponieważ dziecko-gość nie chce ciągle ustępować dziecku-gospodarzowi, które nieustannie wyznacza reguły zabawy. Po dwóch godzinach przynajmniej jeden bąbel chce koniecznie oglądać telewizję albo układać tor dla samochodów wyścigowych, co nie zawsze jest możliwe. Kiedy już mamusia wyciągnie upragnioną zabawkę z najciemniejszego kąta piwnicy, musi czuwać na podłodze nad stabilizacją powyginanego toru. W końcu udaje się przymocować go mocno do posadzki, ale zaraz okazuje się, że dzieci są już znudzone samym jego układaniem. Przychodzi im za to ochota na zabawę w zamek rycerski z serii Playmobil, więc jego części zostają wkrótce rozrzucone po całym dzieciennym pokoju. W sumie dobrze się składa, bo do zabawy torem wyścigowym brakuje jednego samochodziku. Kiedy chaos osiąga punkt kulminacyjny, a części playmobilu wymieszane są z prawie dwoma kilogramami klocków lego, przyjeżdżają rodzice po dziecko-gościa. Na placu boju pozostają: salon, który wygląda tak, jakby przeszło przez niego tornado, i wyczerpana matka. Może problem leży we mnie i po prostu nie potrafię zapanować nad maluchami?

Podczas lekcji jazdy konnej najczęściej idziemy z Markiem na spacer. W ten sposób łapiemy trochę świeżego powietrza, a mnie udaje się uciec od obowiązkowej babskiej paplaniny. Nie w tym rzecz, że nie lubię kobiecych pogaduszek. Ale najchętniej plotkuję z przyjaciółkami, a te kobiety nimi nie są. Łączy nas jedno: córki w podobnym wieku, które mają bzika na punkcie koni. Więc temat jest jeden - rozmawia się o dzieciach. Nie ma tragedii, parę z tych babek wygląda naprawdę miło. Niektóre wydają się nawet sympatyczne i pewnie mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. Niestety, rzadko do tego dochodzi. Pozostajemy raczej przy powierzchownych tematach - patrzymy na siebie, wymieniamy nieistotne informacje i podziwiamy nasze utalentowane dzieciaki. Sądzę, że wszystkie mamusie w gruncie rzeczy nudzą się tak samo jak ja. Jak pięknie, że minęło już popołudnie. A ja wyjątkowo nie wdepnęłam w ani jedną końską kupę. Mam nadzieję, że to na szczęście.

Christoph wraca do domu wieczorem, jak gdyby nigdy nic. Punktualnie na kolację. Ależ on ma nerwy! Spędza noc poza domem, przez cały dzień nie daje znaku życia, a potem wraca sobie tak po prostu. Punkt siódma klucz zgrzyta w zamku i mąż marnotrawny wchodzi do przedpokoju. Ani przepraszam, ani wielkiego bukietu kwiatów - nic. Tylko Christoph, taki jak zawsze. Patrzę na niego wyczekująco. Odpowiada mi takim samym spojrze-

niem, mówi krótko i lakonicznie „cześć” podchodzi do dzieci. Nie daje mi buziaka ani mnie nie przytula.

- Dzień dobry, moje słodkie - wita obydwójce i demonstracyjnie ściska się z nimi, tak jakby wrócił właśnie do domu z kilkutygodniowego obozu przetrwania.

Co on chce mi tym udowodnić? Czy to rodzaj kary dla mnie? Ani myślę powstrzymać się od choćby zdawkowej rozmowy - jeśli on uważa, że powinien sprawiać wrażenie całkiem wyluzowanego, ja też mogę.

- Gdzie byłeś dzisiejszej nocy? - pytam tak obojętnie, jak tylko potrafię, nie zważając na obecność dzieci. Po prostu nie mogę się powstrzymać.

- Jak to gdzie. Tam, gdzie mnie wysłałaś! - Christoph odpowiada jakby od niechcenia, a ja jestem bliska ataku furii.

Co to ma znaczyć? U Michelle!? Związek już skonsumowany!?

- Czy dobrze zrozumiałam? - nie pytam wprost, bo oczywiście mam nadzieję, że zaraz wybuchnie śmiechem, powie „bzdura” i weźmie mnie w ramiona.

Nic takiego się nie dzieje. Christoph idzie w stronę schodów i mówi tylko:

- Myślę, Andrea, że nie można tu nic zrozumieć na opak.

Mój mąż nocuje u Belle Michelle, nie dzwoni cały następny dzień, aż w końcu pojawia się w domu, jakby nic się nie stało.

- I jak było? Fantastycznie? - krzyczę za nim. Łaskawca jest w drodze do sypialni, żeby się przebrać. Ściąga garnitur, wkłada coś swobodniejszego.

- Miło, że pytasz. Wszystko w najlepszym porządku! Nawet więcej niż fantastycznie, jeśli chcesz wiedzieć - odkrzykuje.

Jednocześnie chcę i nie chcę wiedzieć. Mam raczej ambiwalentny stosunek do tych informacji. Jedno jest pewne: czuję się paskudnie, miałabym ochotę pobiec za Christophem i mocno nim potrząsnąć. Wyć, krzyczeć albo od razu go wyrzucić. Tymczasem stoję, jak sparaliżowana, w salonie. Czuję się bezradna i wytrącona z równowagi. Mimo wszystkich mrozących krew w żyłach wizji związanych z dzisiejszą nocą naprawdę nie przypuszczałam, że Christoph wskoczy do łóżka Belle Michelle. Dzieci są zakłopotane.

- Co się dzieje? - pyta Claudia.

Mówię:

- Nic. - I patrzę na nią surowo, wykluczając tym samym ewentualne dalsze pytania.

Najchętniej bym po prostu wyszła. Włożyła buty i otworzyła drzwi. Żeby wiedział, jak to jest, kiedy ktoś tak po prostu sobie znika. Gdybym paliła, mogłabym przynajmniej jak na tych wszystkich filmach wyjść po paczkę papierosów. A potem dokąd? Może pojechać do Monachium, do Heike? Niestety, tak łatwo się nie da. Co ja zrobię bez dzieci? Chociaż są przecież także i jego. Perspektywa ucieczki kusi, jednak moje matczyne serce jeszcze mi na nią nie pozwala. Jeszcze nie!

Ale przecież nie mogę stać tutaj, kroić chleba na kolację, wyciągać wędliny z lodówki i udawać, że nic się nie stało! Z drugiej strony, w ekstremalnych sytuacjach domowych należy zachować rozsądek i działać z rozmysłem. Nakrywam więc do stołu, kroję nawet parę ogórków i pomidorów oraz przynoszę małżonkowi piwo. Czuję się niczym sterowana pilotem perfekcyjna mamusia. Nie jestem jednak w stanie zawołać go na kolację. Wysyłam Claudię. Kiedy siedzimy przy stole i milcząc, zjadamy kanapki, myślę intensywnie.

Co on może, mogę i ja! Nie ucieknę jak chora z zazdrości, obrażona, przepełniona nienawiścią i poniżona żona ani nie położę się na sofie, żeby się nad sobą użalać. Chociaż dokładnie tak się czuję: jestem chora z zazdrości, obrażona, przepełniona nienawiścią i upokorzona. Normalną reakcją byłoby zrobienie sceny - ze wszystkimi jej nieodłącznymi elementami - krzykiem, płaczem i oczywiście groźbą: „Zostawiam cię, ty świniou, zabieram dzieci, wszystkie twoje pieniądze, a nawet twoje zaszranie bmw. Niech teraz twoja Michelle kroci ci ogóreczki”. Dokładnie to wykrzyczałabym mu w twarz. Ale nie zrobię tego. Zemszczę się inaczej. Pokażę temu pozbawionemu uczuć grubianinowi, który jakże trywialnie migdali się ze swoją koleżanką z pracy, co znaczy emocjonalny ból. A ta okropna ropucha Michelle jeszcze mnie popamięta! Urządzą tej gruchającej parze piekło na ziemi! A on będzie tarzał się przede mną, błagając, żebym do niego wróciła!

- Nie ma jajek na twardo? - Mężczyzna, który spędził noc poza domem, raczył do mnie przemówić!

Co za odwaga! Jak gdyby nigdy nic! Mam na końcu języka: „Twoimi jajkami zajmuje się teraz inna!”. Udaje mi się jednak opanować, nie tylko dlatego, że zachowałabym się ordynarnie. Po prostu już trochę odreagowałam, przynajmniej mentalnie.

- Jajka są w lodówce - odpowiadam zamiast tego i wydaję się sobie bardzo dojrzała. I bardzo opanowana. Niemal mądra.

- Ugotowane na twardo? - dopytuje się Christoph.

O co tu chodzi? Czy on tak na poważnie? Zawsze stanowiło dla mnie zagadkę, do czego mężczyźni są zdolni. Przejść do zwykłego porządku rzeczy. Wyłączyć poza nawias nieprzyjemne sprawy. Czy coś takiego nie nazywa się selektywnym postrzeganiem? Nocuje u Belle Michelle, biurowej zdziry (dojrzała osoba tak by nie powiedziała, wiem!), i pyta mnie o ugotowane na twardo jajka.

- Jeśli chcesz jajka na twardo, ugotuj sobie - odpowiadam mu tak spokojnie, jak to tylko możliwe.

Dla mnie to kropka nad „i”. Ani śladu skruchy czy pokory, zamiast tego żądanie dodatkowych usług.

- Zapomnij - odpowiada i po głosie wiem, że jest obrażony.

Tak jak ja. On z powodu jajek, ja z powodu nocy. Po jedzeniu i osobliwej rozmowie o jajkach (nie poruszyliśmy już innego tematu) łaskawie pomaga mi sprzątnąć ze stołu i proponuje, że położy dzieci spać.

- Dobrze - mówię - mam jeszcze coś do zrobienia.

Znikam w łazience. Z telefonem. Kiedy z kranu leci woda, dzwonię do Heike. Automatyczna sekretarka. Nagrywam się: „Zadzwoń do mnie, potrzebuję twojej rady. Ten szczur nocował u Belle Michelle”.

To powinno wystarczyć, aby rozbudzić jej ciekawość. Następnie próbuję dodzwonić się do Sabine. Sabine, która od czasów tragedii z Misch-Kielbasą jest znowu singlem, musi mi pomóc. Wyszłam trochę z wprawy i zapomniałam, jak to jest wydzwaniać po przyjaciółkach niczym akwizytor. W ostatnich latach nie miałam takiej potrzeby. A teraz nie mam ochoty wystartować sama w nowe życie. Jeśli chcę się zemścić, odpłacić pięknym za nadobne, muszę działać. Zaproszenie sąsiada na przyjemny numer w małżeńskiej sypialni nie wchodzi w grę, chociaż takie rozwiązanie byłoby z pewnością najbardziej praktyczne. I w zasięgu ręki. Niestety, moi sąsiedzi nie są zbyt pociągający. O Tamary mężu wiem, że cierpi z powodu małego penisa (wygadała się kiedyś); Friedhelm, ten od Anity, patrzy tak markotnie, że nie wyobrażam sobie, jak można by z nim przeżyć upojną noc. Oprócz tego istnieje pewne zagrożenie. Co wtedy, jeśli sąsiad będzie chciał więcej, jego apetyt okaże się nieposkromiony albo szaleńczo się we mnie zakocha? Poza tym ja nie jestem taka jak Christoph i nie korzystam z pierwszej lepszej okazji. No i wreszcie - Anita i Tamara są moimi najbliższymi sąsiadkami i nie chcę, żeby podzieliły mój los.

Czasy, kiedy żona siedzi grzecznie w domu i czeka, aż pan małżonek wróci z biura, definitywnie minęły. Sabine odbiera telefon. Wydaje się zszokowana.

- Tylko nie ty - jęczy do słuchawki - byliście dla mnie idealną parą. Moją ostatnią nadzieją, że istnieją udane związki!

Jest bardziej przerażona niż ja sama. Muszę ją uspokajać. Właściwie zakrawa to na groteskę, bo to w końcu ja powinnam usłyszeć od niej parę pogrzipiających słów. Gdy wreszcie dochodzi do siebie, chce się dowiedzieć wszystkiego o Belle Michelle.

- Andrea, trzeba znać swoich przeciwników. Tylko tak można ich pokonać.

Opowiadam, co wiem.

- Jest piękna, wygląda jak Angelina Jolie, a mój mąż robi za zadurzonego Brada Pitta. No i do tego jest sprytna. I obłędnie inteligentna.

Sabine słucha uważnie i po krótkiej chwili zastanowienia wypala:

- Jutro obejrzymy sobie tę cudowną istotę.

Myśl ujrzenia konkurentki jest kusząca, lecz z drugiej strony napawa mnie lękiem.

- Dobrze - mówię - niech będzie. Ale jak ty to chcesz zrobić? Przecież nie wparujemy tak po prostu do kancelarii, żeby ją sobie obejrzyć.

- Oczywiście, że nie - śmieje się Sabine. - Będziemy działać z ukrycia. Zaczaimy się. Kiedyś przecież będzie musiała wyjść z biura. Nawet takie kobiety jak ona robią sobie przerwę na lunch.

W głębi serca uważam, że pomysł jest fantastyczny, lecz marna resztką mojej godności i ego są mniej zachwycone. Jakie to żenujące! Węszyć za kimś jak w nędznym kryminale. Z drugiej strony, ten ktoś chce złowić sobie mojego męża, dlatego nie chodzi tu już o kwestię godności, ale o zwycięstwo.

Snucie planów bitwy sprawia mi przyjemność. Zapominam nawet na chwilę, że w gruncie rzeczy jestem wściekła i w dodatku wisi nade mną rozwód.

- Daj mi numer telefonu do tej Michelle - żąda Sabine.

Zamierza najpierw zadzwonić i nas zaanonsować?

- Przecież nie chcemy, żeby zaprosiła nas na kolację, tylko mamy ją śledzić. Nie dzwoni się chyba do przyszłego obiektu śledztwa - zwracam uwagę Sabine na elementarne zasady sztuki szpiegowania.

- Przecież wiem - przerywa mi nowe wcielenie Maty Hari - chcę tylko stworzyć sobie jej obraz. Przynajmniej akustyczny. Głos przekazuje dużo informacji o człowieku.

Nie uważam, aby było to konieczne, ale zgadzam się zdobyć ten numer telefonu. Nie znam go, bo do tej pory jakoś nie był mi potrzebny. Nie mogę też wprost zapytać Christoph'a - byłoby to taktycznie niemądre i trochę podejrzane. Umawiamy się na jutrzejsze popołudnie. Odbiorę Sabine z pracy, a potem opracujemy sprytny plan strategiczny. Kiedy odkładałam słuchawkę, czuję się znacznie lepiej. Resztę wieczoru poświęcam swojej urodzie.

Pielęgnacją ciała można zajmować się godzinami, a ja w ostatnim czasie trochę się zaniedbałam. Wiem, dobra żona nie powinna sobie odpuszczać, musi być zawsze apetyczna i w formie. Sama uważam, że to ważne, ale w szarej rzeczywistości raczej trudne do wykonania. Codzienna krzątanina wokół dzieci bardzo męczy. A wieczorami zawsze znajdzie się jakieś ciekawsze zajęcie niż poświęcanie czasu zrogowaciałej skórze. A ponieważ rzadko chodzę w spódnicy, nie ma dramatu, jeśli czasami nogi nie są alabastrowo gładkie. Oczywiście, nigdy nie dopuszczam do tego, aby moje łydki zarosły sierścią. Jak do tej pory, nie słyszałam skarg. Rzeczywiście - może akurat ta noc nie jest właściwą odpowiedzią na całą tę historię z amputacją nogi, ale raczej dobrą okazją, by nie doprowadzić siebie do degrengolady. Że też musiało się tyle wydarzyć, żebym w końcu ogoliła sobie nogi. Nakładam maseczkę, usuwam zbędne włoski, wyskubuję brwi i nacieram się kremem. O, jak mi dobrze. Czy jednak moje ciało wytrzyma krytykę - każda z nas wie, jak bezlitosne może być pierwsze spojrzenie potencjalnego kochanka na nagie ciało kobiety. Im jest się starszym, tym więcej jest do naprawienia, a każda zmiana na lepsze nie przychodzi łatwo. „Kiedy już nastąpi ten moment, muszę koniecznie postarać się o dobre światło, myślę. - A potem najlepiej szybko się położyć, wtedy brzuch wydaje się bardziej płaski, a piersi mniej obwisłe, tyle że rozlewają się na boki”. Ale po kolei. Perspektywa zdobycia nowego mężczyzny mało mnie pociąga, lecz polowanie owszem. I przeżycie związanej z tym przygody. Już sama myśl o rychłym doznaniu czegoś nowego jest odurzająca.

Potrzebuję półtorej godziny, aby doprowadzić ciało do względnego porządku. A wykonałam tylko najpilniejsze zabiegi, i to tylko te w zasięgu moich własnych możliwości. Rozstępów po ciąży nie można usunąć za pomocą kremu. A już na pewno nie w ciągu jednego wieczoru. Postanawiam, z pewnością nie po raz pierwszy, że od dzisiaj będę codziennie wsmarowywać w nie krem. Niestety, w domowej łazience nie można odessać sobie

tluszczu albo operacyjnie zniwelować worków pod oczami. Co za wspaniała perspektywa mieć taki mały przedmiocik, za pomocą którego wieczorami, po umyciu zębów, można by odessać odłożone na biodrach tiramisu albo pochłonięte w nadmiarze kotleciki. Tymczasem maluję sobie nawet paznokcie u stóp. Zwykle ten punkt należy do programu letniego, ale teraz nawet stopy nie mogą mnie narazić na jakiegokolwiek ryzyko. Kto wie, kogo poznam. Rzekomo świat pełen jest mężczyzn, których podniecają właśnie stopy. Wybieram wyrazistą czerwień. W odcieniach pomarańczowych moja skóra wygląda tak, jakbym stała u progu śmierci. Jakoś tak bladolina. Myślę, że kolor pomarańczowy pasuje tylko do piegowatych albo ładnie opalonych kobiet. W kwestii doboru lakieru do stóp nie poddaję się żadnym trendom. Wprawdzie francuski pedicure wspaniale wygląda na zadbanych stopach, ale wykonać go potrafią tylko cierpliwi. Nakładasz kilka warstw, a potem męczysz się, żeby precyzyjnie i pewną ręką namalować jeszcze biały wąski pasek - tylko po to, żeby całość wyglądała jak najbardziej naturalnie. To nie dla mnie! Ten rancik zawsze wychodzi mi różnej grubości i głupio wygląda. Mój czerwony lakier już podsechł. Nałożyłam kilka warstw, dzięki czemu efekt jest naprawdę imponujący. Przez lupę nikt nie będzie go oglądał. Od góry wygląda jak najbardziej w porządku. Niestety, przy goleniu znów się zacięłam i na kostce widnieje porządne cięcie - chociaż używam maszynki jednorazowej z ochronnym ostrzem. Jestem zbyt niecierpliwa. Nawet przy goleniu.

Idę do sypialni, żeby się położyć, a w łóżku jest już Christoph. Czy ja chcę spać z tym mężczyzną w jednym łóżku? Po tym, co zmalował? Jeśli teraz położę się obok niego, będzie to wyraźny znak, że mu wybaczyłam, czyż nie? Nie mogę się zdecydować. Postanawiam położyć się na kanapie. Zabieram kołdrę i cicho wychodzę. Christoph mruczy coś przez sen, ale tak naprawdę chyba w ogóle mnie nie zauważył. A więc moja decyzja była słuszna. Mógłby przynajmniej zapukać do drzwi łazienki i powiedzieć „dobranoc”. Gdzie on właściwie umył zęby? Czy to jego drugi wieczór bez mycia zębów, czy może ma już w łazience u Belle Michelle swoją szczoteczkę? Skoro ta pani jest tak perfekcyjna, zapewne posiada kilka zapasowych szczoteczek kolorystycznie dobranych do łazienkowych kafelków. A zresztą, co mnie to obchodzi - tak czy siak - zasypiam w salonie, i to całkiem mocnym snem.

A oto jak kończą się takie praktyki: następnego dnia rano widzę na sofie interesujące kolorowe plamy. Po lakierze, a jakże! Jedna z nałożonych na paznokcie warstw chyba dostatecznie nie wyschła. Kanapa wygląda jak miejsce jakiejś jatki albo element scenografii wyjątkowo makabrycznego horroru. Takiego z piłą mechaniczną lub podobnym narzędziem. Na razie zakrywam plamy poduszką, bo lakier i tak już zasechł, a ja mam przecież dzień wypełniony po brzegi. Zajmę się tym później!

Christoph, podobnie jak wczoraj, jest bardzo oszczędny w słowach. Żadnego „Dobrze spałaś?” ani „Jak się dzisiaj miewasz, kochanie?”. Nic. Pomimo wszystko dzień jak co dzień - zaczyna się według utartego schematu. Nie pierwszy raz zdarza się, że mamy ciche dni. Christoph zabiera Marka do przedszkola, a Claudia biegnie do szkoły. Przy wyjściu z domu mój małżonek rzuca mi tylko lakoniczne „cześć”. Zanim zdążyłam mu odpowiedzieć, już go nie ma. Sprzątam ze stołu po śniadaniu, wypijam bez pośpiechu kawę i zbieram się do wyjścia.

Dzisiaj mam dzień zaplanowany co do minuty. Niewiele brakowało, a zapomniałabym, że przecież zamierzałam jechać do urzędu pracy. Obojętnie, jak dalej ułoży mi się z Christophem - tak czy owak chcę znaleźć pracę. A jeśli mój mąż miałby przenieść się do Belle Michelle, tym bardziej przyda mi się jakaś posada. Natomiast po południu wybieram się z Sabine na przespiegi. Przynajmniej jakaś odmiana od zwyczajowych ploteczek przy kawie. Mój wygląd także uległ zmianie. Zwykle nie spędzam dnia wypełnionego mamusiowymi obowiązkami w garniturze. Ale dziś wystroiłam się ze względu na wizytę w urzędzie pracy. Wyglądam bardzo poważnie. A gdyby zdarzył mi się wypadek, też nie będę musiała się wstydzić: mam ogolone łydki i pomalowane paznokcie u nóg (co prawda lekko rozmazane, ale polakierowane). Po drodze rozdzwaniałam się po znajomych, żeby „sprzedać” na dzisiejsze popołudnie Claudię i Marka. Nie mam wprawdzie pojęcia o pracy detektywa - dzisiaj debiutuję w tej roli - ale nie przypuszczam, żeby zabieranie ze sobą dzieci „na akcję” należało do normy. Chociaż oczywiście można je zawsze wykorzystać jako przykrywkę. Nie wyobrażam sobie jednak, by moja dwójka dobrze się bawiła, siedząc w ciemnych okularach w samochodzie przed kancelarią i godzinami czekając, aż wreszcie coś się zdarzy. Na szczęście udaje mi się znaleźć dla dzieciaków popołudniowy azyl. Tłumaczę się, że muszę

koniecznie pójść do dentysty, a pan doktor nie miał już żadnego wolnego przedpołudniowego terminu. Opowiadam o swoim potwornym bólu zęba tak przekonująco, że prawie zaczynam go odczuwać. No bo przecież nie mogę nikomu powiedzieć prawdy: „Wie pani, po południu muszę zasadzić się na domniemaną kochankę mego męża, a dzieci tylko by mi w tym przeszkadzały”.

Urząd pracy znajduje się niedaleko centrum, co oznacza, że ciężko mi będzie znaleźć miejsce do zaparkowania. Przewornie więc parkuję pół kilometra dalej. Nie mam dzisiaj nastroju na bliskie spotkania ze strażą miejską. A już na pewno na interwencję profesjonalnej firmy holowniczej.

Kiedy idę chodnikiem, widzę szyld, który przykuwa moją uwagę:

„Praca czasowa - Frisch”.

Praca czasowa - czemu nie? To coś dla mnie. Gdyby udało mi się znaleźć u nich jakąś pracę, mogłabym oszczędzić sobie drogi do urzędu pracy. „To musi być przeznaczenie, czekają na mnie”, myślę i kieruję się w tamtą stronę. Co szkodzi spróbować? Do urzędu pracy zawsze jeszcze zdążę. Kiedyś już skorzystałam z pośrednictwa takiej firmy. Skierowano mnie wtedy do telewizji Rhein-Main i zostałam przyjęta. Niestety, firma zniknęła z rynku z powodu jakichś przekrętów. Oczywiście, że słyszałam, że firmy oferujące pracę czasową to wyzyskiwacze, kasują lwią część zysków, a zatrudnionym płacą tylko małe sumki. Tak czy owak, grunt, że płacą.

Biuro Pracy Czasowej - Frisch nie wygląda źle. Jasne i nowoczesne - w końcu opłacane z pieniędzy zatrudnionych tutaj osób, czyli pracowników z umową na czas określony. Praca czasowa kojarzy mi się z ludźmi o szarych twarzach. Taki jest właśnie urzędnik, który się mną zajął. Mężczyzna ma zupełnie zszarzałą cerę i już na pierwszy rzut oka widać, że od lat cierpi na deficyt świeżego powietrza. Nie muszę w ogóle czekać - jakby nie było - pierwszy plus. Urzędnik jest dosyć miły, ale zachowuje dystans. W porządku, przecież doskonale wiem, że rynek pracy nie czeka z utęsknieniem na kogoś takiego jak ja.

- Szkoda, wielka szkoda, że nie ma pani wykształcenia technicznego - mówi mężczyzna już w trzecim zdaniu. - Dostajemy mnóstwo ofert dla elektrotechników i inżynierów. A nawet dla specjalistów budowy maszyn. Szaleństwo, istne szaleństwo!

Co mi z tego, skoro kształciłam się na handlowca branży spedycyjnej, a w dodatku od lat nie wykonuję wyuczonego zawodu.

- Pracowałam w stacji telewizyjnej jako asystentka redakcji, potrafię obsługiwać komputer, pracować w zespole i świetnie opanowałam Excela.

Musiałam się tym pochwalić. Jestem dumna ze swoich umiejętności pracy w Excelu. Nikt nie robi takich wspaniałych tabel jak ja.

- Dzisiaj to standard - szara twarz gasi mój entuzjazm.

- Niemal podstawa.

Chyba lepiej było od razu pójść do urzędu pracy. Może tam udałoby mi się zrobić pozytywne wrażenie na urzędnikach. Już po pięciu minutach jestem bliska skoczyć jak oparzona i wrzasnąć: „Nie narzucam się więcej, proszę pana!”. Wyobrażam sobie, co muszą czuć ludzie, którzy codziennie siadają naprzeciwko takich facetów i muszą wysłuchiwać ich protekcyjnych uwag. Nic dziwnego, że wielu woli zostać w domu i leżeć na kanapie. Przecież tutaj przychodzą ludzie, którzy chcą pracować! Gdybym chciała się szybko i skutecznie upokorzyć, stanęłabym na wadze. Sądzę, że ten typek z całą pewnością nie jest inżynierem, tylko jakąś fachową siłą biurową. Przynajmniej to muszę z siebie wyrzucić:

- Pan chyba również nie jest inżynierem, panie Hiller - mówię nadzwyczaj uprzejmym tonem.

- Nie, nie jestem, nie jestem - odpowiada pan Hiller, a jego wąskie usta w gąszczu imponującej brody i wąsów zwąsają się jeszcze bardziej.

Dobra nasza - udało mi się go trochę rozdrażnić.

- Jestem doradcą personalnym - urzędnik spieszy uzupełnić swoją odpowiedź - i mam dodatkowe wykształcenie w zakresie psychologii.

Och, teraz chce mi pokazać, ten pan Hiller. Ale ja też tak potrafię!

- Co za przypadek! - mówię dobitnie. - To podobnie jak ja. Mam dodatkowe wykształcenie w dziedzinie pedagogiki.

Uważam, że ktoś, kto przez parę ładnych lat wychowuje dwoje dzieci, może spokojnie twierdzić coś takiego. W myślach przepraszam wszystkich wykwalifikowanych pedagogów.

- Tak, tak - mruczy pan Hiller - popatrzmy więc, co mielibyśmy dla pani. Czy byłaby pani zainteresowana posadą pomocy przedszkolanki? - patrzy na mnie wyczekująco.

Najchętniej powiedziałabym, że to poniekąd pokrywa się z moim obecnym profilem zawodowym. Pomoc przedszkolanki i pomoc domowa równa się matka.

- Nie, nie wydaje mi się. Rozumie pan, panie Hiller, pracując w przedszkolu, mój zmysł handlowy nie miałby pola do popisu. Także z finansowych względów propozycja nie jest dla mnie interesująca.

Wprawdzie nie powiedział nic o wynagrodzeniu, ale przedszkolne wychowawczynie otrzymują tak niskie pensje, że nikomu nie napłynęłyby do oczu łzy radości, słysząc podobną ofertę. Wolę nie wiedzieć, ile może zarabiać taka pomoc.

- Dobrze, dobrze - mówi tylko pan Hiller.

Irytujące jest ciągle powtarzanie tych samych wyrazów! Czy prywatnie też tak gędzi? Biedna jego kobieta.

- Chyba mam pewien pomysł - rzuca nagle.

Wygląda na bardzo podnieconego.

- Tak? - pytam wyczekująco.

- Pewna renomowana kancelaria prawna szuka prawdziwej perły do recepcji. Telefon, uzgadnianie terminów i tak dalej. Nieźle płacą. Mile widziana pobieżna znajomość prawa. Zastępstwo na czas urlopu, na pół etatu. Perspektywa dalszej współpracy. Zadzwonili dzisiaj rano, nagła sprawa. Posada do objęcia od pojutrze.

Często podczas studiów widziałam uczącego się Christopha, a nawet sprawdzałam błędy ortograficzne w jego pracy na pierwszy egzamin państwowy. Nie jest to może dosłowna znajomość prawa, ale przynajmniej wiem, jak wygląda znak paragrafu.

- Brzmi nieźle - mówię i dodaję zaraz: - Nieźle, naprawdę nieźle.

Przejęcie językowych zwyczajów partnera w rozmowie jest rzekomo najlepszym sposobem na stworzenie pozytywnej relacji. Pokazuję swoje dokumenty, wypełniam formularze i jestem zaskoczona, że kancelaria jest gotowa płacić aż trzynaście euro netto. Moje zdumienie sięga zenitu, kiedy dowiaduję się, o jaką kancelarię chodzi. Ale nie daję nic po sobie poznać.

- Ach, Langner i Partnerzy, brzmi nieźle. Słyszałam kiedyś, że to dobra kancelaria. Bardzo dobrze, bardzo dobrze - znowu dopasowuję się lingwistycznie do pana Hillera.

Nie uważam, żeby wyjaśnianie osobistych powiązań z rzeczoną kancelarią było dobrym posunięciem, toteż tego nie czynię, ale perspektywa pojawiania się tam każdego ranka i oglądania jak pod lupą młodego szczęścia bardzo mi się podoba.

Może jednak pojawić się pewna trudność.

- Czy zostanę zaproszona do kancelarii na rozmowę kwalifikacyjną? - pytam ostrożnie, ponieważ mogłoby to stanowić maleńki problem. Chociaż tak naprawdę w kancelarii zna mnie tylko Langner, i nikt poza nim. A nie chce mi się wierzyć, żeby sam Langner miał się zajmować zatrudnianiem personelu administracyjnego.

- Nie, nie, od tego jesteśmy my. Wiedzą, że można na nas polegać. Niedawno znaleźliśmy dla nich absolutnie fantastycznego pracownika. Byli zachwyceni. Zdają sobie sprawę, że firma Frisch dotrzymuje danego słowa. Musi pani tylko pojawić się tam pojutrze, punktualnie o dziewiątej rano. Umie pani przecież telefonować.

Trochę bezczelna uwaga, ale gładko ją przelękam. Pan Hiller wręcza mi kartkę z adresem. W ostatniej chwili opanowuję się, żeby nie wykrzyknąć: „Wiem dobrze, gdzie to jest!”. Teoretycznie miałabym nawet możliwość tzw. podwody. Teoretycznie. Ale za żadne skarby nie zdradzę Christophowi, gdzie dostałam pracę. Chcę zobaczyć głupi wyraz jego twarzy w kancelarii.

- Może pan na mnie polegać, panie Hiller. Będę tam pojutrze o dziewiątej rano.

- Aha, i jeszcze jedno, pani Schnidt, odpowiedni ubiór byłby bardzo wskazany! - mówi surowo i mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Czy mam na sobie obcisłe szorty i koszulkę odsłaniającą pępek? Co on sobie wyobraża!? Czy wyglądam na taką, która nie wie, że do biura nie idzie się w kapciach? Przecież jestem w swoim najlepszym garniturze! Był naprawdę drogi. Na pewno droższy od poszarzałej marynarki pana Hillera, która świetnie harmonizuje z jego szarą twarzą. No tak, nie wiadomo, ile on tutaj zarabia. Nie odbieram mu jednak przyjemności i potakuję.

- Oczywiście, panie Hiller!

On rzeczywiście się cieszy. Prawdopodobnie dlatego, że agencja Frisch zarabia dwadzieścia pięć euro na godzinę, a Hiller jako pośrednik za godzinę mojej pracy otrzyma dwanaście euro - zarabianych przeze mnie. Co za bezczelność! Mimo wszystko jestem zadowolona, że w ogóle dostałam jakąś pracę. Ha! I to jaką! Cudownie. Jeśli to zapowiedź reszty dnia, będzie fantastycznie. Dziękuję grzecznie, składam jeszcze swój podpis na umowie i żegnam się z panem Hillerem. Jak wszystko dobrze pójdzie, przyniosę mu kiedyś kosz owoców. Jego poszarzała twarz domaga się witamin.

Mogłabym teraz w spokoju pojechać do domu, wrzucić do pralki porcję prania i podkurzać. Mogłabym! Ale przecież nikt na mnie nie czeka. Dzieci są dzisiaj poza domem,

Christoph w pracy, a pranie do wieczora nie ucieknie. Do spotkania z Sabine mam jeszcze parę godzin. Postanawiam pochodzić trochę po mieście - na samą myśl o wolnym czasie tylko dla siebie dostaję skrzydeł. Gdybym była osobą samotną miałabym zawsze wolny czas. Robiłabym tylko to, co ja uznałabym za konieczne.

Siadam w najlepszej kafejce w pobliżu i świętuję sama ze sobą zawarcie dzisiejszej umowy. W normalnych okolicznościach zadzwoniłabym od razu do Christopha, ale częstotliwość wykonywanych przez nas telefonów spadła po pewnej krytycznej nocy prawie do zera. Delikatnie mówiąc, bo w rzeczywistości w ogóle już do siebie nie dzwonimy. Nawet żeby ustalić sprawy organizacyjne. Nie jestem też pewna, czy on pamięta, że miałam dzisiaj iść do urzędu pracy. Najpóźniej pojutrze sobie przypomni.

Co by było, gdybym była sama - snuję dalej swoją wizję. Lubię takie zabawy w „gdybanie”. Bez dzieci, bez męża - jak by to było? Wysypianie się w weekendy, balangi do białego rana, pranie wyłącznie swojej bielizny, kupowanie jedzenia, które smakuje tylko jednej osobie, żadnego sterczenia przy garach, zawożenia kogokolwiek gdziekolwiek. No i spanie, kiedy tylko dusza zapragnie. Po prostu zaspokajanie jedynie swoich potrzeb. Odużona tymi myślami w ogóle nie jestem w stanie zrozumieć rzekomej beznadziei wielu singli. „Nie mają bladego pojęcia, jak fantastyczne prowadzą życie”, myślę, mieszając łyżeczką cappuccino. Sabine na przykład skarży się bez przerwy, że nie ma się o kogo troszczyć. Potrafię zrozumieć, że idea troszczenia się o kogoś może być piękna, ale rzeczywistość jest skrajnie wyczerpująca. „Chodzi o poczucie bycia potrzebnym - mawia Sabine. - Właśnie ono nadaje życiu sens. Świadomość, że żyje się dla kogoś”.

Ja też lubię to uczucie, tyle że na nim się nie kończy. Często proponowałam Sabine, żeby zastąpiła mnie na tydzień - albo zamieniła się ze mną (jak w programie „Zamiana żon”). Jestem przekonana, że już po tygodniu spędzonym z moją rodziną chciałyby wrócić do swojego zwykłego życia. Gdyby kobiety wiedziały w szczególach, na co dobrowolnie się skazują, podejmując decyzję o założeniu rodziny, wiele z nich by się rozmyśliło. Może moje wywody brzmią okropnie i samolubnie, ale przynajmniej w myślach można ulec własnemu egoizmowi. Moim zdaniem, to wcale nie świadczy o braku miłości. Kocham swoje dzieci, do wczoraj byłam też przekonana, że kocham męża - ale kochać oznacza również służyć, a z tym mam pewne trudności. Oprócz tego każdy chyba lubi, jeśli proporcje w braniu i dawaniu są zachowane. Przy dzieciach na początku z natury rzeczy nie ma takiej możliwości. W

mało atrakcyjnych sytuacjach dnia codziennego, na przykład w prowadzeniu gospodarstwa domowego, mało z nich pożytku. W zamian można od nich otrzymać tylko emocjonalne świadectwa przywiązania. Oczywiście, że cudownie jest czuć na twarzy małe, klejące się rączki i doświadczać bezgranicznej miłości maluchów. Choćby z tego powodu wcześniejszy model życia był bardziej uczciwy - rodzice wychowywali dzieci, a na starość mogli liczyć na ich opiekę. Dzisiaj można spodziewać się co najwyżej odwiedzin w domu starców. Ja akurat mam dwoje dzieci, co znacznie podnosi moje szanse.

- Czy można się przysiąc? - ktoś przerywa mi zabawę w „co by było gdyby”.

Podnoszę wzrok i widzę stojącego przede mną pana Hillera. Szary człowieczek uśmiecha się do mnie promiennie.

- Oczywiście, panie Hiller - odpowiadam, chociaż nie mam ochoty na towarzystwo. A zwłaszcza na jego towarzystwo.

- Przerwa obiadowa? - mimo to grzecznie zaczynam konwersację.

Nie można być niewdzięcznym. Przecież ten facet godzinę temu znalazł mi pracę.

- Owszem - odpowiada - ale szczerze mówiąc, trenuję.

Czy przerwę na kawę nazywa się teraz treningiem, czy on mówi o czymś innym?

- Jestem akurat w trakcie uczęszczania na pewne seminarium i przerwę na kawę wykorzystuję na ćwiczenia praktyczne - wyjaśnia, uprzedzając moje ewentualne pytania.

Może cierpi na kawiarnianą fobię i musi przewycięzać swój strach? Albo nie ma odwagi w ogóle wychodzić z domu? Biedny facet - szara twarz jest wynikiem tego, że od lat boi się opuścić mieszkanie. Cierpi na chroniczny lęk.

- Świetnie - chwalam go bez wahania - dobrze panu wychodzi.

Pozytywne wzmocnienie - tak to się chyba nazywa.

- Uważa pani, że dobrze mi wyszło? - pyta.

- Wspaniale, że przewyciężył pan swoje lęki i wyszedł na ulicę. Myślę, że pański terapeuta będzie tego samego zdania.

Hiller wybałusza na mnie oczy.

- Jaki terapeuta? Uczestniczę w seminarium flirtowania pod tytułem „I ty możesz kogoś poznać”.

Czyli pan Hiller trenował klasyczne nawiązywanie konwersacji - jak to się ładnie nazywa. Szara twarz bierze udział w zajęciach sztuki flirtowania! Ale co on robi przy moim stoliku? Mam rozumieć, że pan Hiller ze mną flirtuje!? Ratunku!

- Lubi pani cappuccino? - zmienia temat.

Doszło chyba do niego, że poprzedni temat był jak przysłowiowa kula w płot.

- No jasne. Inaczej zamówiłabym coś innego - odpowiadam i zastanawiam się, jak w eleganckim stylu pozbyć się tej namiętnej szarej twarzy.

- Jeśli pani chętnie pije cappuccino, myślę, że możemy napić się razem - nie owija w bawełnę.

- Już to robimy, panie Hiller - próbuję pohamować jego zapędy. - Pijemy cappuccino, w każdym razie ja piję, a jeśli powie pan kelnerce, że pan także ma ochotę na kawę, wtedy będziemy popijać ją razem.

- Hm, hm, hm - chrząka zakłopotany pan Hiller. - Uważam, że jest pani bardzo interesująca.

Och, to mi wygląda już na fazę numer dwa. Prawienie komplementów, tuż przed propozycją odprowadzenia do domu.

Teraz muszę naprawdę uważać, żeby zachować dystans, w przeciwnym bowiem razie jeszcze mnie dotknie. Już oblizuje raz po raz swoje wąskie usta i gładzi ręką po mocno przerzedzonych włosach. Mam wrażenie, że na seminarium poruszano również temat mowy ciała. To zwilżanie ust i przeciąganie dłonią po włosach musi przecież coś znaczyć. Facet zmusza mnie do zagrania krótkiej piłki.

- Panie Hiller, dziękuję za komplement, wcześniej jednak nie odniosłam wrażenia, żeby uważał mnie pan za interesującą kobietę. Ale, oczywiście, bardzo mi miło.

Zanim udaje mi się powiedzieć, że koniecznie muszę już iść, pan Hiller chrząka i oznajmia:

- Szczerze mówiąc, pani Schmidt, nie uznałem pani za interesującą. Ale kiedy zobaczyłem panią tutaj samą, pomyślałem sobie, że przynajmniej trochę panią znam i może od razu mi pani nie ucieknie. A pan Gölgner, prowadzący seminarium, powiedział, że jeśli nic innego nie przychodzi nam do głowy, powinno się powiedzieć „interesująca”. I być szczerym.

To mogłaby być niezła łamigłówka: ile obelg jest ukrytych w tym zdaniu? Nie jestem interesująca, ale poza tym określeniem nic innego w danej chwili nie przyszło mu do głowy. Wiedział, że ze względu na ofertę pracy od razu nie ucieknę, dlatego mnie zagadnął. Pal sześć pracę, ale naprawdę przestało mnie to bawić.

- Panie Hiller, myślę, że potrzebuje pan jeszcze dużo treningu - mówię bardzo surowo i rzucam najbardziej wściekłe spojrzenie, na jakie mnie stać.

- Pani Schmidt, przepraszam... jestem... to znaczy... ja po prostu nie potrafię.

On chlipie! Mój Boże, jeszcze zacznie zaraz szlochać, tu, w kawiarni! No tak, płacze. W dodatku dosyć głośno.

- Zawsze muszę wszystko sknocić - przerywa szlochaniem. - Nawet pani mnie nie lubi. Przecież to widać.

To „nawet pani” znowu było bezczelne, ale nie potrafię kopać leżącego - człowieka, który, mówiąc obrazowo, leży nawet nie na deskach, ale pod nimi. Podaję mu chusteczkę i proszę, aby się uspokoił.

Wszyscy goście w kawiarni rzucają dyskretne spojrzenia w stronę naszego stolika. Z pewnością myślą, że sprawiłam panu Hillerowi jakąś wielką przykrość. Porzuciłam go albo coś podobnego. Żenujące podejrzenia - oznaczałyby, że jesteśmy z tym facetem parą. Jego płacz wyraźnie nie przysparza mi sympatii. A przecież to on zachował się bezczelnie! Po paru minutach pan Hiller ma już o niebo lepszy odcień cery i powoli ociera ostatnie łzy.

- Proszę mi wybaczyć, pani Schmidt, nie mogłem się opanować - zwraca się do mnie i czyści dokładnie nos. - Niech pani zapomni, o czym mówiłem. Pani jest dobrą, wyrozumiałą kobietą. Ale kobiety pani pokroju nie zadają się z takimi mężczyznami jak ja. Nigdy mi się nie uda!

Tak jest. Wreszcie pan Hiller powiedział coś, co jest zgodne z prawdą. Jestem dobrą kobietą, choć w ostatnim czasie niektórzy z mojego otoczenia tego nie dostrzegają.

- Może jednak umówiłaby się pani ze mną? - pyta nieśmiało.

I jak z tego wybrnąć? Jeśli powiem „nie”, on na pewno znowu zacznie ryczeć.

- Z chęcią, dlaczego nie? - odpowiadam więc i mam nadzieję, że zaraz zapomni o tych słowach. Jeśli nie, będę zmuszona włączyć w tę grę swojego męża. - Ale teraz muszę już się pożegnać, panie Hiller - mówię to w momencie, kiedy kelnerka przynosi mu zamówione cappuccino.

- Zostawi mnie pani tu samego, taki już mój los - znowu zaczyna chlipać, tym razem prawie bezgłośnie.

- Jestem mężatką, panie Hiller, ale zostanę tutaj, aż wypije pan spokojnie swoje cappuccino i lepiej się poczuje - od tego momentu gram w otwarte karty.

- Ojej, mężatka. Powinienem przypuszczać, że taka kobieta jak pani musi być zamężna.

Ludzie, on potrafi być naprawdę szarmancki! Niedawno nie byłam nawet interesująca, a teraz mówi „taka kobieta jak pani”.

- Czy jest pani szczęśliwa? - pyta bez cienia zakłopotania.

„Tak, oczywiście”, chcę potwierdzić, ale gryzę się w język. Pan Hiller nie zasłużył, żeby po takim striptizie duszy zbywać go lakoniczną odpowiedzią.

- Tak, owszem - zaczynam więc - ale ostatnio zrobił się z mojego małżeństwa straszny kogel-mogel.

Zanim zdążyłam się spostrzec, opowiedziałam temu jeszcze przed dwiema godzinami obcemu mężczyźnie historię swojego życia. Pan Hiller jest dobrym słuchaczem. Współczującym. Wzdycha ciężko przy większych zwrotach akcji i trzyma - jakie to miłe - całkowicie moją stronę. Merytorycznie niewiele to zmienia, ale na pewno jest bardzo kojące. Pieści moją zboląłą duszę. Nawet powtarzanie słów nagle mniej mi przeszkadza.

- Pomogę pani - mówi, kiedy przymierzam się do zdradzenia mu planu zemsty.

Czy chce włączyć się do gry jako męska Belle Michelle?

- Tak na marginesie, mam na imię Helmuth, z te-ha na końcu. Helmuth Hiller. Teraz, kiedy jak gdyby współpracujemy ze sobą, możemy chyba przejść na ty.

Pochyliła się w moją stronę.

- Jestem Andrea - mówię, a on w mgnieniu oka przyciska wąskie usta do mojego policzka.

Gdybym nie wykazała się refleksem i nie odwróciła głowy, pocałowałby mnie w usta. A tak udaje mu się trafić w dolną część policzka. Nie było to jednak niemiłe. Może zbyt szybko wtajemniczyłam Helmutha w moje małżeńskie historie, ale kto wie, czy rzeczywiście nie okaże się pomocny.

- Chodźmy dzisiaj gdzieś wieczorem - proponuje, niesiony euforią wywołaną pocałunkiem w policzek.

Prawdopodobnie na seminarium sztuki flirtowania nauczył się nigdy nie rezygnować.

- Nie wiem, czy mogę wyjść dziś wieczorem. Ze względu na dzieci - próbuję zwolnić tempo. Tymczasem on strasznie ciśnie.

- Nie chodzi o mnie, choć oczywiście byłbym zachwycony - uspokaja mnie mój nowy przyjaciel - ale o ciebie. Musisz wywołać u swojego męża trochę nerwowego napięcia. Wzbudzić zazdrość! Zadzwoń, a potem ty powiesz, że musisz jeszcze raz wyjść w sprawie oferty pracy albo coś takiego.

Ach tak - praca. Jedyny szczegół, o którym nie powiedziałam Helmuthowi. Nie pi-
snęłam ani słówkiem, że mój mąż pracuje w kancelarii, do której mnie skierował. I nie pi-
snę. Jeszcze nie. Kto wie, czy Hiller nie powiedziałby, mimo całej naszej przyjaźni: „Bez
względu na miłość, Andrea, tak po prostu nie można”.

- To jak, Andrea? - nalega. - Idziemy gdzieś dzisiaj?

Dlaczego nie? Kiedyś trzeba rozpocząć ten akt zemsty.

Pan Hiller nie jest może tak na oko tym, którego sobie wyobrażałam, ale na pierwszy
ogień powinien się nadawać. Po kilku drobnych zabiegach mógłby wyglądać wcale nieźle.
Tylko ta szara twarz robi naprawdę mało atrakcyjne wrażenie. Poza tym on przypomina mi
kogoś. Już wiem - ma coś z Horsta Schlämmera, tego gburowatego fotoreportera, którego
gra Hape Kerkeling. Helmuth nie jest co prawda w tak idiotyczny sposób pewny siebie, ale
za to jeszcze bardziej poszarzały. Ma zbyt długie i w dodatku nijakie włosy - ani kręcone,
ani proste, bez wyraźnego koloru. Uprzejmy fryzjer powiedziałby prawdopodobnie: ciemny
blond. Brakuje im połysku, co jest w ogóle cechą wyróżniającą Helmutha. Brakuje mu bla-
sku. Brodę i wąsy należałoby skrócić albo najlepiej od razu zgolić. Ubranie co prawda ma
porządne, ale bez rewelacji. Przy bliższym przyjrzeniu się cała postać wygląda bardzo
smutno. Od razu widać, że pewność siebie nie należy do jego atutów - cały zdaje się krzy-
czeć: „Jestem zerem!”. Przedtem, w biurze, jakoś nie rzucało się to w oczy. Ale teraz, bez
biurka, bez dużego skórzanego fotela i posmaku władzy, płynącej z możliwości przydzia-
lenia pracy, od razu daje się to zauważyć. Kiedy go obserwuję, również i we mnie rośnie
smutek. Czyżbym miała przed sobą swoje męskie odbicie? Czy po mnie tak samo widać
brak pewności siebie? Czy też brakuje mi blasku? Mam ochotę wycić ze współczucia - dla
Helmutha i trochę dla samej siebie. I dla wszystkich pozbawionych blasku ludzi na świecie.
Za Helmuthów i Andree!

Jest wczesne popołudnie, a Christoph ciągle jeszcze nie dał znaku życia. Pod wpływem nastroju chwili mam ochotę od razu do niego zadzwonić, nie, od razu pojechać, wziąć go w ramiona, wypłakać się i pozwolić się pocieszyć. Mężczyźnie, który ma na imię Christoph, jest moim mężem i który powie: „Króliczku, to wszystko było strasznym nieporozumieniem”.

- Andrea, bujasz w obłokach, o czym myślisz? - Helmuth sprowadza mnie na ziemię.

Musi jeszcze popracować nad repertuarem swoich powiedzonek. „Bujasz w obłokach!” - tak mawiał kiedyś mój ojciec.

- Muszę już iść - informuję Helmutha i faktycznie obiecuję, że spotkam się z nim dzisiaj wieczorem.

Gdyby jednak pojawił się Christoph albo zadzwonił w ciągu najbliższych sześćdziesięciu minut i wylewnie przeprosił, dam Helmuthowi kosza. Tego jednak mu nie mówię. Jeśli mój nowy znajomy jest w podobnym stanie ducha jak ja, dobrze mu zrobi pozostawanie przynajmniej do wieczora w przekonaniu, że wreszcie ktoś się z nim umówił. Zapisuje sobie mój numer telefonu i dodaje jeszcze:

- Zapłacę za twoje cappuccino, Andrea. A wieczorem możemy podzielić rachunek na pół.

Ja, durna, mówię jeszcze „dziękuję”. Dziękuję mężczyźnie, który przed randką oświadcza, że nie zapłaci za moją kolację, ale za to wspomniałomyślnie funduje mi cappuccino. To przechodzi ludzkie pojęcie - facet wypłakuje mi się w rękaw, szlocha i skomle, ja mu szczerze współczuję i co dostaję w zamian? Kiedy trochę lepiej poznam Helmutha, powiem mu, że coś takiego jest gorsze niż nieświeży zapach z ust. Skąpiradła nie mają u kobiet szans. Żeby nie powiedzieć: absolutnie żadnych szans. Nie potrafię dokładnie wyjaśnić dlaczego, ale mężczyzna, który dziesięć razy obraca w rękę każdego centa, zanim go wyda, jest ekstremalnie mało pociągający. W dzisiejszych czasach sknery chętnie usprawiedliwiają się emancypacją. Zgodnie z zasadą: same tego chciałyście! Tak jakby równouprawnienie miało coś wspólnego z galanterią i grzecznością! Dziś żadna kobieta nie oczekuje, by mężczyzna ją utrzymywał (okay, prawie żadna), ale uprzejmość w podstawowym wymiarze jest ciągle mile widziana. A mówiąc dokładniej, chodzi o to, by umieć zachować się z gestem. Ludzie z gestem są lepsi w łóżku, o czym jestem absolutnie przekonana. Ma to coś wspólnego z tak zwaną mentalnością dawcy.

Może nawet ja zaprosiłabym Helmutha na kolację, tak po prostu, z uprzejmości. Raz płaci jedno, raz drugie. Byłoby miło. Namiętne rozliczanie się z każdego grosza wiele mówi o stanie ducha człowieka.

Dobry Boże, ale ze mnie badacz ludzkiej natury! Im więcej rozmyślam o Helmucie, tym lepiej się czuję. Wiem, że to bardzo nieładnie bawić się czyimś niepowodzeniem, ale on wygląda rzeczywiście na kupkę nieszczęścia, a ja w tym momencie nie gardzę żadnym pocieszeniem. Mam jeszcze dwie i pół godziny do spotkania z Sabine, nie wytrzymałabym już jednak dłużej z Helmuthem. Zresztą on musi już chyba wrócić do biura. Na odległość Hiller, a raczej myśl o nim, może wesprzeć mnie na duchu, lecz jego bezpośrednie towarzystwo tylko mnie dobija. Ośmielam się więc wątpić, czy nasze wspólne wyjście wieczorem to dobry pomysł. Czy w wyniku połączenia dwóch szarych chmur pojawi się na niebie słońce? Postanawiam jednak pomóc Helmuthowi, traktując to jako skryte zadośćuczynienie moich podłych myśli o nim. W przeciwnym razie ten facet nigdy nie znajdzie się na właściwej drodze. Powiem mu prawdę, ale dopiero wieczorem. Może po wypiciu jednej czy dwóch lampek wina. Liczę, że potem Helmuth się zmieni. Jestem wielką fanką wszelkiego rodzaju show „przed i po”. To, co udaje się dzięki paru zabiegom dekoracyjno-porządkowym w salonie, powinno poskutkować także w przypadku Helmutha. Nowy kolor i więcej blasku. No i szlachetny cel, dla mnie.

Umówiłam się z Sabine na deptaku, przed butikiem „Lara”. Dla zabicia czasu wałęsam się po mieście. Kiedy przeglądam się w wystawach sklepowych, ogarnia mnie przerażenie. Wprawdzie mój garnitur nie prezentuje się źle, ale spodnie zbyt ciasno opinają wewnętrzną stronę ud. Mimo wszystko jakoś się w nich mieszczę. Ale ta głowa! Mam nudną fryzurę. Włosy, chociaż świeżo umyte, zwisają beładnie jak zbyt długo gotowane spaghetti. Nie wyglądają al dente, są raczej oklapłe. Nazwanie tego, co mam na głowie, fryzurą, jest zdecydowanie zbyt śmiałe. Kolor niewiele różni się od barwy włosów Helmutha. Postanawiam więc coś dla siebie zrobić. Nie mam prawa narzekać na fryzurę Hillera, gdy moje włosy wyglądają tak, jakbym obciąła je sobie sama nożyczkami do paznokci. To zawsze był dla mnie problem. Kupuję każde kobiece czasopismo, które zawiera dodatki z modelami fryzur i daje nadzieję na cud. W zasadzie potrzebowałabym kogoś, kto wpadałby do mnie codziennie rano, ułożył mi włosy, wymodelował je okrągłymi szczotkami i zrobił piękną fryzurę. A ponieważ nie nazywam się Camilla i nie jestem żoną księcia Karola, dlatego nie

mam na zbyciu trzech tysięcy euro w domowym budżecie i muszę sobie sama radzić. Sta-
nęło więc na tym, że moje półdługie włosy zaczesuję do tyłu i zwiążuję je gumką, a to, co z
niej wystaje, można optymistycznie nazwać końskim ogonem. Choć ze względu na ilość
włosów określenie „mysi ogon” lepiej oddałoby moje uczesanie.

Pójdę do fryzjera. Tak jest, znalazłam rozwiązanie! Niech wymyślą dla mnie coś no-
wego. Mimo że w śródmieściu jest całe mnóstwo zakładów fryzjerskich, usłyszałam już
odmowne odpowiedzi w czterech kolejnych salonach. „Za trzy tygodnie w czwartek o go-
dzinie siedemnastej piętnaście możemy zarezerwować pani termin”, informuje mnie w koń-
cu przez nos wysztafirowana recepcjonistka w pewnym absolutnie najmodniejszym salonie.
Wizyta za trzy długie tygodnie w niczym mi nie pomoże. Jeśli mam pójść do fryzjera, to
zaraz. Teraz albo wcale! Kto wie, czy za trzy tygodnie będę tak samo zdecydowana na
zmianę uczesania. W moich oczach maluje się chyba wielkie rozczarowanie, bo babka z re-
cepcji patrzy na mnie ze zrozumieniem. Rzut oka na moje włosy najwyraźniej spowodował,
że uznała natychmiastowe działanie za absolutnie konieczne. Z trudem ukrywa przerażenie.

- Może pani pójść teraz do Mira - proponuje mi.

Dlaczego nikt oprócz mnie nie chce iść do Mira, gdy tymczasem pozostali fryzjerzy
mają tak wypełniony grafik, że przez trzy tygodnie nie można nigdzie wetknąć szpilki? Re-
cepcjonistka uprzedza moje pytanie:

- Miro jest naszym praktykantem, ale już na półmetku.

Waham się - w końcu moja głowa nie jest polem do eksperymentów ani do testowania
nowo nabytych umiejętności - lecz recepcjonistka już go przywołuje. Miro okazuje się
ubranym na czarno olbrzymem. Na lewym ramieniu ma imponujących rozmiarów tatuaż z
motywnem zwierzęcia, szyję zdobią łańcuchy - wygląda, jakby dorabiał gdzieś jako raper.
Chociaż ciągle jeszcze nie powiedziałam „tak”, Miro podaje mi narzutkę i zanim zdążyłam
się rozmyślić, już siedzę przed lustrem. Zadziwiające, że fryzjerzy często mają fatalne fry-
zury. Uczesania Mira nie mogę ocenić, bo nie ma włosów. Jest ogolony na łyso. Nie wiem,
czy z powodu przedwczesnego łysienia, czy po prostu taki ma styl.

- I? - wita mnie Miro. - Jaką chciałabyś mieć fryzurę?

Mówi do mnie po prostu na „ty”. To znaczy, że młodo wyglądam. Powinnam się cie-
szyć.

- Czy mógłbyś podać mi parę katalogów? Chciałabym sobie coś wyszukać - pytam trochę onieśmielona.

- Katalogów? - Miro patrzy na mnie tak, jakbym zamówiła u fryzjera dodatkowo porcję rigatoni na ostro.

Wcześniej zawsze uważałam, że segregatory ze zdjęciami fryzur mogą być bardzo pomocne, ale jak widać, czasy się zmieniły. Muszę więc sama wyjaśnić, o co mi chodzi.

- Chciałabym mieć więcej włosów. Fryzura powinna sprawiać wrażenie, że mam więcej włosów - zaczynam opis wymarzonego uczesania.

- Nie umiem czarować! - Koleś śmieje się bezczelnie. - Na pewno trzeba nałożyć farbę - mówi i przeciąga palcami po moich włosach.

Ma dziwne palce. Końcowa część każdego z nich, ta, gdzie znajduje się paznokieć, wydaje się mniej więcej dwa razy dłuższa niż zwykle. Co najmniej dwa razy dłuższa niż środkowa część palca. Czy to niezwykle odchylenie od normy przeszkadza mu tak bardzo jak mnie moje włosy? Czy jest w ogóle świadomy swojej odmienności? Może to cecha rodzinna? Albo objaw choroby? Jestem naprawdę zafascynowana jego niezwykle długimi palcami.

- Pasemka o szerokiej gamie kolorów: miodowy, popielaty, złoty i parę rozświetlających kosmyków w kolorze platyny. - Miro przerywa mi analizę jego anatomii i dalej przeczesuje włosy pająkowatymi palcami.

Mam wątpliwości, czy na taką paletę kolorów wystarczy włosów, ale jeżeli on tak uważa, czuję się spokojna.

- Zgadza się - mówię. Lecz samo farbowanie chyba nie wystarczy. - Chciałabym, żeby były takie postrzępione, wycieniowane, jak miała Meg Ryan - werbalizuję moje życzenia. - Byle nie takie jak w *Kiedy Harry poznał Sally*, loków nie chcę. Raczej takie, jakie miała później, podobne do obecnej fryzury Jane Fondy, tylko trochę dłuższe.

Uważam, że wszystko bardzo jasno i obrazowo wyjaśniłam. Jednakże Miro ma taki wyraz twarzy, jakbym mówiła po mongolsku.

- Jaka Ryan i jaka Fonda? - Patrzy na mnie zdziwiony.

Czy on nie czyta kolorowych pism, nie chodzi do kina?

Gdzie ten facet żyje? Jego pytanie sprawia, że czuję się potwornie stara. Jak mam wytłumaczyć temu chłoptasiowi, kim jest Jane Fonda. Zresztą co by to dało? I tak nie będzie miał bladego pojęcia, jak wygląda jej fryzura.

- Przeprowadzę szefa - proponuje.

Świetny pomysł. Mam nadzieję, że jest trochę starszy albo przynajmniej wie, jak wygląda Meg Ryan czy Jane Fonda.

Szefem jest mały człowieczek, też ubrany kompletnie na czarno. Ten ma więcej włosów niż Miro (na szczęście, bo w przeciwnym razie czułabym się trochę zaniepokojona). Nosi fryzurę, do której niełatwo się przyzwyczaić - głęboki przedziałek z jednej strony i bujna grzywka czynią go jednookim. Może właśnie z tego powodu cały czas trzyma głowę przechyloną na bok. Wątpię, czy taka fryzura jest odpowiednia na co dzień - aż się prosi o jakąś klamrę, którą można by spiąć opadające włosy. Szef bąka pod nosem coś w rodzaju powitania i ruchem głowy odgarnia grzywkę z twarzy (co mnie uspokaja, bo widzę, że ma jednak dwoje oczu). Po tym krótkim wstępie zwraca się do Mira.

- Co chcesz z tym zrobić? - pyta swojego praktykanta.

Uważam, że określenie „z tym” w odniesieniu do moich włosów brzmi odrobinę lekceważąco.

- Trochę rozświetlić, pasemka spod folii w różnych tonacjach blond, a ona chce mieć cieniowanie, chyba takie, jakie było modne dwa lata temu.

Ale mnie podsumował. Jestem więc beznadziejną, staromodną ciotką, pocieszam się jednak myślą, że Jane Fondzie wiedzie się nie lepiej. Poza tym, jeśli to, co szef ma na głowie, jest ostatnim krzykiem mody, to zdecydowanie wolę trend sprzed dwóch lat.

- Chciałabym wycieniować i postrzępić włosy, ale żeby nie wyglądały na wyskubane. Takie, jakie ma teraz Jane Fonda, tylko trochę dłuższe - w przypływie odwagi powtarzam swoje życzenie szefowi salonu.

Mruczy coś w rodzaju „hm, hm”. W ten sposób się zgadza, czy chce jedynie dać mi do zrozumienia, że mnie wysłuchał?

- Wie pan, o co mi chodzi? - Jeszcze raz ośmielam się odezwać do mistrza.

Chodzi przecież o moją głowę, więc chyba mogę rzucić na ten temat jakąś uwagę?

- Jasne, jasne - mówi.

Potem dotyka moich pięciu włosów na krzyż, krzywi się, robi zatroskaną minę i oznajmia:

- Ja bym się skłaniał raczej ku krótkiemu strzyżeniu. Gładko i krótko. Na chłopaka. Jeżyk na całej głowie. Mia Farrow miała taką fryzurę w *Dziecku Rosemary*.

Mia Farrow w *Dziecku Rosemary*? Jeden z najbardziej przerażających filmów, jakie kiedykolwiek widziałam. Potrafię sobie także przypomnieć jej uczesanie. Prawdziwie chłopięca fryzura, w której aktorka wyglądała znakomicie. Tyle że Mia Farrow pod względem figury jest w typie Audrey Hepburn - szczupła i filigranowa. Chłopięca. Czego o mnie raczej nie można powiedzieć. Zdradzam fatalne skłonności do obrastania słoninką. Ale nawet kiedy akurat nie jestem gruba, trudno byłoby mnie uznać za filigranową. I chociaż nie nazywałabym siebie grubasem, mam jednak wyraźną tendencję do tycia. Ale jestem świadoma czyhającego na mnie niebezpieczeństwa i zachowuję czujność. Dlaczego więc krótkie strzyżenie? Żeby mój nos niczym kontakt w ścianie był lepiej wyeksponowany, a może dlatego, że z moimi włosami nic innego nie da się zrobić? Z całym szacunkiem dla mistrza fryzjerstwa: krótkie włosy w moim przypadku w ogóle nie wchodzą w rachubę. Nie chcę takich. Nie żebym uważała, że u innych źle wyglądają, ale ja sama z krótkimi włosami... - straszna perspektywa.

- Nie, w żadnym wypadku - jasno stawiam sprawę.

Nie dam się jednemu z drugim zagadać. W końcu to ja miałabym żyć z taką fryzurą. Christoph byłby totalnie zszokowany - co akurat w tej sytuacji mogłoby stanowić pewną zaletę. Ale w tym wystarczająco trudnym pojedynku z Belle Michelle strzyżenie do skóry nie poprawiłoby chyba mojej pozycji.

- To jest pani głowa - mówi fryzjer, już lekko zirytowany.

- Tak jest, moja głowa, i dlatego to ja chciałabym podjąć decyzję. Proszę pozostawić taką długość, ale ścieniować i nałożyć więcej farby - niczego więcej nie chcę.

Mistrz skinieniem głowy daje znak Mirowi i oddala się, wzruszając jeszcze ramionami, co należało odczytać mniej więcej tak: „Wycienij tej ignorantce jej marne strączki”. Ledwie mistrz się oddalił, Miro mi przytakuje:

- Nie, krótkie włosy do pani nie pasują.

Tchórz. Mógł przecież wcześniej wyrazić swoją opinię. Ale w porządku. Trzeba pamiętać, że jest na praktyce i wszystko zależy od szefostwa.

- Najpierw kolor, potem strzyżenie. - Miro wyjaśnia kolejność działania.

Okolo pół godziny później siedzę z głową pełną pasków z folii aluminiowej i gapię się w lustro. Wyglądam jak pozaziemska istota ze srebrną aureolą wokół głowy. Miro jest szczęśliwy, ponieważ farbowanie pasemek poszło nadzwyczaj szybko.

- U niektórych kobiet zajmuje mi to dwie godziny - opowiada dumny z siebie.

Przychodzi mistrz, aby skontrolować poczynania Mira. Nieźle. Na szczęście w tym supermodnym salonie nie pozostawia się praktykantów samym sobie.

Po sprawdzeniu moich pasemek odchodzi dwa krzeselka dalej do klientki z nieprawdopodobnie bujnymi włosami. Ma ich tyle, że swobodnie starczyłoby na cztery głowy. Nie mogę na nią spokojnie patrzeć. Zawiść rzadko rodzi sympatię. Tymczasem słyszę jej zawođenje. Chciałaby, aby jej włosy wydawały się cieńsze - mam wrażenie, że ciągle spogląda w moją stronę i specjalnie tak głośno lamentuje. Głupia krowa. Po następnych dwudziestu minutach Miro usuwa folię i zmywa farbę. Rezultat, o ile da się go ocenić przy mokrych włosach, jest dobry. Kolor wygląda dosyć naturalnie. Odetchnęłam. Teraz pora na strzyżenie. Miro nie jest typem gawędziarza. Skoncentrowany, przycina zawzięcie warstwa po warstwie. Wygląda naprawdę bardzo profesjonalnie - na ile oczywiście potrafię to ocenić. Jestem zdenerwowana. Tnie i tnie. Kiedy wreszcie odkłada nożyce, końcówki moich włosów ledwie dotykają ramion, a przecież tyle je zapuszczałam i byłam tak dumna, że w końcu są półdługie.

- Czy dam radę związać je w kitkę? - pytam zaniepokojona.

- Nie, nie sędzę - odpowiada Miro całkowicie obojętnie.

Co właściwie oznacza w tym kontekście to jego „nie sędzę”? Jestem w szoku i czuję się jak dziecko, któremu na basenie zabrano dmuchane skrzydełka, choć ono ledwie potrafi pływać.

- Chciałaś przecież fryzurę, a nie koński ogon - mówi dalej.

Oczywiście, ma rację, ale nie lubię palenia za sobą mostów. No tak, teraz jest już za późno. Nie ma to nie ma. Miro suszy mi włosy suszarką, operuje szczotkami i kwadrans później mogę ocenić efekt końcowy. Moja fryzura wygląda wspaniale! Mam lekko opadające, błyszczące blond włosy. Mogłabym ucałować tego chłopaka.

- Fantastycznie! - chwale Miro.

On się śmieje:

- Fajnie, że ci się podoba.

Nie mogę się napatrzeć na swoje odbicie w lustrze. Kręcę głową, trzępię włosami i jestem zachwycona. Niestety, rachunek też jest fantastyczny. Płacę osiemdziesiąt dziewięć euro za pasemka i pięćdziesiąt dziewięć za strzyżenie. Poza tym Miro wciska mi jeszcze

specjalną szczotkę, tonik nabłyszczający i szampon do delikatnych włosów, bez którego - zdaniem fryzjera - nie mam nawet co marzyć o porządnej fryzurze. Wszystko razem opiewa na kwotę dwustu dwudziestu siedmiu euro i osiemdziesięciu centów. Za tę cenę mogłabym chyba zafundować sobie przedłużanie włosów. Ale przedłużanie, czyli sztuczne pasemka, które umocowywane są na gorąco za pomocą czegoś w rodzaju kleju, wyglądają na cienkich włosach co najmniej dziwnie. Nie da się ukryć miejsc ich złączenia. Trzeba mieć odpowiednio bujne włosy, aby schować zaczepienia pasemek pod wierzchnią warstwę. Mnie spod włosów wystają nawet uszy, więc po zabiegu wydłużania miałabym głowę w całości pokrytą widocznymi węzłkami. W tej sytuacji przedłużanie fryzury nie wchodzi u mnie w rachubę. Dwieście dwadzieścia siedem euro - niezła sumka, ale moje włosy teraz naprawdę dobrze wyglądają. Za te pieniądze mogłabym na prowincji wybrać się do fryzjera co najmniej pięć razy. Jestem ciekawa, co powie Sabine. Wciskam Miro pięć euro napiwku, dziękuję i opuszczam salon. On wsuwa mi jeszcze wizytówkę zakładu i mówi:

- Do zobaczenia za pięć tygodni.

O tym nie pomyślałam. Aby zachować dobry wygląd, fryzura wymaga regularnego strzyżenia, poza tym na pasemkach pojawiają się odrosty. Ale może wystarczy pójść do fryzjera na osiedlu? Po fachowym cięciu odpowiednie przystrzyżenie nie może być trudne. Poza tym - czym ja już teraz się przejmuję? Powinnam cieszyć się cudem na swojej głowie, wartym dwieście dwadzieścia siedem euro i osiemdziesiąt centów. Właściwie to moja pierwsza wizyta u fryzjera, po której nie nachodzi mnie ochota, żeby włożyć głowę pod kran i wszystko zmienić. Jestem naprawdę w euforii. Wspaniała fryzura może uskrzydlić. Czuję się fantastycznie!

Idąc na miejsce spotkania z Sabine, przeglądam się w oknie każdej mijanej wystawy. Nigdy nie sądziłam, że moje włosy mogą tak się odmienić! Końcówki wywijają się tak jak trzeba - na zewnątrz. Co za swawolność! Uważam, że wyglądam na młodą, zadbaną i atrakcyjną kobietę. Również za sprawą koloru, a raczej całej palety kolorów. Po prostu dobrze mi w odcieniu blond.

Sabine czeka już przed butikiem „Lara”. Spóźniłam się pięć minut i ledwo ją rozpoznałam. Jest cała ubrana na czarno (pod beżowym płaszczem z wysoko podniesionym kołnierzem), na nosie ma bardzo modne ostatnio okulary przeciwsłoneczne zakrywające niemal całą twarz. Jakby miały chronić przed owadami. Albo przeciwnie - nadawać wygląd wiel-

kiej muchy. Na głowie ma chustkę w złote podkówki i podobne wzorki, noszoną w stylu Grace Kelly, czyli z końcami skrzyżowanymi pod brodą i zawiązanymi z tyłu na szyi.

Daję jej obowiązkowego buziaka na powitanie i pytam:

- A ty co? Pobiłaś się z kimś czy jesteś po operacji plastycznej? A może przeszłaś na islam?

Śmieje się.

- Zapomniałaś po co tu przyjechałyśmy? - pyta. - Jako agentki nie możemy dać się rozpoznać. Kamuflaż to podstawa.

Niewątpliwie coś w tym jest. Ale maskując się, nie można jednocześnie zwracać uwagi swoim wyglądem. Nie wolno rzucać się w oczy, należy wtopić się w tłum. Tymczasem strój Sabine trudno zaliczyć do mało wyróżniających się. Moja przyjaciółka wygląda bardzo tajemniczo i tym samym nie pozostaje bynajmniej niezauważona. Szczerze mówiąc, ubrana jest bardziej elegancko niż zwykle. Sabine należy do kobiet, które silnie eksponują wszystkie swoje atuty. Jej credo brzmi: u mężczyzn niewiele zwojujesz subtelnością. Dlatego nosi głębokie dekolty - zdaniem Christopha na granicy przyzwoitości. Kiedy raz zwróciłam jej na to uwagę - w końcu jest moją przyjaciółką - powiedziała: „Właśnie tak ma być - na granicy przyzwoitości”. Z torebki wyciąga drugą chustkę:

- Masz, ta jest dla ciebie. Tak przypuszczałam, że nie pomyślisz o tego rodzaju drobiazgach. Wygląda jak od Hermesa, nie uważasz?

Czy ona zwariowała? Nie mogę nałożyć apaszki na fryzurę za dwieście dwadzieścia siedem euro i osiemdziesiąt centów; na moje miękkie, puszyste bajeczne włosy, które wreszcie wyglądają tak jak powinny i nie wymagają skrzytego ukrywania pod chustką.

- Nie ma mowy! Popatrz na moje włosy! Właśnie wyszłam od fryzjera. Wydałam masę pieniędzy, prawie dwieście trzydzieści euro.

Sabine lustruje moją fryzurę.

- Szaleństwo, tyle pieniędzy wydać na fryzjera! Ale rzeczywiście wyglądasz świetnie!
- Cieszy się razem ze mną i z wyrozumiałością chowa jedwabną apaszkę z powrotem do torebki. - Wprawdzie ta nowa fryzura trochę cię zmieniła, ale włóż na wszelki wypadek to. -
Podaje mi okulary à la mucha.

Zgadzam się, choć uważam te wszystkie zabiegi za przedwczesne. Jesteśmy przecież w centrum miasta, na deptaku, ponad dwa kilometry od miejsca akcji - biura Christoph'a. Poza tym nie świeci słońce. Sabine pozostaje jednak nieugięta.

- Czyjemu mężowi odbiło? - rzuca tylko.

Oszczędzam sobie odpowiedzi, bo przecież ona nie ma męża, w związku z czym może chodzić tylko o mojego, i grzecznie wkładam na nos okulary.

- No to chodźmy, mamy zadanie do wykonania.

Chętnie zajrzałabym jeszcze do „Lary” i zobaczyła, co mają nowego, ale Sabine odrzuca tę propozycję.

- Nie jesteśmy na zakupach, poza tym dużo już dziś wydałaś.

Ona jest raczej oszczędna. Kocha każdy rodzaj podróbki.

- Nie zapłacę za torebkę parę setek euro tylko dlatego, że jest od Gucciego. A podróbkę można kupić za jedną dziesiątą tej sumy - taka jest jej dewiza.

Mojej przyjaciółki nie interesują łatwo zauważalne różnice między produktem oryginalnym a jego nieudolną kopią.

- Tylko kobiety są w stanie zauważyć coś takiego, a mężczyźni nie odróżniają oryginału od podróbki.

Podziwiam Sabine za tę jej nonszalancję, ponieważ nie tylko dowodzi rozsądku, lecz także świadczy o pewności siebie. Sama jednak lubię oryginalne rzeczy, a ponieważ nie mogę sobie pozwolić na naprawdę drogie, kupuję te o klasę niższe. Albo o dwie. Rezygnuję więc z wizyty w butik i obie ruszamy przed siebie.

W drodze do samochodu Sabine wyjaśnia mi swą zmyślną strategię.

- Zaparkujemy przed kancelarią, a kiedy pojawi się Belle Michelle, zrobię jej zdjęcie.

Na dowód swojego perfekcyjnego przygotowania wyciąga z torebki aparat cyfrowy.

- A po co nam zdjęcie Belle Michelle? - dopytuję się.

- Żebyśmy mogły ją sobie dokładnie obejrzeć - odpowiada. - W końcu będziemy ją widziały tylko przez krótką chwilę, a wrogowi należy się przyjrzeć bliżej.

Uważam, że „wróg” to za wiele powiedziane, ale, z drugiej strony, podoba mi się, jak bardzo Sabine się ze mną solidaryzuje. Taka solidarność podnosi na duchu. Życie bez przyjaciółek musi być potworne. Także w dłuższej perspektywie. Mam na myśli fakt, że mężczyźni żyją krócej (kto nie wierzy, niech odwiedzi dowolny dom starców), a my, kobiety,

zostajemy potem same. Wówczas perspektywa zyskania potencjalnych sympatycznych współlokatorek w pokoju jest bardzo pocieszająca.

Dwadzieścia minut później parkujemy w najlepszym strategicznie miejscu. Bardzo blisko wejścia do budynku, w którym mieści się kancelaria, abyśmy mogły wszystko dokładnie obserwować, a jednocześnie wystarczająco daleko, żeby nie było nas widać jak na dłoni. Wszystko jest przygotowane perfekcyjnie, tyle że nic się nie dzieje. Szczerze mówiąc, misja szpiegowska okazuje się dosyć nudnym zajęciem. Na szczęście nie siedzę sama w tych idiotycznych muszych okularach na nosie - towarzyszy mi Sabine, która notabene zabrania mi zdjąć je z nosa choćby na sekundę.

Towarzyszkę wybrałam odpowiednią - moja przyjaciółka zawsze ma coś do powiedzenia. Zwłaszcza od czasu, kiedy znów stała się singlem i przesiaduje nocami w internecie. Uważa, że szukanie mężczyzn przez sieć ma wiele zalet.

- Możesz tkwić przed komputerem w ciuchach do biegania, z maseczką na twarzy, nieogolonymi nogami i bez jakiegokolwiek makijażu, co oszczędza mnóstwo czasu. Wychodzisz tylko wtedy, jeśli łup jest naprawdę godny uwagi. Poza tym możesz kątem oka oglądać telewizję i coś zajadać - próbuje mnie przekonać.

Jestem sceptyczna. Kto wie, z jakim kretynem wymienia się gorące e-maile? Poza tym ja jestem wzrokowcem - mężczyzna musi mi się podobać z wyglądu.

- Wtedy każesz przysłać sobie zdjęcie - Sabine objaśnia mi szczegóły.

- Ale przecież mogą przysłać ci nie swoje? - powątpiewam.

- No jasne, ja też - śmieje się.

Umawiamy się, że w tym tygodniu razem posurfujemy po internecie.

- Zobacysz, coś takiego otwiera horyzonty na zupełnie nowe światy - obiecuje mi Sabine.

Praktyczna strona internetu: nie potrzeba niańki do dzieci.

- Aha, a na jutro mam dla nas coś całkiem odjazdowego - triumfuje Sabine. - Wernisaż. W jednej z absolutnie najmodniejszych galerii. Zaproszenie dostałam od kolegi, którego żona jest kuzynką artysty. Pójdiesz ze mną, no nie? - pyta.

Owszem, poszłabym, choć nie zaliczam sztuki nowoczesnej do kręgu swoich zainteresowań. (Prawdę mówiąc, te awangardowe dzieła odbierają mi pewność siebie. Dostrzeżenie talentu autora w tego rodzaju sztuce za każdym razem sprawia mi trudność i muszę

powstrzymywać się przed uwagami w stylu moich rodziców: „Też potrafiłabym coś takiego namalować” - lub temu podobnymi).

Ale jeśli dziś wychodzę z Hillerem Szarą Twarzą, a jutro miałabym wyjść z Sabine - jak wyjaśnię to Christophowi? Z drugiej strony: zaletą małżeńskiego stanu wojennego jest to, że wcale nie trzeba się tłumaczyć. A co go obchodzi, jakie mam plany? Nic, absolutnie nic. Za tę noc u Belle Michelle mam bezsprzeczne prawo do wielu wieczorów dla siebie.

- Jasne - mówię do przyjaciółki i myślę: „Dlaczego miałabym właściwie nie iść na ten wernisaż? Nawet jeśli będzie nudny, przynajmniej zrobię coś dla swojego intelektu”.

- Wpadnę po ciebie około wpół do siódmej. Pasuje ci? - Sabine z mojej niepewnej deklaracji robi już zobowiązujące ustalenie.

- W porządku.

A więc w tym tygodniu Christoph będzie musiał wcześniej przychodzić z kancelarii albo postarać się o opiekunkę. Przecież matce powinny przysługiwać dwa wolne wieczory w tygodniu. Dokładnie to powiem mu dzisiaj w domu. W końcu on nie pyta mnie o pozwolenie, jeśli ma jakieś plany. Co prawda najczęściej chodzi o spotkania w sprawach zawodowych, ale kto wie, co on przez nie rozumie.

Może Belle Michelle będzie miała akurat czas i razem popilnują dzieci? Co za myśl! Belle Michelle jako opiekunka naszych dzieci! Coś takiego oznaczałoby definitywny koniec! Jedną noc z moim mężem mogłabym jej ewentualnie wybaczyć, ale Belle Michelle w moim domu, z moimi dziećmi - na samą myśl czuję, że z nienawiści twarz pokrywa mi się pryszczami. To byłby oczywisty powód do rozwodu! „Miałbyś ty się z pyszna, koleżko” - myślę sobie.

Proponuję Sabine przerwać szpiegowanie. Choćby z powodu straty czasu. Muszę w końcu odebrać dzieci, a póki co przed kancelarią i tak nic się nie dzieje. Myślałam, że praca detektywa jest bardziej zajmująca. Moja towarzyszka wydaje się rozczarowana.

- W takich sprawach musisz wykazać więcej cierpliwości, inaczej nic z tego nie będzie - apeluje do mojego sumienia. - Siedzimy tu już tak długo, że byłabym zła, gdybyśmy miały teraz odjechać, a Michelle pojawiłaby się akurat za pięć minut.

Bardzo dobrze rozumiem jej tok myślenia, ale z drugiej strony nie mam najmniejszej ochoty sterczeć tu dłużej.

- Sabine, dziś wieczorem mam randkę, muszę jeszcze odebrać dzieci i zadzwonić do Christopha, żeby nie wracał zbyt późno do domu.

- Ty masz randkę!? Z kim!? - moja przyjaciółka jest dosyć zaskoczona.

Prawie tak, jakbym powiedziała: „Dziś wieczorem wpadnie do mnie Dalajlama na talerz kaszki”. Opowiadam jej o panu Hillerze, upiększam go troszkę, nie z sympatii do niego, ale ze względu na siebie. Żeby lepiej wypaść przed Sabine.

- Dokąd idziecie? - dąży.

- On, czyli Helmuth, zadzwoni dziś wieczorem i wtedy uzgodnimy miejsce spotkania - opowiadam zgodnie z prawdą.

- Helmuth, aha... Poznaliście się już bliżej? - dopytuje się Sabine.

- Tak - mówię i myślę o źle wycelowanym całusie, kiedy przechodziliśmy na „ty”. - Nie, właściwie nie - zmieniam zdanie. Nie było w tym przecież nic z amorów.

- Wow, kto by pomyślał, Andrea! O ludzie kochani, szybko załatwiasz porachunki - komentuje Sabine, a jej entuzjazm i podziw dodają mi skrzydeł. - Poczekaj na mnie chwilę, pójdę tylko coś załatwić - mówi raptem i wysiada z samochodu.

Co ona kombinuje? Zanim zdołałam wyrazić sprzeciw, ona już zniknęła w drzwiach kancelarii. Coś takiego może się fatalnie skończyć. Boże, proszę, niech ona szybko wróci! Żeby tylko nie spotkała Christopha! Najchętniej odpaliłabym samochód i odjechała. Ale, po pierwsze, jest to samochód Sabine, a po drugie, moja ucieczka mocno nadwerzęłaby naszą wieloletnią przyjaźń.

Wciskam się więc głęboko w siedzenie i wbijam wzrok w wejście do kancelarii. Jak na zawołanie zaczyna się coś dziać: drzwi otwierają się i wychodzi Christoph. Sam. Czyżby Sabine wszystko mu zdradziła? Czy Christoph wyciągnie mnie teraz z samochodu i zażąda rozmowy? Nie, wygląda na to, że nie. On w ogóle mnie nie widzi. Ja natomiast mam czas, żeby mu się dokładnie przyjrzeć. Trzeba przyznać, że - odsuwając na bok złość oraz zranioną dumę i patrząc bez uprzedzeń - mój mąż wygląda całkiem nieźle. Tak - mówię o zranionej dumie. Nie przyznałabym się do tego każdemu, ale sama przed sobą staram się być zawsze szczerą. Myślę, że teraz nie powiedziałabym o tym nawet Christophowi. Bałabym się, że w ten sposób wystawiłabym się na strzał, bo przecież on mógłby wykorzystać moje emocjonalnie słabe punkty, co skończyłoby się dla mnie jeszcze bardziej nieprzyjemnie.

Na jego szczęście i ku mojej uldze nigdzie nie widać Belle Michelle. Zauważam natomiast, że mój mąż ma krawat, którego nigdy nie widziałam na oczy. Jestem tego pewna, mimo że Christoph stoi w odległości jakichś dziesięciu metrów. Nic dziwnego - krawat jest w kolorowe paski. I to podłużne, co w tej części męskiej garderoby stanowi raczej rzadki deseń (i dziwnie wygląda). Ten egzemplarz zdecydowanie nie pochodzi z naszej szafy. Nigdy go nie widziałam, nigdy bym go zresztą nie kupiła. Podłużne pasy wyglądają bardzo głupio i działają podobnie jak świetlny sygnał w przejściach w samolocie - „W tę stronę, proszę”! Czy Christoph kupił go sobie sam? Nie chce mi się wierzyć. Nie chodzi o to, że mój mąż nie może sam kupować sobie krawatów, ale większość z nich wybrałam ja. Jak dotąd Christoph nie był typem, który tak po prostu wstępuje do sklepu i kupuje sobie krawat. Zresztą w ogóle woli chodzić bez niego. Jak więc ten zdeklarowany przeciwnik krawatów wszedł w posiadanie nowego? Coś się tu nie zgadza! Skąd on może go mieć? Mam nieposkromioną ochotę wysiąść z samochodu, chwycić go za ten krawat i wyjaśnić od razu, na miejscu, pochodzenie tego pasiastego kawałka materiału.

Opanowuję się jednak, ponieważ musiałabym również wyjaśnić memu małżonkowi, co robię w samochodzie przed kancelarią. Jeśli będzie miał go na sobie jeszcze dziś wieczorem, zapytam. Jeśli nie - wszystko stanie się jasne. To będzie jednoznaczna wskazówka, że ma coś do ukrycia. Christoph znika z mojego pola widzenia razem ze swoim sygnalizacyjnym krawatem.

Mniej więcej dziesięć minut później - czatuję dalej w fotelu obok kierowcy, zsunięta niemal na wycieraczkę - w drzwiach kancelarii pojawia się Sabine.

Uchylam drzwi i wołam:

- Szybko, Christoph jest w pobliżu. Pospiesz się, musimy odjechać.

Sabine wsiada w największym spokoju do samochodu i szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Mam! - mówi tylko, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Co robiłaś w kancelarii i co masz? - pytam zaintrygowana.

Sabine rozkoszuje się tą chwilą.

- Wszystko po kolei. Kiedy tam wchodziłam, Christoph przeszedł obok mnie.

O nie, co za żenada!

- Rozpoznał cię? - pytam.

- Neeee, minęliśmy się na klatce schodowej. On zbiegał po schodach, nawet na mnie nie spojrział.

Jeszcze dwie godziny temu uważałam przebranie Sabine za dziecinadę, a teraz cholernie się z niego cieszę. Oto dowód, jak mało spostrzegawczy są mężczyźni. Mój mąż nie rozpoznał najlepszej przyjaciółki swojej żony tylko dlatego, że na głowie miała chustkę i była ubrana trochę mniej wyzywająco niż zwykle.

- Zbiegał po schodach tak szybko, jakby go ktoś gonił. Nie zwróciłby na mnie uwagi, nawet gdybym była goła. No cóż. Potem weszłam do kancelarii. Nikogo nie było w recepcji, więc zagadnęłam jakiegoś starszego pana - chyba szefa Christopa, który kiedyś był u was na przyjęciu, tego Langnera. „Chcę rozmawiać tylko z adwokatem-kobietą - powiedziałam. - To sprawa kobieca”. Zasłaniałam przy tym ręką twarz i pojękiwałam. Na pewno pomyślał, że mam męża, który mnie bije albo coś w tym stylu.

Jaka sprytna ta Sabine! Wreszcie ruszamy spod kancelarii. Gdyby Christoph wrócił i odkrył nas tu przed drzwiami, spaliłabym się ze wstydu. Takie szpiegowanie na pewno nie przydaje nikomu godności. Za późno jednak na skruchę.

- No i co potem robiłaś? - dopytuję się.

Teraz chcę już wiedzieć wszystko.

- Langner wysłał mnie do jakiegoś pokoju, w którym siedziała ona.

- Belle Michelle? - pytam zdenerwowana.

- Dokładnie - odpowiada Sabine i widać, że delektuje się moim podenerwowaniem.

- No, powiedz wreszcie, jak ona wygląda, jaka jest? - chcę znać każdy szczegół.

Równie dobrze mogłabym powiedzieć: „No dalej, możesz mnie upokorzyć najbardziej, jak potrafisz”, ponieważ odpowiedź Sabine jest druzgocąca.

- Zabójczo piękna, wysoka, szczupła i niesamowicie zadbana. Jej włosy, jedwabiste jak nie wiem co. Po prostu powalająca.

Nieruchomieję. Żeby dojść do siebie, muszę najpierw głęboko wciągnąć powietrze. Naprawdę miałam nadzieję, że Christoph przesadza. Przecież często to robi. Jakim sposobem mogę konkurować z takim odbezpieczonym granatem? Nawet z nową fryzurą na głowie.

- Czy mam przy niej jakieś szanse? - pytam dosyć cicho.

- Chcesz usłyszeć szczerą odpowiedź? - odpowiada pytaniem Sabine i nie czekając, aż zdecyduje, mówi: - Nie. Tak optycznie, bez chirurgii plastycznej, nie. A jeśli nawet, to dużo musiałyby cię to kosztować. - Patrzy na mnie, a potem precyzuje: - Bardzo dużo.

Jakie to budujące! Moja najlepsza przyjaciółka (pierwsza po Heike) mogłaby się obejść ze mną trochę subtelniej. Zwykle dbamy o delikatność tylko wtedy, gdy sprawa dotyczy nas samych. Przy moim obecnym stanie ducha dobrze zrobiłoby mi małe kłamstewko.

- Wiem, że wolałabyś usłyszeć coś zupełnie innego, ale chyba nie chcesz, żebym kłamała ci prosto w oczy?

Kręcę głową.

- W porządku - daję jej rozgrzeszenie - mów dalej. Co powiedziała, a przede wszystkim, co ty powiedziałaś?

- No więc nie było łatwo - Sabine jest z siebie najwyraźniej bardzo zadowolona i robi teatralną pauzę. - Ale przechytryłam ją. Wykorzystałam jej próżność. Kiedy już znalazłam się u niej w gabinecie, najpierw powiedziałam, że nikt nie może dowiedzieć się o naszej rozmowie. Od razu się zgodziła. Prawdopodobnie pomyślała sobie o jakiejś dramatycznej historii z mafią. No wiesz, program ochrony świadków, kule u nóg albo coś w tym rodzaju. Potem powiedziałam jej, że chodzi o telewizję. O nowe arcyciekawe i spektakularne show na sali sądowej. A wtedy - uwaga, Andrea, posłuchaj tego numeru - powiedziałam jej, że upatrzyliśmy ją sobie do ważnej roli pani prokurator. Zmyśliłam, że będę organizować casting, ale cała sprawa jest jeszcze owiana absolutną tajemnicą.

Odjęło mi mowę. Nigdy nie sądziłabym, że Sabine może być tak przebiegłą sprycałką.

- I co, połknęła haczyk?

Sabine szczyrzy zęby szerzej, niż zrobiłby to Garfield na prochach.

- Jeszcze pytasz! Nie żebym chciała się chwalić, ale uważam, że byłam diabelnie dobra w roli agentki telewizyjnej superprodukcji. Nie wzbudziłam żadnych podejrzeń, Belle Michelle strasznie się zapaliła i powiedziała mi nawet, że nie jest zadowolona z obecnej pracy, a prywatnie też jej się nie układa. Nie odważyłam się jednak zapytać, o co dokładnie chodzi. Pomyślałam sobie, że może ciebie miała na myśli. Ale przestałam tym sobie zaprzątać głowę, bo doznałam olśnienia - uwaga, Andrea - zrobiłam jej zdjęcie. Czyż nie jestem genialna? Kto inny wymyśliłby tak fantastyczną historię z agencją? Zełgałam jej, że moi szefowie chcieliby jeszcze raz przekonać się o jej perfekcyjnym wyglądzie.

- Pokaż, szybko! - popędzam mistrza szpiegowskiej branży. - Daj wreszcie zobaczyć to przeklęte zdjęcie.

- Poczekaj, aż dojedziemy do twojego samochodu. Nie mogę prowadzić i jednocześnie obsługiwać aparatu. - Sabine próbuje pohamować moją niecierpliwość.

Jakie to emocjonujące! Zaraz zobaczę twarz swojej rywalki.

- I ona pozwoliła ci sfotografować się ot tak, po prostu, bez żadnych pytań?

To mnie najbardziej zadziwia w całej tej historii. Czy prawniczki nie są z zasady bardziej podejrzliwe? Gdyby mnie coś takiego spotkało, miałabym poważne wątpliwości, czy ktoś nie robi mnie w konia. Jestem ciekawa, czy kobiety takie jak ja są tak samo nieufne jak kobiety pokroju Belle Michelle? Myślę, że raczej tak. Bo czyż wszystkie nie postępujemy w gruncie rzeczy podobnie? Czy brak wiary w siebie, wątpliwości co do własnej osoby nie stanowią czegoś w rodzaju szczególnej kobiecej cechy? Głupio z naszej strony. To, że ja nie wierzę w siebie, jest jeszcze zrozumiałe, ale w przypadku takich Belle Michelle zakrawałyby na groteskę. Oczywiście, jeśli ona rzeczywiście jest aż tak olśniewająca, jak przedstawiają ją Sabine i Christoph.

- Nie, spytała, kto dokładnie potrzebuje tej fotografii i co ma dalej robić, ale wtedy zawołał ją Langner. Zaczęła się spieszyć i rzuciła: „Niech pani szybko zrobi to zdjęcie”. Potem poprosiła mnie o wizytówkę. To był trochę niebezpieczny moment, bo bez wizytówki mogłam wydać się jej podejrzana. Pogrzebałam jak się należy w torebce i powiedziałam: „Przykro mi bardzo, musiałam najzwyczajniej zostawić je w biurze”. Ciach, ciach, zrobiłam jeszcze dwie fotki i pożegnałam się. „Skontaktujemy się z panią - obiecałam. - W następnym tygodniu”. Wyglądała na bardzo ucieszoną.

- Jesteś prawdziwą bohaterką! - chwałę przyjaciółkę. - Minęłaś się z aktorskim powołaniem.

Sabine promienieje i dodaje tylko:

- Zrobiłam to z przyjemnością. Dla ciebie zawsze i wszystko. Przy okazji nieźle się ubawiłam.

Gdy dotarliśmy wreszcie do mojego samochodu, nastąpiła uroczysta chwila oglądania zdjęć. Sabine zrobiła cztery różne fotografie. Nigdy bym nie przypuszczała, że moja przyjaciółka potrafi być tak przebojowa. Podaje mi aparat i mówi:

- Bądź dzielna.

Wciągam głęboko powietrze i podejmuję wyzwanie. Tak, Sabine miała rację, moja rywalka jest bardzo ładna. Szczerze mówiąc: piękna, ale - pojawia się nieśmiałe uczucie radości - nie zniewalająco piękna. Wspaniałe włosy, długie, bujne, w kolorze głębokiego mahoni. Wysoka, dobrze ubrana - beżowe obcisłe (ale nie za bardzo) spodnie, biała bluzka i szeroki, zapewne potwornie drogi, pasek. Niestety, nie widać butów - Sabine obcięła jej stopy. Ale ktoś taki jak ona nie nosi z pewnością korkowych kłapek. Ogólne wrażenie: rasowa bizneswoman. Niektóre kobiety (na przykład mnie) biała bluzka pogrubia. Ale istnieją też takie jak Belle Michelle, którym w śnieżnej koszuli jest po prostu wyśmienicie. Wyglądają w niej seksownie, ale nie ordynarnie. Swobodnie, lecz elegancko. Naprawdę nie wiem, na czym to polega - pewnie trzeba być po prostu kobietą z klasą. One na każdą okazję mogą włożyć białą bluzkę i nigdy nie będą wyglądać tandetnie. Patrząc na zdjęcie i nawet zaczynam rozumieć swojego męża. Któż mógłby się oprzeć takiej Belle Michelle? Ciekawe, co ona miała na myśli, wspominając o kłopotach osobistych. Czyżby Christoph nie chciał mnie od razu zostawić, odmawia rozwodu, a może przeszkadza jej, że są dzieci?

Otwieram drugie zdjęcie i co za radość! Ujęcie twarzy pozwala dostrzec jeden mały, malutki defekt urody. Zęby Belle Michelle są mianowicie zbyt drobne w stosunku do ust. Nie wiem, czy ktokolwiek inny dostrzegłby tę wadę, ale według mnie jej zęby są wprawdzie białe, ale zdecydowanie za małe, zupełnie jakby były mleczne. Tak, dokładnie! Wyglądają na mleczne ząbki! Jak u chomika. I pogłębiając wnikliwą analizę jej uśmiechu, można dojść do wniosku, że ma też zbyt grube dziąsła. Dobrze, przyznaję - jestem zbyt drobiazgową. Zupełnie jakbym robiła jej sekcję albo oglądała pod mikroskopem. Moje zachowanie jest właściwie niedorzeczne i dziecinne. Ale przecież ta kobieta chce, jak widać, odebrać mi męża, a w takim wypadku obowiązują inne reguły.

- Widziałaś jej ząbki? Jak u myszki - domagam się potwierdzenia od Sabine. - Ma podobny zgryz jak Doris Schröder-Köpf, ta od Gerharda Schrödera.

- Wiem, kim jest Doris Schröder-Köpf - mówi Sabine - ale Michelle to zupełnie inna klasa. A co się tyczy zębów, czy ja wiem... jak się taka do kogoś uśmiechnie, to raczej nikt już nie zwraca uwagi na zęby - odpowiada ostrożnie.

Podsuwam Sabine aparat pod sam nos.

- Ślepa jesteś czy co?

Waha się:

- No, jak się tak dokładnie przyjrzeć, to może rzeczywiście są trochę za małe. Ale jej to nawet dodaje uroku. Szczerze mówiąc, Andrea, chyba nie sądzisz, że coś takiego może przeszkadzać facetom?

Sabine obiecuje wysłać mi zdjęcia e-mailem, abym mogła w spokoju jeszcze raz obejrzeć je sobie na komputerze. Dziękuję jej kolejny raz, na co ona rzuca, że zastanowi się nad przejściem do branży detektywistycznej. Żegnamy się, po czym ja ruszam po dzieci.

Dzieciaki spędziły miłe popołudnie, są w dobrych humorach i wszystko byłoby cudownie, gdyby nie moje włosy. Wspaniała fryzura za niemal trzysta euro opadła i wyglądam teraz jak oskubany kurczak. Tak jakby Belle Michelle swoimi zębami gryzonia poobgryzała mi końcówki. Jestem zła! A wszystko tak dobrze się zapowiadało! Włosy wyglądają jak pofarbowana na blond wata cukrowa po ulewnym deszczu. To znaczy, że przed wieczorną randką muszę koniecznie coś z nimi zrobić. Ale przynajmniej córka zauważa, że odwiedziłam fryzjera.

- Masz coś jak światełko we włosach, fajnie! - komentuje.

Jestem poruszona. Przede wszystkim dlatego, że mimo gramatycznych potknięć moja córka słowo „fajnie” uzupełniła poetyckim porównaniem. Światło we włosach! Chyba nie można piękniej opisać pasemek. Tymczasem związę sobie chyba te świetliste włosy w mysi ogonek. W końcu Helmuth taką właśnie mnie poznał i mimo nieatrakcyjnej fryzury zaprosił na randkę. Niestety, wycieniowanie nie pozwala na zebranie włosów w kucyk. Są zdecydowanie za krótkie. Po bokach głowy zwisa połowa kosmyków, będę więc musiała wymyślić inną stylizację. Mam jeszcze czas. Zanim zacznę się stroić, trzeba wyjaśnić kwestię opieki nad dziećmi. To znaczy: drugi opiekun-rodzic powinien być w domu.

Christoph nie zadzwonił w ciągu dnia również dzisiaj. Albo snuje już plany na nowe życie, albo jest tak śmiertelnie obrażony, że chce doprowadzić mnie do szału. Ale najpóźniej pojutrze będzie zmuszony ze mną porozmawiać. Już to widzę: siedzę w recepcji kancelarii, a on - czy chce tego, czy nie - przedstawia mnie swojej Belle Michelle. Tymczasem robię dzieciom kolację i mam nadzieję, że Christoph niedługo się pojawi. Jak mam zaplanować wieczór z Helmuthem, jeśli nie wiem, kiedy mój mąż wróci do domu? À propos Helmutha - czemu jeszcze nie dzwoni? Dostanę kosza nawet od Hillera?

Wreszcie odzywa się telefon. W słuchawce nie słyszę jednak ani Helmutha, ani Christoph'a, tylko moją mamę. Pyta, czy chcemy wpaść na grilla w weekend. Jakie mamy plany? Postanawiam odpowiedzieć, przynajmniej po części, zgodnie z prawdą.

- Trochę się pokłóciliśmy, dlatego nie mogę zagwarantować, że Christoph będzie miał ochotę przyjechać do was ze mną.

Popeliłam olbrzymi błąd. Moja matka nie daje się zbyć zdawkowym wyjaśnieniem.

- Dlaczego się pokłóciliście? Co takiego zrobiłaś? - Chce natychmiast wszystko wiedzieć.

Czy matka nie powinna stać po stronie córki? Bez względu na przebieg wydarzeń? Czy nie powinno się od niej wymagać absolutnej solidarności?

- Nic nie zrobiłam - odpowiadam, próbując zachować spokój, na jaki mnie w tym momencie stać.

Właściwie najchętniej odłożyłabym słuchawkę.

- Chyba można zapytać? Wydaje mi się, Andrea, że nie ma dymu bez ognia, sama zresztą też chyba zdajesz sobie z tego sprawę - mama jest uszczypliwa.

Gdy już ma zacząć swoją tyradę, słyszę, jak otwierają się drzwi.

- Mamo, muszę kończyć, Christoph wrócił do domu - przerywam naszą niezbyt przyjemną rozmowę.

- Proszę bardzo, jak sobie życzysz - odpowiada i po oschłym „cześć” odkłada słuchawkę. Tak czy inaczej udało mi się jej pozbyć.

Christoph po wejściu do salonu tylko skinął głową w moją stronę, zupełnie jak monarcha do swojej poddanej. Ten to ma nerwy! Cała ta sytuacja jest po prostu śmieszna. Przeważająca. Ja jednak okazuję swoją wielkość i mówię:

- Cześć.

Ledwo mu przeszło przez gardło, ale jednak odpowiedział „cześć”. Co za wspaniałość z jego strony! Z szyi nadal zwisa mu pasiasta girlanda - ten paskudny krawat, który zwrócił moją uwagę dziś przed kancelarią. Przynajmniej tyle.

- Nowy krawat? - przybieram jak najbardziej obojętny ton.

- Tak - odpowiada monosylabicznie.

- Interesujący deseń - zaczynam coś w rodzaju konwersacji.

- Też tak uważam - mówi i zmienia temat. - A gdzie są dzieci?

- Na górze, już w łóżkach - odpowiadam i powstrzymuję się przed zadaniem kolejnego pytania o ten głupi krawat.

- Czyli nie jadamy już razem kolacji? - bąka mój jeszcze-mąż, zmierzając po schodach do swoich dzieci.

W tej samej chwili dzwoni telefon - idealne wycucie czasu.

To pewnie Helmuth. Odczekuję chwilę, aż Christoph znajdzie się w bezpiecznej odległości i dopiero wtedy podnoszę słuchawkę.

- No więc, pomyślałem sobie, że może poszlibyśmy coś zjeść - mówi Helmuth bez żadnych wstępów.

- Świetnie. Pasuje mi. Kiedy i gdzie? - pytam tylko.

- Odpowiada ci „Sirtaki” przy Mainzer Landstraße? - dopytuje się mój wybranek.

„Sirtaki” brzmi bez dwóch zdań jak nazwa jakiejś greckiej restauracji. Nie cierpię greckiej kuchni, ale od razu się zgadzam, bo nie chodzi przecież o jedzenie, lecz o wyjście wieczorem z domu. „Sirtaki” przy Mainzer Landstraße. Helmuth nie wybrał najmodniejszej w mieście okolicy do spotkań. Mainzer Landstraße jest ruchliwą ulicą w pobliżu głównego dworca. Ale proszę bardzo. Na debiut w randkowym biznesie „Sirtaki” jak najbardziej mi odpowiada. Poza tym nie jestem na bieżąco w temacie najmodniejszych lokali, może więc właśnie ta restauracja jest teraz na topie.

- Okay, zgadzam się - odpowiadam, co, jak mi się zdaje, cieszy Helmutha.

Jeszcze tylko muszę oznajmić Christophowi, że wychodzę wieczorem. Oszczędzam mu szczegółów i mówię krótko: „Wychodzę dziś wieczorem”. On patrzy na mnie pytająco. Rzuca trzeźwe spojrzenie adwokata w stylu: „Niech pani mi powie, jaki jest przedmiot sprawy!” i „Czy jest pani świadoma, że przed sądem należy mówić prawdę?”. Nie poddawaj się, Andrea, napominam się po cichu. Odpowiadam mu równie chłodnym spojrzeniem. Ja też tak potrafię! Jeśli chce wiedzieć, dokąd idę, powinien mnie zapytać. Ale nie robi tego: albo mu wszystko jedno, albo jest po prostu zbyt dumny, aby zadać takie pytanie. Nie usłyszałam też żadnego komentarza na temat mojej nowej fryzury. Prawdopodobnie nawet jej nie zauważył. Nic dziwnego, jeśli cały dzień gapi się tylko na zabójczo bujną grzywę Belle Michelle.

- Dobrze, mam sporo pracy - odpowiada, a ja już czuję, co mój mąż rozumie przez pracę.

Kiedy mnie nie będzie, na pewno wykorzysta czas, żeby pogadać przez telefon ze swoją Belle Michelle. Bardzo proszę. Ja mam przecież swojego Helmutha. Denerwuje mnie, że Christoph nie chce wiedzieć, z kim i dokąd wychodzę.

Idę do łazienki i żeby go rozzłościć, dokładam wszelkich starań, by zrobić się na bóstwo. Wściekłość może motywować do działania. Mam nadzieję, że uda mi się zadać choć mały cios temu domowemu ignorantowi. Wkładam dzinsy i szykowny top. Luźny, ale sexy. Włosy lakieruję tak mocno, że w przyszłości mogę chyba liczyć na własną dziurę ozonową. Ale dziś ważniejsza dla mnie jest fryzura niż ochrona środowiska. Zresztą zawsze pilnie sortuję śmieci - w każdym razie zazwyczaj. Po spryskaniu włosów lakierem efekt naprawdę widać - nawet jeśli rujnuję w ten sposób bezcenną warstwę ozonową. Wprawdzie są tak sztywne, że nie da się ich dotknąć, ale na oko nie wyglądają źle.

Gotowa, świeżo wyfiokowana, żegnam się z Christophem. Lustruje mnie od stóp do głów, ale najwyraźniej nie może przemóc się, żeby powiedzieć mi komplement. Zamiast tego zauważa:

- Masz jakiś problem z włosami? Wyglądają śmiesznie.

Śmiesznie? Bardzo miłe! Śmiesznie za dwieście dwadzieścia siedem euro i osiemdziesiąt centów? Oszczędzam sobie odpowiedzi na jego pytanie. Jemu moje włosy wcale nie muszą się podobać. A już na pewno nie dzisiejszego wieczoru.

- Pora na mnie. Nie czekaj, mogę wrócić późno - mówię jeszcze, kierując się w stronę drzwi.

- Baw się dobrze! - mówi mój mąż dosyć lakonicznie, nawet nie podnosząc się z sofy.

Czy rzeczywiście nie interesuje go, dokąd wychodzę, czy tylko chce pokazać obojętność? Ale bardzo proszę - kto nie pyta, nie otrzymuje odpowiedzi. Ja również mogę być obojętna albo przynajmniej sprawiać takie wrażenie.

„Sirtaki” okazuje się jeszcze gorsze, niż myślałam. Prawdziwa spelunka w jednym z najbardziej ponurych zaułków Mainzer Landstraße. Co ten Helmuth sobie wyobraża? Wybór lokalu na pewno będzie punktem numer jeden na liście - liście porad dla Helmutha: nigdy nie zabieraj kobiet do obskurnych restauracji. No trudno - stało się, ale przecież nie musimy spędzić tutaj całego wieczoru.

Helmuth przychodzi spóźniony. Nienawidzę braku punktualności - przede wszystkim u innych. Nie mogę tego znieść i uważam za brak szacunku dla drugiego człowieka. Czeka-

nie na George'a Clooneya miałoby może sens, ale na takiego Hillera? Czy beznadzieja sięgnęła już zenitu? Przede wszystkim ta knajpa. Nazywanie spelunki restauracją może być oznaką choroby psychicznej. Poza Helmuthem wszyscy wydają się tego świadomi. Jestem bowiem jedynym gościem, a szef lokalu nieszczerze interesuje się moją osobą. Z trudem udaje mi się zamówić kieliszek retsiny i wodę. Cerata na stoliku klei się tak samo jak włosy kelnera. Co ten Helmuth sobie wyobraża? Może przy okazji pracuje w programie „Mamy cię!” i zaraz wyskoczy z ukrycia razem z prowadzącym show. Jestem głodna i czuję, jak łapie mnie dołek. Lakier do włosów okazuje się na dodatek niezbyt trwały. Sztywna konstrukcja znów opada - jak suflet, który zbyt szybko został wyjęty z piekarnika. Moje wspinałości na głowie przypominają teraz fryzurę kelnera. Na poprawienie humoru piję jeszcze jeden kieliszek retsiny.

Helmuth przychodzi dokładnie w chwili, kiedy zamierzam wyjść. Spóźniony dwadzieścia pięć minut. Trudno mi sobie wyobrazić większy szczyt bezczelności. Jestem naprawdę wściekła. Ale on nie wydaje się ani trochę zażenowany z powodu swojego spóźnienia. Śmieje się.

- Zdaniem mojego trenera, denerwowanie się i czekanie w lokalu wygląda mało swobodnie, więc lepiej chwilę się spóźnić - mówi tylko.

Odpowiadam mu piętnastominutowym wykładem o grzeczności i staram się uświadomić, że spóźniając się, nie może liczyć na udaną randkę. Skoro już zaczęłam, mówię mu też prawdę o jego wyglądzie. Helmuth siedzi cicho. Jest wstrząśnięty.

- Tak źle? Tak źle? - Przerażony znów wpada w nawyk powtarzania słów. Nagle robi się skruszony i malutki, i od razu wzbudza we mnie litość. Mówię mu więc, że stanowi wcale niezły materiał i że na pewno udałoby mi się coś z niego zrobić.

- Kiedy? - pyta.

Obiecuję mu, że znajdę dla niego czas w tygodniu.

Teraz oboje czujemy się bardziej swobodnie. Ja dlatego, że wyrzuciłam z siebie złość wywołaną jego spóźnieniem, a on, ponieważ usłyszał, że istnieje dla niego promyk nadziei. Trzy godziny potem, po pięciu kieliszkach retsiny i dwóch uzo, w „Sirtaki” podoba mi się coraz bardziej. Tak naprawdę jest tu całkiem przytulnie. I jedno trzeba przyznać tej knajpce - dla kobiet po trzydziestce jest w niej bardzo korzystne światło. Lekko przyciemnione, przy którym na sto procent nie widać ani jednej zmarszczki. Tymczasem znam już historię życia

Helmutha i lepiej go rozumiem. Właściwie on wcale nie wygląda tak źle. Okazuje się, że po wypiciu paru głębszych drugi człowiek rzeczywiście może wydawać się piękniejszy. Po prawie czterech godzinach Hiller wyznaje mi miłość.

- Lubię cię, bardzo cię lubię - mamrocze.

Chce nawet zaadoptować moje dzieci. Śmiała deklaracja, bo przecież nawet ich nie poznał. Jednakże moja próżność zostaje mile połechtana. Trzydziestka jest dla kobiety wiekiem, w którym częstotliwość wysłuchiwanym komplementów drastycznie spada. Zupełnie nagle doświadcza się dziwnej posuchy. Nie wiadomo dlaczego. Przecież znienacka nie przybywa nam zmarszczek ani nie robimy się nagle mniej pociągające niż dzień wcześniej. Pomimo to żaden komplement nie przerywa złowieszczej ciszy.

Następny mężczyzna, który będzie się o mnie starał w tak czarujący sposób jak Helmut, dostanie pensję i posadę w mojej osobistej gwardii przybocznej. Chociażby z tego względu dzisiejszy wieczór jest dla mnie czymś w rodzaju duchowego peelingu. Czuję się godna pożądaniami. Towarzystwo Helmutha dobrze mi służy i - żeby nie psuć nastroju - biorę nawet na siebie rachunek. W tym momencie dostrzegam następnego plus „Sirtaki”. Za taką sumę w modnym lokalu nie zjadłabym nawet przystawki.

W żadnym wypadku nie wsiądę teraz za kierownicę. Jestem ubzdryngolona. Może nie tak pijana, żeby wisieć nad muszlą klozetową albo puszczać pawia na pierwszy lepszy płot, czuję się jednak wystarczająco ululana, żeby nie myśleć o jeździe samochodem. Przyszło mi nawet do głowy, czy nie pożegnać się z Helmutem głębszym pocałunkiem z języczkiem, co jednoznacznie świadczy o wysokim poziomie alkoholu we krwi. Hiller ofiaruje się zawieźć mnie do domu. Z dwojga złego już sama wolę prowadzić po pijaku niż wsiąść do samochodu z innym pijanym kierowcą. Jeśli trafię na kontrolę drogowki, stracę prawo jazdy bez dwóch zdań. Całe lata wyobrażałam sobie, że oto wpadam w ręce policji, poddaję się kontroli poziomemu alkoholu i po niej okazuję się kobietą bez skazy na tle całego tego tałatajstwa. Ależ ze mnie idiotka! Kiedy jest się na rauszu - a ja na pewno jestem - wiele rzeczy wygląda prościej i dzięki temu można zdystansować się do własnej osoby. Czuję się tak, jakbym stała obok siebie i przyglądała się z boku, jakie bzdury właśnie wyczyniam. Czy bardzo to zagmatwałam? Chyba tak. Mówiłam przecież, że jestem zawiana.

Wracając do tematu - zrezygnowałam z języczka. Intuicja, szósty zmysł lub może tylko szeroko otwarte oczy - nie wiem, co mnie w końcu odwiodło od zbadania migdałków

Helmutha. A mogłabym! Wcale się nie chwale. Mam nieprawdopodobnie długi język. W szkole dzięki temu nawet zarabiałam pieniądze. Kto chciał przekonać się na własne oczy, jak czubkiem języka dotykam koniuszka nosa, musiał zapłacić. Cieszyłabym się, gdyby pozostał we mnie choć cień tej przedsiębiorczości ze szkoły podstawowej.

Kiedy docieram do domu kwadrans przed trzecią, w oknach jest ciemno. Christoph nie siedzi w salonie i nie czeka na mnie. Nie leży z błędnymi oczami tak jak ja na kanapie - nie! - ale zupełnie normalnie w łóżku. I co robi? Czy trapiiony bezsennością z powodu trosk przewraca się z boku na bok? Nic z tego! Śpi mocno i głęboko. Ani nie zadzwonił, ani nie wysłał SMS-a. Więc na co to wszystko? Czy mój mąż w ten sposób okazuje swoją zazdrość? Czy stoickie zachowanie u mężczyzn oznacza wewnętrzną burzę uczuć? A może w nim w ogóle nic nie drgnęło, ponieważ on wcale nie jest zazdrosny, lecz przeciwnie, bardzo zadowolony, bardzo zadowolony (o Boże, zaczynam gadać jak Helmuth), że skoncentrowałam się na czymś innym i przede wszystkim zostawiłam go w spokoju, i nie będę mu się naprzykrzać ze swoją histerią, zazdrością i całą resztą humorów, które we mnie siedzą. Albo po prostu niezły z niego spryciarz. Nie chce pokazać, jak bardzo go zraniłam. Jedno wydaje się pewne: logice mojego myślenia nie sprzyja ani wypity alkohol, ani późna pora.

Kładę się na kanapie. Zaprzyjaźniłyśmy się już bardzo, ja i kanapa. Nic dziwnego, bo przecież więcej nocy spędzam z nią niż z mężem. A już na pewno w ostatnim czasie. W nocy wstaję dwa razy. O ludzie, ale mi niedobrze. Już dawno nie wisiałam tak sponiewierana nad sedesem. Mojej fryzurze też nie służy ta pozycja. Przynajmniej wino było tanie i nie wymiotuję majątku.

4

Następnego dnia Christoph odzyskuje mowę. Zaczyna mi dogryzać.

- O! Potrafisz mówić! - zauważam i wkładam w to zdanie tyle ironii, na ile tylko mnie stać tego ranka.

Christoph wciąga głęboko powietrze.

- Owszem, potrafię. Natomiast twoje zachowanie przestało, moim zdaniem, być już zabawne. Co to ma znaczyć?

Rozmawia ze mną jak z dzieckiem. W moim stanie. Nie czuję się na siłach utrzymać w pozycji pionowej. Żałuję każdego kieliszka retsiny i chcę tylko świętego spokoju.

- Zostaw mnie! Źle się czuję! - krzyczę na niego.

- Można zapytać, gdzie właściwie byłeś? - zrzędzi dalej.

- Bardzo proszę, zapytaj - mówię, choć zdaję sobie sprawę, że zachowuję się dziecinnie, ale jakoś podoba mi się, że jest zły.

W takim razie nie jest mu chyba zupełnie obojętne, gdzie się wałęsam. Może to jest nawet przejaw zazdrości? Tym lepiej, niech się przekona, jak druzgocące jest to uczucie. Jeśli będzie się tak dalej zachowywał, rzucę mu się na szyję i znów wszystko będzie dobrze.

Tymczasem Christoph wychodzi. Westchnąwszy głośno, człapie do kuchni. Jeden dzień może pozostać w niepewności. Poza tym - mógłby przecież zapytać, jak poszło mi szukanie pracy. Namiastka zainteresowania potencjalną karierą żony nie jest chyba zbyt wygórowanym oczekiwaniem.

Dzieci też są trochę dziwne tego ranka. Claudia pyta nawet, czy od dzisiaj będę już znowu mieszkać w domu.

Sytuacja jest bardzo przejrzysta: dzieci przyzwyczały się, że jestem do ich dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę, i wpadają w panikę, kiedy jeden wieczór spędzam poza domem. Z drugiej strony, pytanie to bardzo mnie wzruszyło. Kiedy więc w końcu moje oba małe szkraby szykują się do wyjścia - jedno do szkoły, drugie do przedszkola - biorę je w ramiona i ściskam tak, jakbym żegnała się z nimi na zawsze. Christoph wydusza z siebie „na razie”, co chyba oznacza, że ma zamiar pojawić się w domu dziś wieczorem.

Kiedy patrzę przez okno, jak idzie z Claudią i Markiem do samochodu, trzymając oboje za ręce, emocje biorą we mnie górę. Kłębi się we mnie tyle uczuć, że spokojnie moż-

na by nakręcić ze cztery filmy w stylu powieści Rosamunde Pilcher. Jaka cudowna rodzina! Po prostu łyzy same cisną się do oczu! Mam silne poczucie rodzinnych więzi. Czuję się jak podczas oglądania *Waltonów**, kiedy pod koniec każdego odcinka wszyscy bohaterowie leżą w łóżku, a w tle rozbrzmiewa głos: „Dobranoc, John-Boy”. Szczerze mówiąc, był to jedyny moment w moim życiu, kiedy pragnęłam mieć siedmioro rodzeństwa.

** Waltonowie (The Waltons) - amerykański serial rodzinny ukazujący trudne, a zarazem proste życie wielodzietnej rodziny w czasie wielkiego kryzysu gospodarczego. Każdy epizod kończy się gaszeniem światła w rodzinnym domku w lesie i krótką rozmową na dobranoc między członkami rodziny. Powiedzenie *Good night John-Boy, good night Elizabeth* stało się legendarne.*

Czy Christophowi przebiegają przez głowę podobne myśli? Mam nadzieję. W końcu byliśmy tak bardzo szczęśliwi i tak zakochani. Jak to więc możliwe, że takie wielkie uczucia nie wytrzymują próby czasu? Czy można je porównać z jogurtem? Czy wszystko musi mieć ograniczoną datę trwałości? Z drugiej strony, suchary wojskowe można by śmiało zjeść jeszcze w osiemdziesiąt lat po wojnie atomowej i z pewnością nie smakowałyby gorzej niż przed jej wybuchem. Chodzi zatem raczej o pytanie, czego się chce. Czy czegoś bardzo, bardzo pysznego, co należy szybko zjeść, czy też czegoś, co tak naprawdę nigdy nie jest smakowite, ale za to utrzymuje wieczną świeżość. Prawdopodobnie należałoby podobne rozróżnienie uwzględnić przy wyborze mężczyzny.

Czy Christoph jest wojskowym sucharem? Czy wojskowy suchar mógłby wzdychać do łatwo psującego się towaru w rodzaju Belle Michelle? Kobiety-ostrygi? Akurat w momencie, kiedy chcę popędzić do samochodu, aby wyznać mojej rodzinie nieskończoną miłość, rozlega się warkot silnika i widzę, jak odjeżdżają.

Cholera, zapomniałam powiedzieć Christophowi, że mam plany także na dzisiejszy wieczór. A może powinnam odwołać spotkanie z Sabine i wykorzystać ten czas na rozsądną małżeńską rozmowę wyjaśniającą? Zachować się jak dorosła i racjonalnie myśląca osoba? Zastanowię się nad tym. Póki co potrzebuję spokoju i aspiryny w dużej ilości. W chwili kiedy zamierzam wrzucić do szklanki tabletki musujące, moja komórka melduje mi nadejście SMS-a. To pewnie Christoph, jak miło. Chyba ściągnęłam go myślami.

Ale nic z tych rzeczy, wiadomość jest od Helmutha. „Cudownie było mi z Tobą. Kiedy znów się zobaczymy?”. O rany, co ja teraz z nim pocznę? Jeszcze o tym pomyślę, postanawiam - najpierw moja głowa, potem Helmuth.

Snuję się przez całe przedpołudnie jak ospała mucha. Dzwoni Heike, żeby dowiedzieć się o aktualny stan mojego związku. Opowiadam jej wszystko najdokładniej jak potrafię. Podczas rozmowy coś mi się przypomina. Przecież Heike chciała coś ode mnie w związku z dzieckiem.

- Czego właściwie ode mnie chciałaś? Miałam ci w czymś pomóc.

Teraz Heike jest w swoim żywiole.

- No więc, byłoby cudownie, gdybyś pojechała do Ameryki Południowej, dokładnie mówiąc, do Peru. Najlepiej już w przyszłym tygodniu. Wiesz przecież, że Lea strasznie boi się latać, a chciałabym mieć przy sobie kogoś, komu mogę w stu procentach zaufać. Chodzi w końcu o nasze dziecko. Lea też powiedziała, że to byłoby najlepsze rozwiązanie, gdybyś ze mną pojechała. Oczywiście, opłacimy twój przelot. Możemy na ciebie liczyć?

Co za cudowne zaproszenie! Do Peru. Na kupowanie wełnianych czapeczek. Zwiedzanie Andów i szukanie dziecka. Ale już w następnym tygodniu? Od razu widać, jak niewielkie pojęcie o życiu matki ma Heike. Do Ameryki Południowej? Jak miałabym to niby zorganizować? Oprócz tego od jutra zaczynam pracę i wystąpienie o urlop już następnego dnia byłoby chyba zbyt śmiałe? Chociaż, jeśli moi teściowie mieliby akurat czas, taka eskapada mogłaby być wspaniała. Przede wszystkim dlatego, że wyprawy z Heike są zawsze pełne niezwykłych przeżyć. Poza tym ona jest mi też winna jedną podróż.

Ostatnia, jaką z nią odbyłam, była moją podróżą poślubną.

Christoph nie znalazł, niestety, na nią czasu (ale to już zupełnie inna, bardzo zagnatwana historia; w skrócie: Christoph miał do wyboru albo polecieć ze mną na Karaiby, albo zrobić olbrzymi skok na szczeblach drabiny zawodowej i - przyznaję, za moją zgodą - wybrać drabinę!), dlatego też miejsce męża u mojego boku zajęła Heike. Od seksualnej strony, rzecz jasna, fatalnie. Ale tak poza tym wyjazd z najlepszą przyjaciółką może być nawet bardziej godny polecenia niż podróż z ukochanym.

Właściwie to Christoph zabukował wycieczkę na Karaiby. „Będziemy wylegiwać się na plaży, pić lepkie, słodkie koktajle, a w nocy tarzać się w pościeli, nadzy i spaleni słońcem”. Niezwykle przyjemny program dla zakochanych. Heike jednak ma bardzo wrażliwą

skórę, która nie brązowieje, lecz przybiera najpierw różowy, a potem purpurowy kolor, z powodu zaś orientacji seksualnej (ja jestem jednoznacznie hetero) tarzanie się w pościeli też raczej nie wchodziłoby w rachubę. Postanawiamy więc zmienić rezerwację, bo przecież lecieć na Karaiby jedynie dla paru słodkich drinków byłoby lekką przesadą. Heike jest tak miła i zgadza się wskoczyć w miejsce Christopha, dlatego pozwalam jej podjąć decyzję, dokąd pojedziemy.

- Idź do biura podróży i zmień rezerwację. Chcę dać się zaskoczyć - nakręcam ją.

Ona lubi takie zabawy i poważnie traktuje moje życzenie.

Dwie godziny przed odlotem wciąż nie wiem, dokąd lecimy. Błagam ją i proszę, ale w odpowiedzi słyszę tylko parę wskazówek, co powinnam włożyć do walizki.

- Miasto, do którego lecimy, zaczyna się na literę C, jest tam dużo wody, a mężczyźni noszą fantazyjne nakrycia głowy.

Jestem pewna, że tylko Casablanca może wchodzić w rachubę. Miasto Cottbus nie jest raczej znane z fantazyjnych nakryć głowy. Niestety, nie jestem jednak pewna, czy Casablanca leży w Maroku, czy w Algierii. Tak czy inaczej w Afryce. Nie rozumiem tylko, dlaczego mam zabrać też ciepłe ubrania. Maroko czy Algieria - jak widać, nie mam wielkiego pojęcia o Afryce. Ogólnie przecież wiadomo, że jest tam ciepło. I że nosi się śmieszne nakrycia głowy. Na przykład coś takiego, co wygląda jak odwrócona doniczka z filcu, zakończona czarnym frędzlem. Czy taki rodzaj czapki nie nazywa się fez? Może też ewentualnie chodzić o Chorwację, ale po niemiecku pisze się ją przez K i przecież Chorwacja to nie miasto. Gram w myślach w państwa-miasta: Chicago, Caracas, Cuxhaven (czy tam jest w ogóle lotnisko?) albo może Côte d'Azour z Cannes? Łamię sobie głowę i pozostaję w końcu przy Casablance.

Nie tylko z powodu niecodziennego nakrycia głowy, ale przede wszystkim dlatego, że *Casablanca* to ulubiony film Heike. Ile razy słyszałam, że tego małego drania Humphreya Bogarta powinno się wyciąć z filmu, bo dla niej *Casablanca* to tylko Ingrid Bergman. „Co on sobie wyobraża, mówiąc do takiej kobiety jak Bergman: «Popatrz mi w oczy, maleńka», podczas gdy on sam ledwo odrósł od ziemi? Mania wielkości - bez dwóch zdań. Typowy mężczyzna”.

Prawdopodobnie będziemy musiały obejrzeć każde z miejsc, w których rozgrywała się akcja filmu, dlatego powinnam zabrać też solidne buty. Heike ani słowem nie komentuje moich przypuszczeń.

- Pożyjemy, zobaczymy - mówi zdawkowo.

Nie odpuszczam:

- Może powinnam zaszczepić się na febrę, żółtaczkę albo cholere?

Zaprzecza, ale pewnie dlatego, że ona w ogóle uważa szczepienia za bzdurę. Z powodu własnego systemu immunologicznego.

- Ja mam dzieci i nie chcę narażać się na jakiekolwiek ryzyko. Jeśli ty możesz sobie pozwolić na cholere, proszę bardzo. Mnie się do tego wcale nie pali - domagam się informacji.

- Nie potrzebujesz żadnych szczepień. Wystarczy ci wyłącznie ważny paszport. Tylko paszport. Nic więcej nie powiem. Nawet gdybyś miała się przypiąć nago do płotu - odpowiada.

Niezły pomysł. Naga przy płocie ogrodowym. Jeśli kiedyś najdzie mnie nuda i będę chciała wywołać sensację wśród mieszkańców mojego osiedla, wykorzystam ten superpomysł. Najpierw powinnam jednak zrzucić przynajmniej z pięć kilogramów. Tak czy siak, jestem naprawdę pod wielkim wrażeniem, że Heike potrafi do tego stopnia trzymać buzię na kłódkę - ja już dawno bym wymiękła.

Nie potrafię zachować w tajemnicy nawet prezentów gwiazdkowych, bo nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć czyjąś radość, poza tym czuję się uszczęśliwiona, mając pewność, że udało mi się znaleźć odpowiedni upominek. W rezultacie często nie udaje mi się doczekać do świąt.

Spotykamy się na lotnisku, naprawdę zaczynam się już cieszyć na wyjazd do tej Casablanki. Specjalnie na tę podróż kupiłam sobie nawet długi do ziemi kaftan, podobny do tych, jakie noszą arabscy mężczyźni, z wycięciem przy szyi w kształcie litery V, ozdobionym gustownym wyszywanym wzorem. Chętnie ubieram się w typowe dla danego kraju stroje. Wydaje mi się, że sprawiam wtedy wrażenie obytej w świecie i nie wyglądam na typową turystkę. Oprócz tego zabrałam mnóstwo szykownych ciuszków na wieczór. Jeśli będziemy mieszkać w jednym z tych hoteli z tysiąca i jednej nocy (a zakładam, że tak będzie), chcę wyglądać z klasą i stylowo, gdy stanę w odpowiedniej pozie przy wspaniałym bufecie.

Mam trzy pary szpilek, połyskliwą bluzkę, małą czarną i różne topy na cienkich ramiączkach. Na wycieczkę po Casablance śladami Ingrid Bergman, od której na pewno nie uda mi się wykręcić, zabieram parę sportowych butów i trenz jak z filmu. Innymi słowy: jestem przygotowana na Afrykę.

Spotykamy się na drugim terminalu lotniska we Frankfurcie. Jestem podwójnie zdziwiona. Po pierwsze, z powodu wyglądu Heike: ma na nogach buty trekkingowe, spodnie jak na wspinaczkę, z tysiącem małych kieszonek i polarową kurtkę. Jestem zbita z tropu. Czy u Marokańczyków można spodziewać się takich chłódów? (Sprawdziłam już, że Casablanca leży jednak w Maroku). Po drugie, na gigantycznej tablicy świetlnej z informacją o odlotach nie mogę dojrzeć rejsu do Casablanki. Heike ściska mnie na powitanie i chichocze z mojego nowego kostiumu w piaskowym kolorze. Trzyma mnie w niepewności aż do stanowiska odpraw.

Tu odczytuję napis „Londyn”. Lecimy do Londynu? Jestem lekko wkurzona. Mimo najlepszych chęci słowa „Londyn” nie da się napisać w żaden sposób przez C. Nawet Heike, która w dzieciństwie miała problemy z dysleksją, powinna o tym wiedzieć.

- *So, you are flying via London to Calgary* - mówi przedstawicielka British Airways, nim udaje mi się zwrócić uwagę przyjaciółki na tę literową niezgodność.

- *Yes* - potwierdza Heike, odwraca się triumfalnie w moją stronę i uśmiecha się promiennie. Calgary. Aha. Czuję się, jakbym dostała obuchem w głowę.

- Przecież Calgary nie leży w Afryce - bąkam.

- A czy ja coś takiego mówiłam? - odparowuje Heike. - Lecimy do Kanady, w Góry Skaliste, na łono czystej natury, w bezkresne przestrzenie, w gościnę do kowbojów.

Co za szczęście, że zabrałam kaftan do ziemi! Heike uważa moje wątpliwości w kwestii garderoby za małostkowe.

- Wyluzuj. - To wszystko, co potrafi mi powiedzieć.

Nic więcej też mi nie pozostaje, bo nie ma już czasu, żeby wrócić do domu i przepakować walizkę. No dobrze. Od tej pory Kanadyjczycy będą przekonani, że ulubionym strojem Niemek są długie do ziemi szaty i do tego sandaalki.

Pomimo wszystko urlop jest cudowny. Góry Skaliste są rzeczywiście wspaniałe. Jeśli ktoś lubi podglądać świat zwierząt, nie może sobie wymarzyć lepszego miejsca. Każdy turysta w Kanadzie musi obowiązkowo zaliczyć dwa gatunki: niedźwiedzia i łosia. Po do-

kładniejszych obserwacjach Heike stwierdziła, że obydwie są bezsprzecznie duchowo spokrewnione z mężczyznami (moja przyjaciółka potrafi być wobec mężczyzn niezwykle surowa!). Na przykład taki niedźwiedź: aby zaznaczyć swój rewir, staje na tylnych łapach, wyciąga się, jak tylko się da, i drapie pazurami o pień drzewa. Można by się zastanowić, co to może oznaczać. Samce niedźwiedzi, podobnie jak ich ludzkie odpowiedniki, robią rzecz jasna wiele rzeczy kompletnie pozbawionych sensu - w tym jednak wypadku mamy do czynienia z formą aroganckiej przechwałki. Niedźwiedź pokazuje swojemu potencjalnemu rywalowi, jaki z niego osiłek. U mężczyzn jest podobnie - tyle że wbijanie pazurów w drzewo zastępuje porsche albo jacht. Także w kwestii poszukiwania pożywienia niedźwiedź wykazuje dużo podobieństwa do ludzkiego samca. Leniwy jak jasna cholera, zamiast udać się na poszukiwanie leśnych owoców, jest w stanie pożreć nawet własne potomstwo. Na szczęście są jeszcze matki-niedźwiedzie, które chronią młode i opiekują się nimi. Bo raczej trudno prosić kanibala, żeby któregoś popołudnia zajął się dziećmi. W świecie niedźwiedzi także samica troszczy się o dach nad głową i porządnie wymoszczone legowisko. Buduje przytulne gniazdko, odpowiednio je wyposaża, aby ona i dzieci mogły bezpiecznie przetrwać zimę. A ojciec dzieci? On układa się do zimowego snu gdzie popadnie i czeka, aż przysypie go śnieg. I tyle.

W kanadyjskich Górach Skalistych wybudowano dla niedźwiedzi nawet specjalne mostki, po których mogą bezpiecznie przejść nad autostradą. Najpierw wymyślono dla nich tunele, ale zwierzęta ich nie polubiły. Bardziej odpowiadają im specjalnie porośnięte zieleńią kładki. Gdybyśmy kiedyś na lekcjach biologii zajmowali się takimi właśnie tematami, jestem przekonana, że wyszłabym poza ocenę dostateczną.

Od tubylców usłyszałyśmy wiele historii o niedźwiedziach, ale jedna z nich zrobiła na nas szczególne wrażenie. Japońscy turyści chcieli mianowicie zrobić zdjęcie misia i wpadli na pomysł, żeby posadzić mu na grzbiecie swoją córeczkę, co nie spodobało się zwierzęciu, które straciło dziecko łapą. Dziewczynka zmarła. Straszna historia! Czy to prawda - nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

Każdy w Kanadzie zna wiele mrożących krew w żyłach opowieści o niedźwiedziach, dlatego my też jesteśmy przygotowane na ich spotkanie. Chociaż ja po pięciu dniach bezskutecznego wypatrywania zaczynam uznawać wszystkie historie, których bohaterem jest grizzly, po części za mity. Prawdopodobnie Kanadyjczycy opowiadają tyle o niedź-

wiedziach, bo już od dawna ich nie mają, chcą natomiast utwierdzać turystów w przekonaniu, że czeka tu na nich całe mnóstwo tych niebezpiecznych zwierząt. Szukanie niedźwiedzi jest głównym zajęciem większości turystów. Jeżdżą po okolicy i wpatrują się jak zahipnotyzowani w najmniejszy zagajnik. Spuszczenie oka z gąszcza drzew choćby na sekundę może znaczyć, że przegapiło się jednego jedynego niedźwiedzia na przestrzeni tysięcy kilometrów kwadratowych.

Mniej więcej po pięciu minutach od przedstawienia Heike swojej teorii na temat niedźwiedzi, słyszę jej wrzask. Rzeczywiście! Grizzly na drodze. Tak zwyczajnie i po prostu. Niczym żywa odpowiedź na moje wątpliwości. Jestem pod wielkim wrażeniem. Robimy zdjęcia, ale grzecznie pozostajemy w samochodzie, chociaż ten prawdziwy miś wygląda zupełnie niewinnie - nic, tylko potarł się za kudełki.

W ciągu kilku minut zatrzymują się obok nas inne samochody, tak jakby niedźwiedź został specjalnie zamówiony przez biuro turystyczne. Nikt by się chyba nie zdziwił, gdyby niedźwiadek zaczął rozdawać autografy.

Najpewniejszą oznaką, że w pobliżu jest jakieś zwierzę, są stojące na poboczu drogi auta. Jeśli jedno się zatrzyma, za nim staje cała reszta. Tej lekcji można się w Kanadzie szybko nauczyć. Tak zwani *guides*, jeśli bierze ich ochota zrobienia turystów w bambuko, chętnie używają tego tricku. Zatrzymują się i biorą do ręki lornetkę. Tak oto bawi się Kanaadyczyk! Pewien facet opowiadał nam o tym wieczorem przy barze i zaśmiewał się do rozpuku. Cecha wspólna dla mężczyzn na całym świecie - uwielbiają kiepskie żarty.

A jak się ma sprawa z łosiem? Chociaż na każdym rogu można kupić w małym sklepiku czapeczki, filizanki i długopisy z motywem łosia, jeszcze trudniej go spotkać niż niedźwiedzia.

Jedziemy z Heike na wycieczkę rowerową z przewodnikiem.

- *We take the very easy trail!* - obiecuje nam *guide* i dołączamy do grupy rzekomo początkujących z północnej Hesji. Podkreślam - rzekomo. Od początku droga wiedzie cały czas pod górę. Po dziesięciu minutach pytam, czy „*easy trail*” rzeczywiście tak powinien wyglądać, bo nie mogę złapać powietrza i dyszę jak astmatyk. Jeden z naszych *guides* jest tak miły i zostaje ze mną z tyłu. Nawet Heike, która nieszczęśliwie oddaje się sportowym aktywnościom, mnie wyprzedza.

- Muszę zachować tempo - woła i już jej nie ma.

Ledwie zipię z wysiłku i co minutę zadaję sobie pytanie, jak mogłam wpaść na taki idiotyczny pomysł i zgłosić się na tę wycieczkę. Las i jeszcze raz las, kamienisty stromy podjazd i nadzieja, że za kolejnym zakrętem będzie dla odmiany z górki. Mój osobisty *guide* - Dino - przemawia do mnie niezmordowanie. *Hold on - you can make it* - czy coś takiego. Jednostronna konwersacja, ponieważ nie jestem w stanie odpowiedzieć mu ani słowem. Po jakimś czasie - wydaje się, że po upływie całej wieczności - schodzę z roweru i zaczynam go prowadzić. Dino jest przerażony. A mnie wszystko jedno. Niechętnie się poddam, ale wolę się skompromitować niż dostać zawału na rowerze. Mówię mu, że mam ponad czterdzieści lat, tylko tak młodo wyglądam. Reszta grupy na pewno urządziła już sobie piknik. Kiedy człowiek zostaje na szarym końcu, najgorsze jest to, że inni czekają, wypoczywają, ty tymczasem resztkami sił pokonujesz ostatni odcinek i gdy wreszcie docierasz do nich bez ducha, cała zabawa zaczyna się od nowa i nie masz nawet chwili na zaczerpnięcie oddechu. Nie jestem pewna, czy przeżyję tę wycieczkę. Najbardziej nieznośna jest świadomość, że wsiadłam na ten rower dobrowolnie, a nawet zapłaciłam za tę przyjemność. Próbuję namówić przewodnika do powrotu. W dół chyba jeszcze dam radę zjechać. Dino odmawia.

- *The group is waiting for us!*

I co z tego! Chyba zauważą, że nas nie ma. Sami sobie winni, skoro zostawiają mnie tak beztrosko na pustkowiu. Czuję się obrzydliwie, śmiertelnie wyczerpana, a do tego upokorzona.

Nagle słyszę jakiś szelest obok siebie i kiedy z trudem udaje mi się odwrócić głowę (nawet ruch szyją sprawia mi ból), widzę wyłaniające się o krok ode mnie dwa gigantyczne zwierzęta. Są większe, niż myślałam. Wyglądają jak przerośnięte, olbrzymie konie i wcale nie mają poroża. Dino wpada w panikę.

- *Get on your bike, they can hurt you!* - krzyczy i wskazuje na rower.

Ja też chętnie bym to zrobiła, ale nie jestem w stanie. Dino jedzie kawałek - moim zdaniem mało bohaterskie zachowanie - i wrzeszczy:

- *Hurry up, Andrea, hurry up!*

A ja po prostu stoję, łosie patrzą na mnie, ja na łosie.

Zawsze coś, przynajmniej one mi współczują. Zostawiają mnie przy życiu i wycofują się do lasu. Może czuć ode mnie potem już do tego stopnia, że przeszedł im apetyt, albo nie są zainteresowane łatwym łupem? Poza tym, czy one przypadkiem nie są wegetarianami?

Na czym więc polega niebezpieczeństwo spotkania oko w oko łośia? Dino wyjaśnia mi tę kwestię. Podobno stratowały już niejednego człowieka. Ich kopyta są nieprawdopodobnie ostre. Zwłaszcza teraz, kiedy samice mają młode, bywają szczególnie agresywne. Uff. Miałam szczęście. Albo był to wyraz kobiecej solidarności. Dino jest trochę zły. Spowodowałałam zagrożenie dla nas obojga. Takie spotkanie mogło się źle skończyć. Być może, ale, po pierwsze, on był już przecież dostatecznie daleko, a po drugie, tego wieczoru ja miałam do opowiadania najlepszą historię ze wszystkich i do końca podróży pozostałam jedyną osobą z naszej grupy, która widziała łośie. Słabość fizyczna niekiedy popłaca. Po zrelacjonowaniu wydarzenia na leśnej drodze wszyscy mi zazdroszczą, a ja rozkoszuję się swoją sławą. Widziałam łośia! A jakże! Kogo interesuje fakt, że nie potrafię porządnie jeździć na rowerze? Nikogo.

Podczas urlopu zawarłam jeszcze jedną niesamowitą znajomość. Shigeru. Japończyk. Jego imię znaczy: bujny wzrost. Ukryte w imieniu życzenie jego rodziców, niestety, się nie spełniło. Shigeru jest małym faceciem, szczerze mówiąc, niemal mikrym, ale bardzo modnie ubranym i szalenie kontaktowym. Poznajemy go w Banff. Banff jest przyjemną małą miejscowością na skraju Gór Skalistych. Można powiedzieć: bramą do tych gór. Przy głównej ulicy mieści się całe mnóstwo sklepów. Koszulki z łośiami, czapeczki, syrop klonowy w najprzeróżniejszych opakowaniach, dzwoneczki w formie niedźwiedzi - czyli wszystko, czego zapragnie dusza turysty w Kanadzie. Wśród zalewu tej jarmarcznej tandety znajduje się sklep Louisa Vuittona. Na pierwszy rzut oka wygląda jak błąd w obrazku z łamigłówni „Co tu nie pasuje?”. Firmowy sklep na łonie dzikiej natury. Z jednej strony to zabawne, a z drugiej bardzo przemyślnie posunięcie firmy Louisa Vuittona, ponieważ Banff stanowi klasyczny cel podróży dla wielu Japończyków, którzy mają bzika na punkcie tej marki. W tym właśnie sklepie natykamy się na Shigeru. Chce zrobić nam zdjęcie. Jak wiadomo, Japończycy fotografują wszystko, co się da. Opowiadam mu od razu, jak dobremu znajomemu, o spotkaniu z dwoma łośiami, pomijając naturalnie szczegół niezwykle zawstydzającej dla mnie wycieczki rowerowej. Shigeru jest pod wrażeniem.

Potem rozmawiamy o Louisie Vuittonie. Wspominam, że mam torebkę tej marki. No, może niezupełnie, bo to stara podróbka, ale przecież nie wszystko muszę od razu mówić zupełnie obcemu Japończykowi. Jego angielski jest fatalny. Wpada natomiast w totalną ekstazę, kiedy opowiadam mu o swojej sfatygowanej torebce.

- *Can I see it, buy it used?* - pyta mnie podniecony. - *We love used wear!* - dodaje jeszcze. - *I give you a lot of money.*

Brzmi nieźle. *Lot of money* za starą podróbkę.

- *How much?* - dopytuje się Shigeru. - *How much and how many?*

Teraz za nic w świecie nie mogę popełnić błędu. Postanawiam się nie ograniczać i żądam siedemset pięćdziesięciu dolarów kanadyjskich, ale szczerze dodaję też, że to mały model.

- *It's very little and used!* - podkreślam, w końcu nie jestem świnką i nie chcę nabijać w butelkę Shigeru, który jest bardzo sympatycznym człowieczkiem.

- *Used is best. Where is it? Can you show?* - pyta mnie dalej i nie wydaje się ani trochę zszokowany żadaną kwotą. Jestem bardzo zadowolona, że mam ze sobą tę torebkę, tylko złoścuję się trochę, że nie zażądałam tysiąca dolarów kanadyjskich.

Umawiamy się na wieczór, zapraszam go do hotelu. Nie śmiałybym afiszować się z robieniem takich podejrzanych interesów publicznie. Kto wie, czy handel używanymi torebkami za bająnskie sumy nie jest w Kanadzie karalny.

- *I come in hotel, you show it* - Shigeru potwierdza przyjęcie zaproszenia.

I obiecuje wpaść do mnie około dziewiątej. Chyba pęknę ze śmiechu. To będzie interes mojego życia. Miałam nosa, że wzięłam tę torebkę do Kanady. Tyle że tylko ona pasuje mi do tego piaskowego kostiumu, którego oczywiście jeszcze ani razu na sobie nie miałam. No bo przy jakiej okazji miałabym go tu na siebie włożyć? Także mój arabski kaftan ma tutaj ograniczone możliwości zastosowania. Może by przehandlować go też Shigeru? Heike hamuje moją euforię.

- Na pewno zauważy. Japończycy znają się na rzeczy. A ten wydaje się nie w ciemni bity.

Zobaczymy. Zdaniem mojej przyjaciółki, powinnam również powiedzieć, że torebka pochodzi z Tunezji i prawdopodobnie to nie jest prawdziwy Louis Vuitton. Moje sumienie się z tym zgadza, ale siedemset pięćdziesiąt dolarów zdecydowanie przemawia przeciw takiej szczerości.

- Poczekamy - uspokajam Heike, po czym wychodzimy na kolację do prawdziwego kowbojskiego baru.

Lokal jest pełen dojrzałych mężczyzn w kowbojskich kapeluszach. U nas taki kapelusz uszedłby ewentualnie w karnawale, tu natomiast jest czymś zupełnie normalnym. Jeśli uda mi się naciągnąć Shigeru na siedemset pięćdziesiąt dolarów, kupię sobie taki. Wygląda fantastycznie. Zajadamy z Heike gigantyczne hamburgery i nawiązujemy rozmowę z dwoma kowbojami. Jeden z nich jest facetem niczego sobie. Krzepki, wysoki (być może z powodu kapelusza na głowie) i brodaty. Heike odstrasza obydwu lesbijskimi opowieściami. Jestem na nią trochę zła. Zaczynamy się kłócić.

- To jest twoja podróż poślubna i nie możesz dawać się podrywać obcym facetom. Tylko dla twojego dobra opowiedziałam im, że jesteśmy na lesbijskiej wycieczce - usprawiedliwia swoje odrażające historie. Co za głupota z jej strony, przecież nie miałam zamiaru poślubić tego kowboja. A poza tym - podróż poślubna bez pana młodego rządzi się innymi prawami niż normalny miesiąc miodowy.

Heike jest obrażona i dlatego nie wraca ze mną na dziewiątą do hotelu.

- Sama prowadź sobie te ciemne interesy. Idę na spacer - boczy się.

A niech sobie idzie! Może też się obrażać. Kiedy jutro rano odpalę jej udział z moich siedmiuset pięćdziesięciu dolarów, zapomni o wszystkim. Nasze kłótnie właściwie nigdy nie trwają długo. Heike jest po prostu trochę impulsywna, ale zwykle gniew szybko jej mija. Kwadrans przed dziewiątą jestem w pokoju. Bez przyjaciółki. Już po chwili zjawia się Shigeru. Ten mały facet jest tak punktualny, że nie zdążyłam nawet wyciągnąć torebki. Czyli dla niego to musi być chyba poważny interes, w przeciwnym razie przecież by nie przyszedł. Ma świeżo pociągnięte żelazem kruczoczarne włosy i już w progu pyta:

- *Where is it, can I see?*

O mój Boże, po co ten pośpiech! Proponuję mu drinka. Podobno Japończycy niezbyt dobrze znoszą alkohol i istnieje spore prawdopodobieństwo, że po jednym głębszym Shigeru w ogóle nie zauważy, że torebka nie jest oryginałem. Chociaż kto wie? Tunezyjski sprzedawca też mnie przecież zapewniał, że to *original bag*. Jeśli więc mój japoński gość zorientuje się, co się święci, zawsze mogę udać naiwną niemiecką dziewczynę, która nie zna się na markowych rzeczach. Shigeru najpierw nie chce nic pić. Muszę go jakoś zagadać. Otwieram butelkę czerwonego wina i mówię, że w Niemczech tylko w ten sposób prowadzi się interesy: *First drink, than business*. Zgadza się wreszcie na jeden kieliszek, wypija go,

jednakże nie bez ociągania. Kiedy chce skorzystać z toalety, prosi mnie, żebym wyszła z pokoju i poczekała pod drzwiami. - *Noise toilet very, ashamed* - bąka.

No dobrze. Gdzieś czytałam, że Japończycy są bardzo wstydliwi i czują się zażenowani, jeśli ktoś słyszy odgłos wody spuszczonej ze spłuczki w toalecie. Przy tych ich małych mieszkaniach pewnie zawsze ktoś musi stać na ulicy.

Po dwóch kieliszkach czerwonego wina wygląda na to, że możemy dobijać interesu. Pokazuję torebkę, Shigeru patrzy na mnie dziwnie, a ja od razu zaczynam się wstydzić. Cholera jasna, zauważył. Kieruję się w stronę toalety i proszę go, żeby również poczekał za drzwiami. Teraz on ma okazję spokojnie się ulotnić, bez usprawiedliwiania i wyjaśniania czegokolwiek, i w ten sposób obydwójce moglibyśmy zapomnieć o całej sprawie. A ja wyszłabym z tego z twarzą. Boję się jednak, że Shigeru będzie zły. Ostatecznie ma ku temu powód, przecież tak się cieszył na tę torebkę. Mam nadzieję, że mnie nie pobije. Myślę, że w razie czego nie miałby ze mną żadnych szans. Czekam około czterech minut w toalecie, parę razy spuszczam wodę, aby przypadkiem nie wszedł do pokoju. Kiedy wychodzę z łazienki, rzeczywiście go nie ma, zniknęła również torebka Louisa Vuittona. Na stoliku leżą pieniądze. Liczę. Tysiąc kanadyjskich dolarów. Nie chce mi się wierzyć i liczę jeszcze raz. Zgadza się, tysiąc dolarów. Czy on kompletnie zwariował? Za te pieniądze mógłby kupić nowiutką, oryginalną torebkę. Tylko dlaczego uciekł? Dziwne zachowanie w interesach. Ale co kraj, to obyczaj. Moi rodzice zawsze tak powtarzali.

Pomimo wszystko cieszę się, że następnego dnia wracamy do Calgary, bo nie byłabym zachwycona ponownym spotkaniem Shigeru. Świętuję dobiecie targu, wypijając resztę wina, i kiedy wraca Heike, relacjonuję jej spotkanie z małym Japończykiem. Spotkała Shigeru na głównej ulicy.

- I co, nie zachowywał się dziwnie? Zauważył coś? - pytam przestraszona.

- Nie, nie sędzę. Nawet dziękował mi i był zachwycony. Powiedział: *Good business, fair price*.

Niesamowite. Szkoda, że nie wzięłam więcej podrobionych torebek. Ja i Heike znów zachowujemy się jak przed scysją w barze. Shigeru nie pojawił się więcej. Nie możemy powstrzymać się od śmiechu. Jeszcze w łóżku chichoczymy z tego i postanawiamy, że w Calgary przepuścimy w sklepach całą tę niespodziewaną sumkę, która spadła nam jak manna z nieba.

Heike wcale nie jest do śmiechu następnego dnia rano, kiedy wychodzi spod prysznicza i zaczyna poszukiwania worka z brudną bielizną. Zniknął. Plastikowa torba na rzeczy do prania ulotniła się. Kiedy ja zastanawiam się, gdzie mogłyśmy ją upchnąć, moja przyjaciółka mówi:

- Mój Boże. *Used wear!* Nie chodziło wcale o torebkę Louisa Vuittona. Wszystko jasne. Dlatego tyle zabulił. To był fetyszysta brudnej bielizny. Zabrał moją. Prawdopodobnie dlatego, że leżała na wierzchu. Torebka była tylko przykrywką.

Zbaraniałam. Shigeru ukradł brudną bieliznę Heike? I za nią zapłacił? Jakie to obrzydliwe! Teraz już rozumiem, dlaczego zniknął jak kamfora, kiedy wyszłam z łazienki. Jestem zszokowana.

- Nie masz pojęcia, jaki to rarytas w niektórych środowiskach w Japonii. - Heike zachowuje zimną krew. Kiedyś czytała artykuł na ten temat. Tysiąc dolarów za *used wear!* Używaną bieliznę! A fe! Co za ohyda. Ale dosyć lukratywna. Proponuję Heike, żebyśmy podzieliły się pieniędzmi. Ostatecznie gdyby nie ja, nie doszłoby do tego interesu, a Japończyk zabrał przecież też i moją torebkę.

W głębi duszy cieszę się, że przez pomyłkę wziął ciuszki Heike, nie moje. Myśl, co on może wyczyniać z tą bielizną, wprawia mnie w zakłopotanie. Nie chcę nawet wyobrazić sobie szczegółów. Heike zgadza się na połowę sumy i po początkowym wzburzeniu zaczyna się uspokajać, ja zaś czuję się jak handlarka brudami. Moja przyjaciółka tłumaczy sobie, że teraz ma więcej miejsca w walizce, poza tym nie była to jej najlepsza bielizna, a prawdopodobieństwo ponownego spotkania Shigeru gdzieś w Kanadzie jest raczej niewielkie. Heike jest praktyczną kobietą. Można się od niej wiele nauczyć.

Tak wyglądały najciekawsze przygody naszej krótkiej podróży poślubnej bez pana młodego.

Postanawiam dzisiaj nie leniuchować i zabrać się za sprzątanie - po trzech godzinach mieszkanie doprowadzone jest do względnego porządku i nadaje się do zaprezentowania. Udałoby mi się zrobić więcej, gdyby nie spontaniczna wizyta mojej teściowej, która wpada dokładnie wtedy, kiedy ścieram na mokro podłogi. Bez żalu przerywam to fascynujące zajęcie.

- Posłuchaj, serduszko, cały czas zastanawiam się nad tą dziwną historią z nogą. O co właściwie chodziło? - zasypuje mnie pytaniami.

Tak naprawdę miałabym ochotę wypowiadać się jej z całej tej żalnej historii - od samego początku. Choćby po to, żeby wreszcie zrobiło mi się lżej na sercu. Bo przecież gdy człowiek wyrzuci z siebie wszystko, zwykle doznaje ulgi. Podobnie jak po obficie zakrapianym wieczorze. Puszczanie pawia nie jest wprawdzie przyjemne, ale warto się pomęczyć, żeby później lepiej się poczuć.

Inge jest typem kobiety, która jak już się martwi, to całą sobą. A ja nie chcę, żeby się zamartwiała. Za bardzo ją lubię. Myśl, że relacje między mną a Christophem mogłyby się jeszcze bardziej popsuć i - w najgorszym wypadku - mielibyśmy się rozstać, złamałaby jej serce. Przy okazji mnie też. Moi teściowie są cudowni. Wokół wciąż słyszę same narzekania na upiorne teściowe, a ja od samego początku jestem ze swojej bardzo zadowolona. Obojętnie jak patetycznie to zabrzmiałoby, muszę przyznać, że Inge jest dobrym człowiekiem. Nie godzi się świadomie sprawiać bólu tak dobremu człowiekowi. Skrzętnie omijam więc temat i dla dobrej sprawy koncentruję się na zachowaniu pozorów, co wprawia mnie w świetny humor. Uspokajam ją, opowiadając o dużym, bardzo dużym nieporozumieniu, i co chwila podkreślam, że dzieciaki są zdrowe i nic im nie brakuje. Inge patrzy na mnie sceptycznie - od razu widać, że nie do końca mi wierzy. Na szczęście nie należy do tego gatunku teściowych, które nigdy nie dają za wygraną i wiercą dziurę w brzuchu aż do skutku.

- No dobrze, Andrea, skoro tak mówisz, muszę ci wierzyć. Ale jeżeli coś byłoby nie w porządku, pamiętaj, że zawsze możesz ze mną porozmawiać.

Po długich trzech kwadransach zbiera się do wyjścia. Pytam ją jeszcze, czy jutro (w pierwszy dzień mojej pracy - hura!) mogłaby odebrać dzieci ze szkoły i przedszkola. Zgadza się - z taką radością, jakbym dała jej wygraną w totka. Postanawiam jeszcze nic nie wspominać o nowym miejscu pracy. Znajac skłonność Inge do mówienia wszystkiego wprost, nie sądzę, żeby była w stanie zrozumieć, że do tej pory nie powiedziałam nic o tym jej synowi. Nie dopytuje też, dlaczego w ogóle potrzebuję kogoś do opieki nad dziećmi - za bardzo się cieszy. Dla niej każda okazja jest dobra, byle tylko mogła z nimi być. Wzięłaby je nawet na długie miesiące. Gdybym kiedykolwiek musiała przemierzyć wzdłuż i wszerz Saharę albo objąć kierownictwo nad stacją polarną, opiekę nad dziećmi miałabym zapewnioną. Inge i Rudi uważają nawet, że zbyt rzadko wolno im zajmować się wnukami. Właśnie, tak mówią: wolno im. Czyż to nie wspaniałe? Oboje z Christophem postanowiliśmy jednak nie wykorzystywać nadmiernie skwapliwości tych dwojga.

Odprowadzam Inge do drzwi. Ledwie znalazła się za progiem, w tym samym momencie Tamara, sąsiadka z naprzeciwka, wychodzi ze swojego domu. I oczywiście natychmiast kieruje się w stronę mojej teściowej. Jak na złość! Próbuję zapobiec najgorszemu, więc również wychodzę za drzwi i za plecami Inge daję Tamarze znaki. Kładę palec na ustach i potrząsam głową, co ma oznaczać: „Buzia na kłódkę. Ani słowa o zakrzepicy”. No tak, mogłam się tego spodziewać. Moja sąsiadka nie potrafi odczytywać subtelnych znaków.

- Ależ pani biedulka. To takie straszne! - wita Inge.

Inge jest poirytowana, co zresztą potrafię zrozumieć.

Muszę natychmiast wkroczyć do akcji, bo jeśli Tamara się rozkręci, teściowa pomyśli, że jestem chora na umyśle, i wtedy naprawdę ciężko będzie wybrnąć z całego tego bałaganu.

- Witaj - wchodzę jej w słowo. - Zapewniam cię, że Inge świetnie się czuje - mówię tak, jakby teściowa była głuchoniema.

Tamara jest zdumiona.

- Naprawdę szybko doszła pani do siebie. Znam kogoś, kto długie lata nie mógł się z tego wykaraskać.

Zanim padną te straszne słowa: „zakrzepica”, „noga” albo „szpital”, Inge musi natychmiast się ulotnić. Najchętniej własnoręcznie zakneblowałabym Tamarze usta i wepchnęła ją z powrotem do jej domu. Na dodatek to ja sama nawarzyłam sobie tego piwa. Mogłam przypuszczać, że tak skończy się ta afera. Wymyślne kłamstwa nigdy nie prowadzą do niczego dobrego.

- Inge, będziesz pamiętała o dzieciach? Nie zapomnisz odebrać ich jutro punktualnie?
- zmieniam temat.

Przy temacie dzieci Inge zwykle zapomina o bożym świecie.

- Oczywiście, Andrea. Nie rozumiem, czemu pytasz. Czy kiedykolwiek przyjechałam po nie za późno?

Prawda. Inge i Rudi są w przeciwieństwie do mnie nad wyraz punktualni. Tamara nie daje się jednak tak łatwo zbić z pantałyku.

- Jak miło z pani strony, że pomimo wszystko opiekuje się pani dziećmi. Naprawdę, godne podziwu.

Gdyby nie to „pomimo wszystko” zdanie byłoby w porządku. Inge spogląda podejrzliwie najpierw na mnie, potem na Tamarę i widać, że jest bardzo zdziwiona.

- Mnie też nie służy ta pogoda - mówi uprzejmie, a ja myślę, że to oznacza:

„Bredzicie kobiety, ale mam nadzieję, że wina leży w klimacie i nie dostałyście ani pomieszania zmysłów, ani nie zaczęłyście brać narkotyków”. Tak czy siak, nasza rozmowa była klasyczną, chaotyczną wymianą zdań nie na temat. Na szczęście ani razu nie padło słowo „zakrzepica”. Moja teściowa, zwykle chętna do pogawędek, tym razem rusza jednak w kierunku samochodu. Dobrowolnie. Może boi się, że się od nas zarazi, albo chce jak najszybciej zadzwonić do syna i zapytać, dlaczego jego żona papie o rzeczy. Wszystko jedno, najważniejsze, że już jej nie ma.

- O co chodzi? - pyta z zaciekawieniem Tamara.

Dalej trochę szachruję - wspominam coś o tym, że Inge niechętnie mówi o swojej chorobie i dlatego musiałam jej przysiąc, że nie będę z nikim o niej rozmawiała. Tamara nie może się nadziwić, bo zawsze odnosiła wrażenie, że moja teściowa jest wyjątkowo rozmowna i otwarta (i ma rację!). Udaje mi się ją jednak przekonać - Tamara należy do tych osób, które łatwo można wyprowadzić w pole - i wreszcie daje mi święty spokój.

Kiedy żegnam się z sąsiadką - moja podłoga ciągle czeka na odkurzenie i przetarcie na mokro, powinnam też jak najszybciej zadzwonić do Christopha, żeby poinformować go o swoim wyjściu z Sabine na wernisaż - drzwi zatrząskują się z hukiem. Ja stoję, rzecz jasna, na zewnątrz. Bez klucza. W zakrzepicowej panice zostawiłam go w mieszkaniu. Osoba, która ma zapasowy klucz do naszego domu, właśnie odjechała i nie używa komórki. To Inge. Szlag by trafił! Tego mi jeszcze brakowało!

- Zawsze ci powtarzałam, że jeden klucz powinnaś zostawić u nas. To całkiem sensowne, żeby zapasowe klucze były u sąsiadów - mówi Tamara, przyjaźnie oferując mi azyl u siebie.

I co teraz? Także kluczyki od samochodu wiszą na wieszaczku na klucze, gdzie jest zresztą ich miejsce, a ja zaraz muszę odebrać syna z przedszkola.

- Zadzwoń do Christopha, może uda mu się przyjechać - proponuje sąsiadka i podaje mi telefon. I co teraz? Przyznać się, że od paru dni kontaktujemy się ze sobą tylko z konieczności. I że pewnie dlatego nie będzie miał ochoty podjechać do domu, żeby otworzyć drzwi swojej roztrzepanej żonie?

- Myślę, że właśnie jest w sądzie, a wtedy ma wyłączoną komórkę - kłamię dalej, Tamara jednak jest uparta.

- Zadzwoń przynajmniej do kancelarii. Kiedy się odezwie, przekażą mu wiadomość. W tym momencie nie wpada mi do głowy ani jeden sprytny wykręt.

Dzwonię.

- Czy mogę rozmawiać z moim mężem? Mówi Schmidt, Andrea Schmidt - proszę, mając nadzieję, że Christoph rzeczywiście akurat jest w sądzie.

Mam pecha. Siedzi w kancelarii.

- Tak, cześć - mówi na powitanie.

Głos wolny od jakichkolwiek emocji. Brzmi tak, jakby rozmawiał z byłą klientką. Nawet nie chłodno, ale ekstremalnie rzeczowo. Trzeźwo do bólu. Przerazające. Gdyby mówił półsłówkami albo był wściekły, zachowanie takie świadczyłoby o targających nim emocjach, ale w tym głosie nie ma najmniejszego śladu uczucia i dlatego właśnie oblatuje mnie lekki strach.

- Drzwi mi się zatrzasnęły. Możesz na chwilę podjechać do domu i je otworzyć? - proszę tak miło, jak tylko potrafię.

- Ciężko mi będzie się stąd teraz wyrwać. Poczekaj chwilę. Muszę coś wyjaśnić. Może mi się jednak uda.

Łaskawca! „Może mi się jednak uda” - co za ton! Najchętniej odłożyłabym słuchawkę, ale Tamara patrzy na mnie tak wyczekująco, że nie mam wyjścia - muszę zdusić w sobie ten impuls. Christoph każe mi wisieć na telefonie i dobrą minutę słucham głupiej muzyki dla czekających na połączenie z kancelarią. Jałowa sieczka. Potem mój mąż lituje się nade mną:

- Dobrze, wpadnę na chwilę do domu - mówi, a w jego głosie słyszę wyraźne niezadowolenie. Wcale się nie dziwię. Nie oczekiwałam entuzjazmu.

- Czy mam odebrać po drodze Marka? - pyta mnie na koniec.

Zawsze to coś. Plus dla niego - pamięta jeszcze, że ma dzieci, i wie nawet, że zbliża się pora odebrania syna z przedszkola. Wyjątkowo dobry znak. Czytałam o tym kiedyś w kobiecej prasie. Ojcowie, którzy wiedzą, jak nazywają się przyjaciele ich dzieci, którzy potrafią zidentyfikować wychowawców i w przybliżeniu opowiedzieć, czym zajmują się ich

latorośle popołudniami, rzekomo interesują się sprawami rodzinnymi. Odpowiadam twierdząco na jego pytanie dotyczące odebrania Marka z przedszkola, po czym

Christoph obiecuje zaraz przyjechać. To była nasza najdłuższa rozmowa od wielu dni.

- Udało się, przyjedzie - informuję Tamarę.

W ciągu następnych pięćdziesięciu minut wysłuchuję opowieści o jej nadzwyczaj uzdolnionym synu, cudownym Emilu.

Zawsze lepsze to niż sterczeć na ulicy.

Pierwsza odkrywa ją Tamara.

- Kto siedzi z twoim mężem w samochodzie, na siedzeniu obok kierowcy? - dopytuje się.

- No, prawdopodobnie Mark, chociaż właściwie jest za mały, żeby siedzieć z przodu.

- Ona nie wygląda na dziecko. A już na pewno nie na Marka - mówi Tamara z tak komiczną nutą w głosie, że natychmiast zrywam się od kuchennego stołu.

Podchodzę do sąsiadki, która stoi przy oknie, i od razu wiem, co ma na myśli. A raczej - kogo ma na myśli. Z samochodu Christoph'a wysiada Belle Michelle. Nogi, jeszcze raz nogi, a dopiero piętro wyżej kołysze się cała reszta. Chociaż jeszcze nigdy nie widziałam jej na żywo, natychmiast ją rozpoznaję. Jest rzeczywiście piękniejsza niż na zdjęciach zrobionych przez Sabine, a gryzoniowate zębki z daleka w ogóle nie przeszkadzają.

Chyba zwymiotuję. Spontaniczne rzyganie wywołane szokiem - tak można by to nazwać. Christoph już kompletnie zszedł zmysły. Co on sobie wyobraża? Czyżby zatrzaśnięte drzwi do domu były optymalną, choć przypadkową okazją, aby tej zachłannej żmii przedstawić mojego syna? Czy może królowa kancelarii chce zobaczyć, gdzie będzie niedługo mieszkać? Czy powinnam ją z miejsca uśmiercić? Obojętne, z jakiego powodu wysiada z samochodu mojego męża - sam ten fakt jest niewybaczalny.

- Kto to taki? Wygląda nieziemsko. - Tamara nieświadomie leje werbalny spirytus na moją otwartą ranę.

- Ach ta - staram się zdobyć na najbardziej nonszalancki ton, na jaki mnie stać - to koleżanka Christoph'a. Wspominał, że z nią przyjedzie. Potem muszą jechać razem do sądu - następne z moich już niezliczonych kłamstw.

Mechanizm obronny w czystym wydaniu. Najchętniej zawyłabym, a potem zaczęła wrzeszczeć.

Jak ja wyglądam! W dresie do sprzątanania (luźne szerokie spodnie i powyciągany T-shirt!), natomiast Belle Michelle dla odmiany jak na państwowej wizycie dyplomatycznej - w opiętym oliwkowym kostiumiku i z wielkimi złotymi kołami w uszach. A teraz ta obrzydliwa łowczyni mężczyzn podnosi mojego syna z dziecięcego fotelika. Dosyć tego! Najpierw zastawiła sidła na męża, a teraz bierze się za syna! Rzucam się do drzwi i biegnę w stronę samochodu.

- To moje dziecko! - krzyczę nie bez wzburzenia.

Belle Michelle śmieje się, podchodzi do mnie (w butach na wysokim obcasie porusza się tak swobodnie jak ja w domowych kapciach, które notabene mam na nogach) i mówi:

- Wiem. Witam. Chciałabym się przedstawić, ja jestem ta Michelle.

Na powitanie odsłania rząd swoich malutkich jak u myszki ząbków. Wyglądają lepiej niż na zdjęciu. Gaszę w sobie pierwszy impuls, aby jej to powiedzieć, tłumię również ten, który podpowiada mi, żeby w ogóle z nią nie rozmawiać. Przypominam sobie jednak zasady dobrego wychowania i:

- Andrea, Andrea Schnidt, żona Christoph'a. Witam. - Niech będzie jasne, jakie każda z nas ma prawa. Kto wie, może ta kobieta nie straciła do cna poczucia moralności i przyzwoitości.

- Cieszę się, że możemy się wreszcie poznać - uzupełnia.

Mimo mojego dobrego wychowania nie potrafię odwzajemnić tych uprzejmości.

Rzucam Christophowi spojrzenie, pod którym zamarzlby nawet Eskimos, a on daje mi do ręki klucze.

- Opowiadałem ci o Michelle, prawda? Byliśmy właśnie w drodze na umówione spotkanie i pomyślałem sobie, że załatwię dwie sprawy za jednym zamachem.

Bardzo sprytnie! Pomysł wręcz godny Nagrody Nobla! Wyciągam rękę po klucz, przytrzymuję syna i otwieram drzwi. Kiedy już mam w ręku swój klucz, oddaję Christophowi jego własny i mówię, starając się zachować zimną krew:

- Dziękuję, Christoph. Przy okazji, muszę wyjść dziś wieczorem, umówiłam się z Sabine. Możesz być ze względu na dzieci około siódmej w domu?

Jęczy. Odgłos, którego dawno już nie słyszałam w innych sytuacjach typowych dla małżeńskiego pożycia. Mój mąż odwraca się do stojącej przy schodach Belle Michelle i mówi:

- Moglibyśmy załatwić to tutaj? Omówić sprawę Rendschmera?

Ona przytakuje:

- Nie ma problemu. Jeśli twoja córka jest tak samo słodka jak ten malec, to nawet bardzo chętnie. - Mówiąc to, bawi się włosami mojego syna, któremu najwyraźniej podoba się ta pieszczota! Co to ma znaczyć? Czy ja aby dobrze zrozumiałam? Chcą zorganizować sobie w moim domu romantyczny wieczór, podczas gdy ja będę sterczeć z Sabine na wernisażu?

- Dobrze, skoro Michelle jest tak miła, nie widzę przeszkód, będziemy tu o siódmej.

Brakuje jeszcze, żeby zasugerował mi przygotowanie paru kanapeczek i powleczenie świeżej pościeli. Najchętniej rzuciłabym się na podłogę i zaczęła walić nogami. To irytujące, że dorosłemu człowiekowi nie przystoi takie zachowanie. A może po prostu powinnam przyłożyć jej parę razy?

Albo najpierw postawić do pionu swojego męża? W głowie roją mi się nieprzyjemne obrazy. Film dozwolony od lat osiemnastu z moim mężem i Belle Michelle w rolach głównych. Christoph mówi jeszcze:

- W takim razie wszystko jasne. I jeszcze jedno: jeśli chcesz wyjść dziś wieczorem, powinnaś się raczej przebrać.

Gadzina Belle Michelle obciąża zakiet i chichocze cichutko. Jestem tak roztrzęsiona, że nie potrafię zdobyć się na jakąkolwiek reakcję. Bezcelność - to słowo zbyt delikatne na określenie takiego zachowania. Przecież to rodzaj werbalnego ukamienowania.

Kiedy odwracam się bez słowa komentarza i wchodzę do domu, słyszę, że Christoph idzie za mną. Ona również.

- Przepraszam was, ale muszę pójść do łazienki - mówię, koncentrując się na regularnym wdychaniu i wydychaniu powietrza.

Biorę opierającego się Marka za rękę i z trudem prowadzę go na górę. Na piętrze spędzam około pięciu minut. Słyszę z daleka sygnał swojej komórki. Siedzę w pokoju syna i gapię się ze stoickim spokojem na statek piracki z serii Playmobil, tak jakbym nigdy wcześniej go nie widziała. Czuję się oszołomiona. Mark zauważa, że coś jest ze mną nie w porządku, i pyta:

- Jesteś chora?

Kiedy nie odpowiadam, zaczyna mówić mi coś o Michelle, w rodzaju: „Bardzo piękna i bardzo kochana”. Co ta kobieta ma w sobie, że wszyscy mężczyźni (nawet przedszkolaki) już przy pierwszym spotkaniu zamieniają się w zahipnotyzowane króliczki, a potem, najpóźniej po przejściu okresu dojrzewania, zaczynają ślinić się na jej widok.

Kiedy na dole zatraskują się drzwi - żadne z nich nie woła „cześć” na pożegnanie - a parę sekund później rozlega się warkot silnika, wybucham płaczem.

- Ja jestem twoją mamą - szlocham, a mój syn patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

Obejmuje mnie małymi ramionkami i mówi tylko:

- No jasne.

Rozczulam się nad sobą i oddaję bez reszty czarnej rozpacz. Płaczę dobry kwadrans, aż słyszę dzwonek do drzwi. To Claudia. Wciągam ją do domu, wycalowuję, jakby wróciła właśnie z długiego, wielotygodniowego pobytu w domu dziecka. Nie pozwolę jej sobie odebrać. Claudia jest skonsternowana. Moje powitania zazwyczaj nie są aż tak teatralne.

Teraz czuję się już lepiej. Muszę tylko odpowiednio przygotować dzieci na wieczór. Mam zamiar zgotować gruchającym gołąbeczkom niezłą niespodziankę na ich dzisiejszą romantyczną randkę. Muszę wymyślić na popołudnie coś takiego, żeby dzieciaki wieczorem były jeszcze rozbrykane. Belle Michelle powinna się przekonać na własne oczy, jaką wesołą ferajnę sobie przygruchała. Fakt, że mój mąż ani się nie pożegnał, ani nie wszedł na chwilę na górę, jest dla mnie jednoznacznym sygnałem.

Na dzisiejsze popołudnie zapraszam więc kilku małych przyjaciół moich dzieci. Zastanawiam się długo i rozmyślnie wybieram najbardziej rozbrykane i nieokiełznane dzieciaki, jakie znam. Dla każdego po troje. Ośmioro powinno wystarczyć, żeby wywrócić dom do góry nogami. Ich mamom mówię, że mogą spokojnie odebrać swoje pociechy kwadrans po siódmej. Wszystkie są zachwycone. Wolny wieczór wprawia w euforię większość matek (przynajmniej tych, które są jeszcze przy zdrowych zmysłach!). Irytujące jest tylko to, że akurat dziś wysprzątałam prawie cały dom. Kiedy przewali się przez niego ta horda brzdąców, po porządkach nie pozostanie ani śladu. Z tego chociażby powodu nie kończę ich, tylko rzucam się w wir zajęć, których celem jest doprowadzenie do ładu mojej własnej osoby. Belle Michelle zdziwi się, jakiej metamorfozy potrafię dokonać w ciągu jednego popołu-

dnia. Nigdy nie zobaczy mnie już w takim stanie jak przed chwilą. To będzie scena niczym z bajki o Kopciuszku.

Znów się odzywa moja komórka. Kolejny SMS od Helmutha. „Dlaczego nie odpowiadasz? Cierpię, bardzo cierpię!”. Zachowuje się tak, jakbym obiecała mu małżeństwo, a on wysłał mi już tuzin SMS-ów. Faktycznie, przecież kiedy wyłam w pokoju dzieciennym, komórka już raz się odezwała. Otwieram skrzynkę odbiorczą i rzeczywiście - jedna wiadomość umknęła mojej uwadze. „Tęsknię za Tobą, moja piękna, cudowna! Twój Helmuth”. Ale dlaczego nie widziałam komunikatu o przyjęciu tej wiadomości? Moja wiedza techniczna nie jest może powalająca, ale wiem przecież, że aby wiadomość mogła znaleźć się w skrzynce odbiorczej, najpierw musi zostać przeczytana. Kto czytał SMS-a do mnie?

Czyżby Christoph? Pozwala sobie na przeglądanie zawartości mojej komórki? Jeśli rzeczywiście to zrobił, tłumaczyłoby to wiele. Na przykład dlaczego nie pożegnał się, wychodząc z domu. Wyobrażam sobie, jak bym ja przeczytała w jego komórce SMS-a o treści: „Tęsknię za Tobą, mój piękny, cudowny”. Myślę, że przepaliłyby mi się wszystkie bezpieczniki. Z drugiej strony, pojawienie się Christopha z Belle Michelle, jego głupie uwagi - wszystko to wydarzyło się, zanim przeczytał tę wiadomość. Czy powinnam mu się wytłumaczyć? Cała się wprost gotuję. Jeśli zdecyduję się na wyjaśnienia, będę zmuszona wspomnieć również i o tym, że od jutra zostanę jego nową koleżanką z biura i że Helmuth jest moim pośrednikiem pracy. Oczywiście, fakt ten nie tłumaczy, dlaczego umówiłam się właśnie z nim i dlaczego on pisze mi gorącej treści SMS-y. Skomplikowana historia. Ale przecież umówiłam się z Helmuthem dlatego, że Christoph romansuje z Belle Michelle. Szczerze mówiąc, chociażby już za dzisiejszy występ zasłużył na karę. Bo czy można sobie wyobrazić coś gorszego niż przyprowadzenie do domu potencjalnej rywalki? Nie.

Dlatego postanawiam nie dzwonić do Christopha z wyjaśnieniami. Jeśli chce się czegoś dowiedzieć, zawsze może zapytać. Albo - zależnie od tego, jak wypadnie powitanie dzisiejszego wieczoru, zdecyduję, czy uzyska ode mnie jakiegokolwiek informacje, czy nie.

Popołudnie mija mi spokojniej niż zwykle. Po prostu w ogóle nie martwię się tym, co wyrabia na dole stado rozbrykanych dzieciaków.

- Weźcie sobie słodczy z szuflady, co kto chce. Możecie się bawić w domu i na zewnątrz wszystkim, co tylko znajdziecie.

Dzieci, włącznie z moimi własnymi, patrzą zdębiałe. Zwykle jestem raczej sroga, a tu taka niespodzianka! Komunikatu typu: „Możecie robić, na co macie ochotę”, nie trzeba dzieciom powtarzać dwa razy. Jedną regułą wprowadzam jednak dzisiejszego popołudnia: „Musicie przestrzegać tylko jednej zasady: zostawiacie mnie w spokoju i nie bawicie się ogniem!”. Dzieciaki kiwają posłusznie głowami i już nie mogą się doczekać, kiedy zostawię je same.

Trudno mi powstrzymać się od biegania co pięć minut na dół i kontrolowania zabaw małej bandy. Dźwięki dochodzące z dołu nie wróżą niczego dobrego. Słyszę szum wody z kranu i mam tylko nadzieję, że parter nie jest jeszcze doszczętnie zalany. Wprawdzie daleko mi do stanu całkowitego odprężenia, które przy takim poziomie hałasu jest wręcz niemożliwe, ale udaje mi się przynajmniej nie zbiegać do dzieci co chwilę i nie krzyczeć na nie. Być może to najlepsze rozwiązanie w przypadku wizyt takich małych gości - po prostu zostawić je w spokoju i pogodzić się z tym, że posprzątanie z grubsza największego bałaganu zajmie nam minimum pół godziny. Wtedy człowiek nie denerwuje się bez przerwy, tylko raz, a dobrze.

Doprawdy miłe popołudnie! Jedyne dwa razy jestem przywołana do wytarcia pupy - obcym! - dzieciom, poza tym czuję się jak na wczasach. Między jednym a drugim zejściem na dół, kiedy znów golę sobie nogi (gdyby wszystko tak dobrze się udawało jak owłosienie na moich nogach!), dopadają mnie wyrzuty sumienia. Biedny Christoph. Ze względu na mnie wraca wcześniej do domu, a w podzięce zastanie na powitanie ośmiorgo rozbrykanych dzieci i chlew. Żeby nie ulec współczuciu, szybko przywołuję w pamięci spotkanie z Belle Michelle. Jestem - muszę się przyznać - kobietą mściwą. Ale w porównaniu z innymi jeszcze umiarkowanie. Czytałam już o kobietach, które puszczają z dymem samochody swoich mężów, tną na strzępki ich rzeczy albo sprzedają na internetowej giełdzie kolekcję modeli samolotów. Tak, w porównaniu z nimi jestem wręcz łagodna jak baranek. Mógł trafić gorzej. Okay - może nie ma modeli samolotów, ale widok płonącego bmw - jego własnego - na pewno zwaliłby go z nóg.

Okolo wpół do siódmej zbieram się na odwagę i schodzę na dół. Własnym oczom nie wierzę. Dzieci narobiły mniej rozgardiaszu, niż przypuszczałam, i siedzą zgodnie przed telewizorem. Daje się im szansę robienia, czego tylko dusza zapragnie, a one siedzą przed gadającą skrzynką. Właściwie wszystko wkoło wygląda zupełnie przyzwoicie. Przynajmniej

w salonie. Kuchnia natomiast jest jak pole bitwy. Wszędzie pełno brudnych szklanek, dookoła leżą puste opakowania, okruchy po ciastkach, a na kuchennym blacie pełno kleksów z musli i marmolady. W pierwszym odruchu chcę chwycić za ścierkę. Opanowuję się z wielkim wysiłkiem, bo w zasadzie taki stan kuchni bardzo mi odpowiada. Christoph przyjdzie do domu z Belle Michelle, najpierw zajrzy do salonu, a potem, w kuchni, oczekiwać go będzie ta miła drobna niespodzianka. Zanim odda się bez reszty towarzystwu Belle Michelle, będzie miał co nieco do roboty. Myśl o tym sprawia mi niemałą satysfakcję. Ja wychodzę, a on może zająć się kuchnią. Belle Michelle ze zmywakiem i szufelką - co za piękna wizja!

Sabine zadzwoniła jeszcze raz po południu i powiedziała, że na wernisaż powinnam zrobić się na bóstwo, po czym pół godziny uzgadniałyśmy szczegóły naszych strojów. Ona lubi przy takich okazjach przesadzać. Choć wielokrotnie powtarzała mi, że wernisaż to wykwinna impreza, sama włożyła pewnie różową bluzkę, różowe szpilki, a do tego czarne dzinsy rurki. Zdaniem Sabine, za nic nie powinnam wyglądać jak mamuśka z przedmieścia. Mamuśka z przedmieścia? Poczułam się lekko obrażona. Mówi tak, jakbym przez całą dobę biegła w legginsach i zdrowotnych klapkach z kolcami. Co nie jest do końca prawdą.

Przyznaję jednak, że nie należę do matek, które na każde wyjście do przedszkola stroją się jak na randkę. To zbyt pracochłonne. A może jestem po prostu za bardzo leniwa. Uważam, że jednym z niewielu plusów klasycznej egzystencji gospodyni domowej jest właśnie to, że nie musimy od samego rana nakładać w kunsztowny sposób żadnych cieni na opuchnięte powieki. W życiu, jakie prowadzę, w świecie legginsowych kreacji, wystarczy trochę tuszu do rzęs, błyszczczyk do ust (jeśli jest akurat pod ręką) i gumka do związania włosów-strąków, które tak na marginesie wyglądają okropnie. Ich stan odzwierciedla mniej więcej moje samopoczucie. Włosy - metafora mego życia. Zwisają żałośnie na wysokości brody, końce nie są wycieniowane, tylko wyskubane i jedynie kolorowe pasemka dają jaki taki efekt. A przecież tak się dziś starałam - po prysznicu nałożyłam na nie wszystko, co tylko miałam do modelowania włosów. Nie, tak na pewno nie mogę iść. Znów zdecydowanym ruchem wsadzam głowę pod strumień wody (dość przykra operacja, jeśli makijaż jest już gotowy) i zostawiam je, by wyschły same.

Kiedy do drzwi dzwoni Sabine, otwieram jej z mokrymi włosami.

- Och, *wet look* - wita mnie. - Wygląda sexy!

Do torebki pakuję tubę żelu, w razie gdyby suszenie na powietrzu nie zdało egzaminu. Pod względem barwności stroju w niczym dzisiaj nie ustępuję Sabine. Jestem cała w turkusach. Kolczyki, buty (tak wysokie, że miałabym szansę sięgnąć do kosza na boisku bez wyskoku) i obcisła bluzka ze wspaniałym dekoltem. Do tego białe biodrówki i kusa dżinsowa kurteczka. Wyglądamy jak dwie mieszkanki z przedmieścia gotowe do wyjścia na dyskotekę.

- Możemy już jechać? - pyta mnie Sabine.

- Jeszcze nie ma Christopa - wyhamowuję jej pośpiech, po czym siadamy na chwilę w salonie.

- O mój Boże - rzuca Sabine z przerażeniem, widząc zgraję dzieciaków.

Moja przyjaciółka twierdzi, że lubi dzieci, ale więcej niż dwoje na raz napędza jej strachu.

- One są tak nieobliczalne - wyznaje. - Takie głośne i klejące.

Kiedy słyszę podjeżdżający pod dom samochód Christopa, żegnam się z moim małym prywatnym przedszkolem, które mniej więcej od dziesięciu minut uparcie dopomina się jedzenia.

- Zaraz przyjedzie tata i coś wam przygotuje - mówię, dobrze wiedząc, że dzieci z europejskich przedmieść rzadko bywają tak wygłodniałe, by liczyła się każda minuta.

Zanim odwracam się w stronę drzwi, mój syn pyta jeszcze, czy przyjdzie ta miła piękna pani, którą widział dzisiaj przed południem, a ja mam w tym momencie ochotę walić głową w ścianę. Mark, który zwykle już w drodze na piętro zapomina, po co tam właściwie idzie, wciąż pamięta dziesięciminutowe spotkanie z Belle Michelle! Ta kobieta wystawia mnie na ciągłe próby.

Wychodzę z Sabine przed dom, aby zapobiec jakimkolwiek dyskusjom. Jeśli bowiem Christoph zobaczy, co się w nim dzieje, wątpię, czy pozwoli mi tak po prostu pójść.

- Witam panie - mówi tylko i lustruje mnie dokładnie z góry na dół.

Jak gdyby potem miał opisać mnie policji kryminalnej. Spojrzenie przeszywające na wskroś. Trudno wyczytać z jego twarzy, czy mój wygląd mu się podoba.

- A gdzie twoja Michelle? - To jest jedyna rzecz, jaka mnie teraz interesuje.

- Musiała coś załatwić. Przyjedzie później, jeśli w ogóle - odpowiada Christoph i wygląda przy tym na bardzo zasmuconego.

Tylko dlaczego? Bo ja wychodzę czy może Belle Michelle wystrychnęła go na dudka? Czyżby odezwało się w niej sumienie czy też nie spodobał się jej nasz dom? To był odpowiedni moment, by powiedzieć: „Skarbie, zostanę z tobą”.

Jedno jego słowo, a zapomnę o wernisażu. Nie mówi jednak nic. Żadne z nas nie umie zrobić pierwszego kroku. Może potrzebujemy wsparcia? Terapii małżeńskiej? Potrzebna nam profesjonalna pomoc? Czy też dokonuję projekcji własnych oczekiwań na jego najwyraźniej kiepski humor? Gdybym miała dowód, że przeczytał SMS-a od Helmutha, byłabym bardziej pewna swego. Ale jeśli spytam o to Christopha, wieczór będzie z głowy. Dlaczego ten facet jest tak uparty? Dlaczego nie może wyjść mi naprzeciw? Dziwne, że zwykle oczekujemy od innych ludzi tego, do czego sami nie jesteśmy zdolni. Przyznaję się bez bicia.

- Cześć, dziewczyny - żegna się z nami Christoph, a ja niemal już na ulicy mówię do niego:

- Dzieci zostaną odebrane za kwadrans. Najpóźniej za kwadrans.

Niech ma jakieś pojęcie, co go czeka w kuchni. Wychodzę z Sabine, lecz mam wyrzuty sumienia. Jakoś tak źle się z tym czuję. Ten cały chlew był przewidziany dla duetu Christoph i Belle Michelle. Na pewno nie dopuściłabym do takiego bałaganu, gdybym wiedziała, że ona nie przyjedzie. Chociaż, z drugiej strony, już za sam zamiar sprowadzenia jej do domu mój mąż jak najbardziej sobie na to zasłużył.

Waham się. W jednej minucie chciałabym go wziąć w ramiona, wycalować i uwierzyć, że znów wszystko będzie dobrze. Jednak już po chwili, żadna jego skruchy i pokuty, snuję nowe plany zemsty.

Sabine odwraca moją uwagę od Christopha. Pękając z dumy, wręcza mi w samochodzie zaproszenie na wernisaż. Rysunki i instalacje Philippa Markera i Borisa Heiznera, dwóch absolwentów Akademii Sztuk Pięknych. Młodzi artyści. Och, będzie na co popatrzeć!

- Dostaniemy coś do jedzenia? - pytam, bo pierwszy raz po wypadzie do „Sirtaki” czuję, że dopada mnie lekki głód.

Sabine nie ma pojęcia.

- A skąd mam wiedzieć. Przecież nigdy nie chodzę na wernisaże. Zobaczymy. W razie czego pójdziemy coś zjeść potem. Poza tym wcale by nam nie zaszkodziło, gdybyśmy jednego wieczoru darowały sobie kolację.

Jeśli tak na to patrzeć, ma rację. Poza tym mój żołądek ciągle jeszcze nie doszedł do siebie.

Kiedy wchodzimy do sali - małej galerii przy Braubachstrasse, zaraz przy ratuszu - jedno staje się od razu oczywiste: ani ja, ani Sabine nie mamy bladego pojęcia, co nosi się w świecie sztuki. Stoimy tam w tych naszych różach i turkusach i wyglądamy jak barwne plamy na całkowicie czarnym tle. Jedna z kobiet ma ciemnoczerwone okulary i jest to jedyny ślad koloru w tym ponurym otoczeniu. Trudno oprzeć się wrażeniu, że towarzystwo zebrało się tu jak na stypę. Nie mogę sobie darować, że uległam Sabine i dałam się namówić na ten styl. Zaraz po przekroczeniu progu galerii znajdujemy się w centrum uwagi większości zebranych. Nie mogłybyśmy przyciągnąć więcej spojrzeń, nawet gdybyśmy pojawiły się tam nago. Wszyscy się na nas gapią. Na wszelki wypadek staram się przybrać przyjazny wyraz twarzy i mówię ogólne: „Dobry wieczór”.

Jako wstęp chyba jak najbardziej na miejscu. Parę osób odpowiada mi lekkim skinieniem głowy. Reszta zachowuje się tak, jakby nic nie słyszała. Czeka nas fantastyczny wieczór! Nigdy nie czułam się jeszcze tak małomiasteczkowo! Tu wszyscy mają takie poważne miny, jakby każdy z nich był nie wiem jakim znawcą sztuki i od rana do wieczora studiował międzynarodowe felietony. Albo sam je pisał.

- Chodźmy stąd - próbuję przekonać Sabine.

Za późno. W najbardziej oddalonym kącie galerii ona dostrzegła już swoją potencjalną ofiarę. Jej spojrzenie zdradza obiekt pożądania: wysoki chudzielec z kozią bródką. Kapituluje, bo wiem, że jeśli Sabine wypuści się na polowanie, nic jej nie zatrzyma, dopóki sama nie uzna, że czas zakończyć łowy.

- Rozejrzę się - mówi tylko i już kieruje się w jego stronę.

Moja przyjaciółka jest jak giez - bada położenie, krąży wokół ofiary i dopada ją, zanim ta się obejrzy. Gzy nie gryzą, ale wrywają małe kawałeczki ciała i są bardzo, ale to bardzo natrętnymi owadami.

Czy Sabine niczego nie widzi? Nie zauważa tej atmosfery? Czuję się jak Paris Hilton między laureatami Nagrody Nobla i złoścuję się z powodu braku pewności siebie. Co te typki sobie wyobrażają? Biorę z bufetu szklaneczkę białego wina z wodą mineralną. Nie ma zresztą specjalnie dużego wyboru. Woda, białe wino albo właśnie wino z wodą.

„No i co teraz, Schmidt?” - myślę sobie.

Stoję ze szklanką w rękę i staram się nie zwracać na siebie uwagi. Sabine ma znacznie mniej zahamowań. Już udało się jej wciągnąć kozią bródkę w rozmowę. Mnie nie zagadnęła ani jedna osoba, mam dosyć tego sterczenia - wydaje mi się, że minęła cała wieczność - postanawiam więc obejrzeć sobie tę sztukę. Skoro już tu trafiłam, przynajmniej zrobię coś dla poszerzenia własnych horyzontów.

Rysunki są bardzo oszczędne w formie. Cienkie ślady ołówka na białym papierze. Bardzo proste linie, jakby pociągnięte przy linijce. Czasami tworzą trójkąt, czasami się krzyżują, ale zawsze są to tylko linie. Na każdej kartce widnieje maszynowo zapisane zdanie. Pod trójkątem na przykład: „Piłka jest okrągła”. Hmm. Nie wiem, co o tym sądzić. Nie znoszę, kiedy ludzie (na przykład mój ojciec) mówią bez sensu: „Też bym tak potrafił” albo „Dzieci w przedszkolu malują lepiej”, ale muszę przyznać, że mnie również w tej chwili przychodzą podobne myśli do głowy. Kiedy oglądam takie dzieła, wiem z całą pewnością, że nie polubię nowoczesnej sztuki - choćbym bardzo chciała. Jak to się mówi: głową muru nie przebijesz.

Siwowłosa mężczyzna około pięćdziesiątki, w czarnej sztruksowej marynarce, zabiera głos. Z całą pewnością to szef galerii.

- Drodzy przyjaciele sztuki - wita zebranych gości, a ja czuję się jak przyłapana na gorącym uczynku - jestem niewłaściwą osobą w niewłaściwym miejscu.

Trudno mnie nazwać przyjaciółką sztuki. Określenie „ignorantka” byłoby bardziej trafne. Mówca jest dumny, że może zaprezentować w swojej galerii prace obu artystów, ponieważ niewątpliwie czeka ich wielka przyszłość. Przy słowie „przyszłość” następuje coś, co mnie jeszcze bardziej pogrąża. Dzwoni moja komórka. Najgłośniej jak się da, rozlega się mój nowy dzwonek - melodia z serialu *Gotowe na wszystko*. Wszyscy gapią się na mnie. Z takim przerażeniem, jakbym wręcz napluła na te ich dzieła sztuki. Próbuję bez spoglądania na klawiaturę wyłączyć telefon, ale bałagan w torebce nie pozwala mi na to. Szepczę „przepraszam” i wybiegam z galerii. O Boże, ale żenada. Kiedy jestem na zewnątrz, komórka przestaje dzwonić. Nie mam pojęcia, kto mnie tak okrutnie skompromitował. Numer zastrzeżony. Teraz mogę sterczeć jak głupia na dworze i czekać, aż Sabine dojdzie do porozumienia z kozią bródką, albo zebrać się na odwagę i wejść z powrotem do środka. Nie mam pojęcia, dlaczego wkurza mnie taki typ ludzi. Aroganckie patafiany. Przecież równie dobrze można było na tę wpadkę z komórką zareagować śmiechem. W końcu nie zakłóci-

łam podniosłej ceremonii pogrzebowej, choć wszyscy patrzyli tak, jakbym istotnie dopuściła się karygodnego czynu. Powinni spojrzeć krytycznie na samych siebie, dobrze by to im zrobiło - myślę, po czym zbieram się w sobie i wracam do galerii. Ja, Andrea Schmidt, przeżyłam gorsze rzeczy i przetrzymałam już wiele.

Przemówienie tymczasem dobiegło końca, a Sabine dalej prowadzi ożywioną rozmowę z kozią bródką. Kontynuuję rundkę wokół sali, kontemplując dzieła i wtedy podchodzi do mnie pewien sympatycznie wyglądający typ. - Jak się pani podoba? - pyta mnie. Patrzę na niego uważnie. Nie wygląda na całkiem szurniętego pseudointelektualistę jak reszta zebranego towarzystwa. Właściwie wydaje się nawet całkiem sympatyczny. Ma na sobie dżinsy, sprany T-shirt i ciemną pogniecioną marynarkę z aksamitu. Włosy do ramion, tak jak moje, ale co najmniej dwa razy bujniejsze. Co za rozrzutność! Na co mu tyle włosów? Trzydniowy zarost, który zazwyczaj uważam za dowód zaniedbania, jemu nadaje charakteru. Poza tym jako jeden z nielicznych nie ma na nosie okularów w czarnych oprawkach.

- No cóż - odpowiadam ostrożnie - nawet dosyć interesujące.

Patrzy mi w oczy i uśmiecha się szeroko.

- Interesujące? - pyta nie bez nuty ironii.

Tak jakby nabijał się z obrazów. Albo z mojej uwagi. Bo określenie „interesujące” to największa wata słowna pod słońcem. Czy nie mówi się tak, jeśli ktoś uważa coś za paskudne, ale nie chce się do tego przyznać?

- Kupiłaby pani któryś z tych obrazów i powiesiła w salonie? - pyta mnie dalej i chociaż, jakby była to rzeczywiście idiotyczna myśl.

Przyglądam się jeszcze raz dokładnie jednemu z obrazów. Tym razem widzę trzy równoległe, pociągnięte ołówkiem kreski, proste jak sznurek, a poniżej napis: „Wszystko ma swój koniec”. Na dole widnieje drobnym drukiem cena: 480 euro. Właściciela galerii opuścił najwyraźniej rozsądek. Nie mam nic przeciwko sztuce, ale prawie pięćset euro za trzy kreski i jedno banalne zdanie wydaje się mocno przesadzoną ceną. Postanawiam powiedzieć prawdę albo przynajmniej się do niej zbliżyć.

- W żadnym wypadku bym tego nie kupiła. Te rysunki mają w sobie coś z gryzmołów zainspirowanych Hermannem Hesse i mających się za genialne artystki nastolatek przechodzących burzę hormonów.

Nastolatki podczas burzy hormonów zafascynowane twórczością Hermanna Hessego. Taka opinia jest w każdym razie bogatsza w treść niż słowo „interesujące”. Mój rozmówca ciągle szczerzy zęby. Myślę, że trafił mi się podobnie myślący. Serwuję w takim razie dokładkę.

- Według mnie mało w tym sztuki. Lubię, kiedy ktoś potrafi malować. Albo robić świetne zdjęcia. Ale te obrazy tutaj wydają mi się bez sensu. Pociągnięcie trzech linii raczej nie może być trudne.

Wyciągam w jego stronę rękę i mówię:

- Jestem Andrea, Andrea Schnidt. Miło mi poznać pana w tym dziwnym towarzystwie.

Kiedy on już otwiera usta, żeby mi odpowiedzieć, woła go właściciel galerii.

- Philipp, możesz podejść, proszę? Ktoś chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o twoich obrazach.

Mój rozmówca śmieje się głośno, odwraca się do mnie i mówi:

- Jestem wdzięczny za pani opinię. Bardzo pouczająca.

I znika. Wspaniale! Rozmawiałam więc z samym artystą i powiedziałam mu właśnie, że tworzy absurdalne obrazki i że nigdy nie kupiłabym czegoś takiego.

Najwyższy czas, żeby stąd pójść - mam w nosie kozią bródkę. Idę do Sabine i odciągam ją za rękaw na bok. Niestety, ona potyka się trochę - nic dziwnego, w takich morderczych szpilkach - i trąca nogą jakieś krzywe wiklinowe krzeselko dla dzieci, oparte o ścianę. Stawiam je szybko na miejsce i wtedy dostrzegam napis: „Krzesło dziecięce - instalacja Borisa Heiznera”. Myślę, że zaraz mnie stąd wyrzucą. Z powodu powszechnego oburzenia, jakie wzbudzam. Najpierw obrażam artystę numer jeden, a potem niszczę dzieło artysty numer dwa. Sabine, obserwując mnie, chyba wreszcie rozumie, że lepiej będzie, jeśli się stąd wyniesiemy. Zapisuje jeszcze koziej bródce swój numer telefonu i wychodzimy. Philipp, mój artysta, woła za mną „cześć”. Może to rzeczywiście gość z poczuciem humoru? Może nawet ma świadomość, że tworzy bohomyzy? Wszystko jedno - chcę jak najszybciej stąd wyjść.

W drodze do samochodu Sabine rozplywa się w zachwytach nad kozią bródką. Ma na imię Ben i jest redaktorem w jednym z wydawnictw.

- Mój Boże, taki wykształcony, niesamowite. A przy tym taki miły. Umówiliśmy się.

Przynajmniej dla jednej z nas wypad na wernisaż został uwieczniony sukcesem. Ja natomiast doszczętnie się skompromitowałam. Czy to ma być kara za moje niewłaściwe zachowanie na domowej niwie? Nawet buty mnie cisną. Tak jakby wszystko, łącznie z moimi butami, sprzysięgło się przeciwko mnie - żebym tylko się dobrze nie bawiła.

- Chyba najchętniej wróciłabym do domu. Poza tym umieram z głodu - mówię do Sabine. Jest wyraźnie zawiedziona.

- Już teraz? No co ty, Andrea, w żadnym wypadku. Jedźmy do mnie i przynajmniej wejdźmy razem na czat. Proszę... Tak bardzo cieszyłam się na nasz wspólny wieczór, a teraz przez ciebie musiałam porzucić superfaceta. Jesteś mi winna towarzystwo na resztę wieczoru.

W dużym stopniu ma rację, ale chyba już zapomniała, że to ona przewróciła to nieszczęsne dziecięce krzeselko, czytaj: artystyczną instalację. Chyba już nic gorszego nie może zdarzyć się tego wieczoru. Zgadzam się więc na propozycję Sabine głównie dlatego, że obiecała wyczarować coś do jedzenia.

Jedziemy do niej do domu. Mieszka w mieście, tam, gdzie zwykle mieszkają single, czyli w Sachsenhausen. Tym bardziej miło z jej strony, że na dzisiejszy wernisaż specjalnie po mnie przyjechała. W tę i z powrotem do miasta. Czuję się już trochę od niej uzależniona.

- Zobaczysz, jak świetnie można się bawić na czacie. Poznałam na nim faceta, który robi naprawdę dobre wrażenie - cieszy się.

Sabine szybko się do wszystkiego zapala. Można powiedzieć: łatwopalny materiał. W sferze nawiązywania kontaktów można ją porównać do poliestru, ja tymczasem jestem bawełną. Potrafi zachwycać się mężczyznami, na których nawet nie zawiesiłabym oka. Poza tym głosi teorię, że ci raczej niepozorni mężczyźni potrafią być naprawdę wdzięczni, gdy się ich wreszcie wysłucha. Być może, ale wdzięczność to przecież nie wszystko.

Jedziemy mostem przez Men. Sachsenhausen jest ładną dzielnicą miasta, uważam nawet, że to najładniejsza część Frankfurtu. Jeśli kiedykolwiek miałabym zostać sama, chciałabym tam zamieszkać. Pełno tu winiarni i kafejek; jest też porządna ulica handlowa. W Sachsenhausen można załatwić i kupić wszystko, nie trzeba specjalnie jeździć do centrum. Sabine ma niewielkie mieszkanie na czwartym piętrze - w starym budownictwie, z malutkim balkonem.

Ledwie wdrapałyśmy się na górę (obie na bosaka, z butami w rękę), Sabine już włącza komputer i po kilku minutach szepcze:

- Jest. Jest na czacie! Chodź tutaj. Zostaw wreszcie te swoje włosy w spokoju.

Po wejściu do środka pierwsze kroki kieruję do łazienki, aby ocenić stan tego, co mam na głowie. Jestem zaskoczona: włosy wysuszone w naturalny sposób wyglądają znacznie lepiej, niż mogłam przypuszczać. Owszem, fryzura nie jest jak po wyjściu z salonu fryzjerskiego, ale niewiele gorsza. I to bez użycia suszarki i pianki. Może na tym właśnie polega tajemnica: zbyt dużo uwagi poświęcam moim włosom. Muszę je po prostu zostawić w spokoju. Od razu poprawia mi się humor. Nawet jeśli ten wieczór do tej pory nie stanowił najprzedniejszej rozrywki, obdarzył mnie jednak tym cennym odkryciem - i to już coś. Poza tym od dzisiaj będę pamiętać o wyłączeniu komórki na wernisażach. Nauczyłam się też nie głośno otwarcie swoich opinii komuś, o kim prawie nic nie wiem.

- Jest! - krzyczy podekscytowana Sabine, tak jakby doznała objawienia, a ja przystawiam sobie krzesło przed komputer.

„Witaj, moja piękna - czytam z ekranu. - Wreszcie jesteście. Czekalem z utęsknieniem".
Co to za jeden? Jakiś śliniący się miłośnik poezji?

- Czyż nie jest słodki? - pyta moja przyjaciółka i patrzy na mnie wyczekująco.

Mam ocenić faceta po dwóch krótkich zdaniach? Zdaniach, których być może nawet nie napisał sam albo którymi posługuje się przy rozpoczęciu każdej rozmowy? Aż tak wiele ze swego wnętrza w nich nie odkrył. Jak łatwo jednak zrobić na nas, kobietach, dobre wrażenie! Mam ochotę podzielić się natychmiast tą refleksją z Sabine i zaserwować jej mały wykład, ale powstrzymuje mnie myśl o SMS-ach Helmutha. Czy ja sama nie dałam się złapać na jego komplementy? Czy one też nie były zupełnie pospolite?

- Chce się z nami spotkać. Jeszcze dziś - głos Sabine przerywa moje rozmyślenia.

- Myślałam, że trochę posiedzimy u ciebie, pobawimy się na czacie, no i przede wszystkim coś zjemy - próbuję pohamować nieco jej entuzjazm.

- Zrobiła się z ciebie prawdziwa mamuśka. - Sabine sprytnie trafia w moje czułe miejsce.

Lubię być matką (na ogół), ale daleko mi do typowej mamuśki.

- A co ma piernik do wiatraka? - złoścę się. - Po prostu nie mam najmniejszej ochoty jeździć po mieście, żeby spotkać się z nieznanym facetem z internetu. A poza tym burczy mi w brzuchu.

- Od tej strony jeszcze cię nie znałam. - Sabine zmienia taktykę. - Wcześniej zawsze byłaś spragniona przygód. Poza tym nie mogę spotkać się z nim sama. Może okazać się niebezpiecznym typkiem.

Jego mail nie brzmi raczej groźnie, próbuję ją o tym przekonać.

- Chcesz już jechać do domu? Myślałam, że zależy ci na tym, żeby porządnie dopiec Christophowi - wypróbuję kolejny wariant.

Mieszanka wszystkich argumentów Sabine robi swoje. Nie jestem mamuszką, jak najbardziej lubię przygody - przynajmniej taką siebie pamiętam - i nie zamierzam jechać jeszcze do domu.

- No dobrze, przestań już, pojedę z tobą. Ale nie na długo. Obejrzymy sobie faceta, a jak nie będzie na czym zawiesić oka, zmyjemy się - proponuję.

Znając osobliwy gust Sabine, czuję się zmuszona postawić jeszcze jeden warunek:

- Ja zdecyduję, czy facet jest godny uwagi, czy nie. Okay?

Zgadza się i wyciska mi głośnego buziaka na policzku.

- Jesteś kochana i szczerze mówiąc, wcale nie przypominasz mamuski.

Odwraca się do komputera i mówi:

- Muszę jeszcze tylko uzgodnić miejsce spotkania. Jestem taka podekscytowana!

Parę minut później wszystko się wyjaśnia. W jednym z ulubionych klubów jej znajomego z czatu, Kaia-Uwego, odbywa się wieczorem szalowa - jego zdaniem - impreza. Impreza z bufetem. Specjalnie dla mnie ma przyprowadzić ze sobą jakiegoś kolesia. Sabine zapisuje adres, ja tymczasem dokonuję małych poprawek makijażu i jesteśmy gotowe. Jedziemy do Offenbach. Szalowy klub w Offenbach jest równie prawdopodobny jak superrestauracja na Mainzer Landstraße - ale proszę, chętnie dam się przekonać, że jest inaczej. Dodatkowo motywuje mnie myśl o bufecie.

Z planem miasta na kolanach pilotuję Sabine i po pół godzinie lądujemy w mało przyjemnej okolicy. Moja przyjaciółka zrobiła się nagle dosyć oszczędna w słowach. Chyba sama widzi, że zakątek nie wygląda zbyt obiecująco.

- Dobrze, że jesteś ze mną. - Słyszę wreszcie należyte podziękowanie za to, że służę jej towarzystwem. - Nie za bardzo mi się tu podoba. Jeśli chcesz, możemy wrócić do domu.

Jeszcze przed chwilą mnie prowokowała, a teraz, proszę, sama tchórzy. Która z nas dwóch jest mamuszką? W tej chwili mogłabym odbić piłeczkę i ogłosić swój triumf, ale daję spokój. Po pierwsze: Sabine jest moją przyjaciółką, a po drugie: jestem cholernie głodna.

- Zdaje się, że wspominałaś coś o zimnym i ciepłym bufecie na tej imprezie? - upewniam się.

- Tak, dlaczego pytasz? - odpowiada niezbyt przytomnie.

- Posłuchaj, dotarliśmy na miejsce, umieram z głodu, a poza tym chcę się przekonać, co to za facet zwabił nas w ten ciemny zakątek.

Sabine się waha. Zachowuje się tak, jakbyśmy były w środku Bronksu, a nie w Offenbach City. Wszędzie kręcą się ludzie, przy ulicy stoją latarnie i nigdzie nie widać palącego się śmietnika.

- W porządku, skoro chcesz - mówi niezbyt przekonana i parkuje samochód.

Jesteśmy umówione na rogu ulicy. Jak okiem sięgnąć, nie widać żadnego szalowego klubu, natomiast w naszą stronę kieruje się dwóch facetów. To musi być Kai-Uwe ze swoim kolegą.

- Elfiku, czy to ty? - woła jeden z nich.

- Elfiku? - Patrzę pytająco na Sabine.

- Elf to mój nick w sieci - przyznaje się.

Czasami trudno jest zrozumieć nawet najlepsze przyjaciółki. Elf! Dobry Boże! Przecież to dziecinada! Mężczyźni podchodzą do nas. Jestem zaskoczona. Można powiedzieć, mile zaskoczona. Na pierwszy rzut oka, co prawda o zmroku, nie dostrzegam żadnych wyraźnych felerów.

Robię pierwszy krok.

- Cześć, jestem Andrea.

- A ja Kai-Uwe, cześć - odpowiada ten wyższy i podaje mi rękę.

O proszę, wie jak należy przywitać się z kobietą. W dzisiejszych czasach nie o każdym mężczyźnie można to powiedzieć.

- To ty jesteś Elfem? - Słyszę nutę zdumienia w jego głosie.

No cóż, nie jestem może Elfem, ale też nie jest mi do niego daleko.

- Ja jestem Elfem. - Sabine wyłania się spoza mnie i patrzy onieśmielona niczym trzylatka w pierwszym dniu pobytu w przedszkolu. Trudno uwierzyć, że to ta sama kobieta, która jeszcze niedawno tak śmiało poczyniała sobie przy komputerze. Kai-Uwe wydaje się zachwycony.

- Elf - mówi wniebowzięty i bierze Sabine w ramiona.

Kai-Uwe jest wysoki. Z pewnością mierzy co najmniej metr dziewięćdziesiąt. Taki Michael Ballack z Offenbach. Przystojny - bez dwóch zdań, ale jednocześnie trochę pospolity. Uważam osobiście, że Ballack nie jest aż tak zniewalający, lecz jestem osamotniona w tej opinii. Na Sabine jej znajomy z internetu zrobił wielkie wrażenie. Moja przyjaciółka promienieje i zalotnie odrzuca głowę do tyłu. Nieomylny znak, że gość jej się podoba.

Jego przyjaciel, o dobrą głowę niższy, nie rzuca się w oczy i ma w sobie coś z Helmutha. Jak się po chwili okazuje, on nie tylko ma coś z Helmutha - ale to jest Helmuth we własnej osobie! Ten sam, który jeszcze niedawno wysyłał do mnie tęskne SMS-y.

- Helmuth, ty tutaj? - brzmi moje niezbyt pewne powitanie.

Szybko dał się pocieszyć, nie ma co. Jeszcze niedawno usychał z tęsknoty za mną, a już spotyka się z nieznanymi kobietami w środku nocy. Na pewno przez myśl mu nie przeszło, że ja będę jedną z nich. Jak widać, nie traci żadnej okazji. Chociaż Helmuthowi daleko do mojego ideału, czuję się lekko urażona. Widzę, że on też czuje się nieswojo. Na tyle już go poznałam.

- Nigdy nie pomyślałabym, że cię tu spotkam - witam go, nie kryjąc zdziwienia. - Sabine, to jest właśnie Helmuth. Opowiadałam ci o nim - przedstawiam ich sobie.

Kai-Uwe jest zdziwiony.

- To wy się już znacie? - pyta.

Helmuth kiwa potakująco głową i grzecznie podaje nam rękę.

- W takim razie możemy ruszać. Gdzie jest ten cudowny klub? - narzucam naszemu spotkaniu szybsze tempo.

- No więc, niedaleko, za rogiem - jąka się Helmuth. - Też jeszcze tam nie byłem, ale Kai-Uwe jest jego częstym gościem i opowiadał mi o nim.

Helmuth wydaje się bardzo zmieszany. Dobrze mu tak. Ruszamy w stronę klubu. Sabine jest w swoim żywiole. Prawdopodobnie zapomniała już o flircie z kozią bródką. Daje jej mały znak - głaszczę się po brodzie i śmieję się do niej. Odwzajemnia się tym samym.

- Elastyczność to - magiczne słowo singli - ripostuje, a ja nie wiem, czy powinnam ją podziwiać, czy uznać jej motto za głupotę.

Kai-Uwe zatrzymuje się przed małym domkiem.

- To tutaj - mówi.

Żadnego szyldu, żadnej neonowej reklamy - wydaje się, że to knajpka tylko dla wtajemniczonych.

- Czy wstęp mają tylko zaproszeni goście, czy idziemy na prywatną imprezę? - dopytuję się.

A może on ciągnie nas od razu do siebie do domu? Kai-Uwe nie odpowiada i naciska mały guzik dzwonka. Drzwi opatrzone są w wizjer, słysząc, że coś się za nimi dzieje. Wszystko wydaje się bardzo ekscytujące.

Drzwi otwierają się i przed nami staje dama w bieliźnie. Wieczór jest ciepły - ale nie na tyle, żeby rozbierać się aż do bielizny.

- Witam w cudownym domku! - mówi półnaga kobieta w drzwiach. - Wchodźcie szybko.

Zanim zdążyłam wyrazić głośno swoje wątpliwości, już jesteśmy w środku. Z całą pewnością nie znaleźliśmy się w jednym z najmodniejszych klubów! Wnętrze wygląda bardziej kiczowato niż wszystkie salony razem wzięte w domkach szeregowych naszego osiedla (co wydaje się znaczące).

- Panowie pięćdziesiąt euro, panie wstęp wolny - uświadamia nas kobieta w bieliźnie, w czerwonej bieliźnie, czerwonej i bardzo skąpej. Kai-Uwe wyciąga banknot sto euro z portfela i podaje kobiecie.

- Ja jestem Ronja - mówi ona i uśmiecha się do mnie. - Pierwszy raz w naszym rozkosznym domku?

Kiwam głową, poza tym nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa, chociaż w głowie gotuje mi się od pytań. O co tu chodzi?

- Czy jest bufet? - brzmi moje pierwsze pytanie, jakie jestem w stanie wyartykułować.

- Oczywiście, mamy dzisiaj potrawy na zimno i na gorąco. Wszystko domowej roboty - potwierdza kobieta w bieliźnie. Chociaż tyle. Bez względu na to, co się tutaj odbywa, dręczy mnie straszliwy głód. Sabine patrzy wokoło jak przerażona kura.

- Andrea, myślę, że powinniśmy stąd wyjść! - szepcze mi po cichu do ucha.

Kai-Uwe się śmieje.

- Elfiku, obiecuję wam wspaniały wieczór, odpręż się. Zjedzcie coś najpierw.

Sabine spogląda na mnie. Podejmowanie decyzji nie należy do jej mocnych stron.

- No dobrze. Najpierw coś zjemy, a potem zobaczymy - rozstrzygam. - Czy za jedzenie się płaci? - rzucam jeszcze szybkie pytanie Miss Bieliźnie.

- Nieee, ani centa, wszystko za darmo. Tutaj są wasze klucze, życzę smacznego. Mammy już mnóstwo gości.

Stoimy we czwórkę. Helmuth spuścił głowę tak nisko, że nie sposób spojrzeć mu w oczy.

- Czy to jest burdel, czy co? - pyta Sabine, wyraźnie wściekła.

Nie godzi się wprowadzać elfa do domu uciech. Ja tymczasem uważam, że sytuacja zrobiła się dosyć zabawna.

- Bzdura - uspokaja ją Kai-Uwe. - To nie żaden burdel, tylko coś w rodzaju prywatnego klubu.

Prywatnego klubu?

- Wejdźmy do środka, jeśli się wam nie spodoba, możecie przecież wyjść - mówi i otwiera drzwi z korytarza do następnego pomieszczenia.

„Jeśli się wam nie spodoba, możecie wyjść” - brzmi dosyć bezczelnie, jeśli się wsłuchać dokładniej. Oznacza ni mniej, ni więcej, że on tak czy inaczej tu zostanie - nie przejmując się swoim elfem. Sabine chce wyjść. Ja jestem niezdecydowana. Skoro już tutaj jesteśmy, mogłybyśmy przynajmniej się rozejrzeć. Wszystko jest niepokojąco ekscytujące.

- No i która z nas jest teraz mamuszką z przedmieścia? - pytam, świadoma, że łatwo sprowokować Sabine.

Ona uwielbia wyzwania. Helmuth nic więcej nie mówi. Jest wyraźnie zawstydzony.

- Jeśli pani chce wyjść, ja wyjdę z panią - opowiada się nieoczekiwanie po jej stronie.

Zaraz, zaraz, wreszcie czyim jest wielbicielem? No i teraz się zaczyna! Sabine cieszy się z dowodu tej pozornej rycerskości.

- W porządku. Wejdźmy po prostu do środka i coś zjedzmy. - Sabine zgodnie z oczekiwaniem reaguje na uwagę o mamusce.

Kai-Uwe podaje każdemu z nas klucz.

- Do szafki, bo w środku jest ciepło.

Co proszę? Czy ja tu czegoś nie pojmuję? Niby po co mi szafka? Tylko dlatego, że jest ciepło?

- Musicie się rozebrać - śmieje się i zaczyna zdejmować z siebie ubranie.

Po paru sekundach stoi przed nami w slipkach. Dokładniej - w stringach. Moim zdaniem, w międzynarodowej skali obciachu nie ma nic gorszego niż mężczyzna w stringach. Przynajmniej są w jednolitym kolorze. Te najbardziej idiotyczne mają wzorki, zwierzęce motywy, napisy albo leopardzie cętki. Kiedyś jedna z koleżanek opowiadała mi o facecie na jedną noc, który na stringach miał napis: „Twardy jak stal”. W porównaniu z tym stringi Kai-Uwego są wręcz gustowne. Także to, co kryją, wydaje się dosyć okazałe - by nie powiedzieć „imponujące”. Również Sabine rzuca krótkie spojrzenie w tę stronę. Tymczasem głowa Helmutha jest tak płomiennie czerwona, że można by spokojnie wyłączyć światło. Zresztą oświetlenie i tak jest bardzo skąpe.

- No, dalej, Helmuth, ściągaj z siebie ciuchy - zachęca przyjaciela Kai-Uwe.

Znając gust Helmutha, można spodziewać się raczej czegoś lepszego. Jestem bardzo ciekawa, w jakiej bieliźnie gustuje.

- No, dalej - mówię surowo, na co on zaczyna się rozbierać.

Jestem bardzo zaskoczona - Helmuth ma naprawdę eleganckie slipki. Może wiedział dokładnie, jaki jest plan na dzisiejszy wieczór, i przygotował się odpowiednio na tę okoliczność. Jego slipki są czarne, obcisłe. Trzeba przyznać, że ma lepszą figurę, niż myślałam. Nie wygląda może jak kulturysta, ale nawet apetycznie. Ciało też ma znacznie mniej szare, niż można by się spodziewać.

- No, dziewczyny, teraz wasza kolej - Kai-Uwe zwraca się do nas.

Gorączkowo usiłuję sobie przypomnieć, jaką włożyłam na siebie bieliznę, a przede wszystkim, czy nadaje się do pokazania.

Wzrok Sabine mówi „teraz albo nigdy”, a ona sama odpowiada:

- No dobrze. Rozbiorę się. Co prawda na randkach kolejność jest inna, najpierw jedzenie, potem ściąganie ciuchów, ale proszę. Nie będę się krygować.

Nikt jej nie odpowiada, ale zdaje się, że moja przyjaciółka w ten sposób próbuje tylko dodać sobie odwagi. Jej stanik jest różowy jak bluzka, którą ma na sobie. Koronkowy. Majteczki z kompletu od stanika. Może określenie „eleganckie” byłoby przesadzone, ale „ładne” wydaje się jak najbardziej na miejscu. Tylko ja zostałam w ubraniu. Mogłabym jeszcze

wyść, ale wobec moich wcześniejszych uwag takie zachowanie byłoby podwójnie haniebne. Postanawiam więc wypić piwo, którego nawarzyłam, i zaczynam się rozbierać. Pocięszam się myślą, że na basenie nie mam przecież na sobie wiele więcej.

Mój stanik to klasyczny czarny push-up. Nic, co przyciągałoby uwagę, ale też nic, czego można by się wstydzić. Niestety, nie mam dopasowanych do niego majtek, tylko normalne bawełniane majteczki, na szczęście nie z rodzaju tych tuszujących mankamenty figury. Są z kompletu, który kupiłam z sentymentu dla szkolnych czasów - majteczki z nadrukiem dni tygodnia. Jak widać, znów zrobiły się modne, poza tym były w promocji. I tak stoję: w czarnym staniku push-up i białych majtkach z napisem środa. Mogło być gorzej. Postanawiam tu i teraz, że w najbliższych dniach zrobię przegląd swojej bielizny. Jak widać, człowiek bardzo szybko może zostać bez ubrania.

Kai-Uwe rozdaje maski. Takie, jakie zwykle nosi się w czasie karnawału.

- Zabawa będzie bardziej ekscytująca - wyjaśnia nam, po czym grzecznie zasłania twarz.

Spoglądamy na siebie, a ja próbuję jak najrzadziej oddychać, aby mój brzuch prezentował się jako tako. Helmuth w dalszym ciągu patrzy tylko sobie pod nogi, tak jakby podłoga stanowiła nie lada atrakcję. Chowamy nasze rzeczy w specjalnych szafkach i wchodzimy do salonu, w którym stoi około piętnastu dorosłych osób w bieliźnie. Przypomina mi się zdanie, które powiedziała jedna z moich koleżanek o klubach tego typu: „Można wszystko - nie trzeba nic”. A więc mogę się uspokoić i cieszyć na jedzenie. Jeśli zaraz czegoś nie przełknę, spadnie mi poziom cukru - wolę sobie nie wyobrażać, co może się wtedy zdarzyć. Z obniżonym poziomem cukru w swinger-klubie?*

A może to klub dla par? Albo to jedno i to samo? Tak czy inaczej - dosyć głupia sytuacja. Kupa rozebranych ludzi, a pod ścianą długi bufet - jak w popularnych w latach siedemdziesiątych lokalach znajdujących się w piwnicach.

* Swinger-klub - lokal, którego goście uprawiają seks z różnymi partnerami lub seks grupowy.

Podchodzi do nas Ronja. Staje pod zwisającą z sufitu dyskotekową kulą rzucającą niezliczone świetlne refleksy. I to wszystko dzieje się w pomieszczeniu, w którym nie brak

też najzwyczajniejszej w świecie meblościanki! Jesteśmy w zupełnie zwyczajnym pokoju, pominiawszy kule i bar. Prawie identyczny salon mają moi teściowie, Inge i Rudi.

- Świetnie, cieszę się, że was tu widzę. Na barze jest jedzenie. Napoje dostaniecie ode mnie. Tylko za te mocniejsze płaci się ekstra, zresztą ty, Kai-Uwe, doskonale się orientujesz.

Wygląda na to, że internetowy przyjaciel Sabine spędza w owym przybytku większą część życia.

- Zjem coś - oznajmiam wszystkim i ruszam w stronę baru.

Wreszcie dostanę to, na co już tyle czekam. Zanim się stąd ulotnię, napcham sobie brzuch, mając nadzieję, że przy okazji nie zostanę rozpoznana przez nikogo z obecnych. Ale właściwie dlaczego miałby mnie ktoś rozpoznać? Przecież mam nową fryzurę (na szczęście) i maskę na twarzy. Poza tym kto w ogóle mógłby się mnie tu spodziewać? Mam nadzieję, że nikt. Raczej trudno mi sobie tutaj wyobrazić kogokolwiek ze swoich przyjaciół lub znajomych. Serwowane jedzenie idealnie pasuje do meblościanki. Nie ma sushi ani żadnych drobnych przekąsek, tylko coś tak mało wykwintnego jak frykadele, kanapki z serem i precle. Też dobrze. Za barem stoi Ralf, który od razu mi się przedstawia (mąż Ronji) i wielokrotnie podkreśla, że bardzo chętnie pokaże mi potem osobiście pierwsze piętro domku.

- Najpierw jedzenie, potem zwiedzanie - mówię i nakładam sobie pokąsną porcję na talerz.

Mniej więcej po dziesięciu minutach nie czuję się już tak nieswojo. Można przyzwyczaić się do paradowania nago, poza tym w salonie jest tak ciepło, że normalnie ubrana czułabym się jak w saunie.

Sabine siada koło mnie przy barze. W bieliźnie na barowych krzesłach ze sztucznej skóry - z czymś takim niełatwo się oswoić.

- Andrea, ja chcę stąd wyjść. Nazywaj mnie mamuszką czy jak tam chcesz, ale to nie dla mnie.

- Najpierw coś zjedz. Już i tak jesteśmy półnogie i wszyscy nas widzieli. Chcę przynajmniej w spokoju zjeść, a potem, jeśli chcesz, możemy iść - jestem nadzwyczaj zrelaksowana i zupełnie swobodna.

Przede wszystkim dlatego, że jedzenie bardzo mi smakuje. Nawet nie staram się wciągać brzucha, a niech sobie zwisa. W głowie jak echo wciąż pobrzmiwa mi wyrzut Sa-

bine: „Jesteś mamuśka”. Po dzisiejszym wieczorze nie chcę więcej o tym słyszeć. Choć muszę przyznać, że bywałam w lokalach, w których czułam się bardziej komfortowo. Ale tak jak teraz, gdy siedzę odwrócona plecami do pokoju, da się jeszcze wytrzymać.

Po trzeciej frykadelce ktoś stuka mnie palcem w łopatkę.

- Andrea? - mówi głos - Schmidt, po tych majtasach rozpoznałbym cię wszędzie. Że też jeszcze je masz! - wyjaśnia mało mi znany głos.

I co teraz? Po prostu nie odpowiadać? Czuję, że pomimo skąpego odzienia zaczynam się pocić. Kto to może być? Nie chcę się odwracać, bo przeczuwam najgorsze. To może być tylko ktoś z mojej dawnej szkoły. Nikt poza tym nie może znać tej okropnej historii z majtkami z nadrukiem dni tygodnia.

- Co za przypadek, po tylu latach! Bo przecież na spotkaniu klasowym nie zamieniłiśmy ze sobą ani słowa - ciągnie dalej głos zza moich pleców.

Nie odwracając się, mówię zniżonym tonem:

- Myślę, że zaszła pomyłka. Przepraszam, ale my się nie znamy.

- Ha, ha! - Rozlega się gromki śmiech, a ja oczami wyobraźni już widzę, jak całe towarzystwo gapi się na nas - znam przecież moich byłych podopiecznych. Hasło: Ameryka Południowa.

Teraz odwracam się jednak. W końcu nigdy w życiu nie byłam w Ameryce Południowej i dlatego jestem pewna, że musiano mnie z kimś pomylić. Poza tym - co ja mogę teraz zrobić? Nie rozplnę się przecież w powietrzu ani nie skoczę przez bar, żeby się ukryć. Mój rozmówca zza pleców, podobnie jak ja, ma na twarzy maskę. Ale pomimo zasłoniętej twarzy od razu go rozpoznaję: to pan Girstmann, mój były nauczyciel geografii. Już wtedy był stary. Jak to możliwe, że on jeszcze w ogóle żyje? Stary lubieżnik! Obrzydliwość. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się, jak profesor geografii może wyglądać w bieliźnie, a teraz widzę go w pełnej krasie. Nieszczerólnie miły oku widok. Pofałdowany krajobraz - zwiotczałe ciało, brak mięśni. Doprawdy mało apetyczne.

- Południowa Ameryka, ha, ha, a to ci Andrea - facet nie może powstrzymać się od śmiechu i jego fałda na brzuchu wstrząsana jest kolejnymi atakami rechotu.

Zaczynam kojarzyć jak przez mgłę, czemu wspomniał akurat Amerykę Południową. Ustny sprawdzian z geografii w ósmej klasie. Musiałam podejść do mapy i wskazać Malediwy. Nie miałam bladego pojęcia, gdzie mogą leżeć. Nigdy nie byłam tam z rodzicami (nie

jestem dzieckiem milionerów!), a także nie należałam do uczniów, którzy całymi dniami ślęczą nad mapami. Tak więc lekką ręką przeniosłam je do Ameryki Południowej, na jej wschodnie wybrzeże, na co pan Girstmann długo zwijał się ze śmiechu. Jakim cudem tak drobny błąd może przysporzyć tyle radości, do dzisiaj stanowi dla mnie zagadkę.

- Malediwy leżą na południowy zachód od Indii, panie Girstmann - mówię na powitanie i widzę wyraźnie, że mój były nauczyciel się cieszy, bo pewnie myśli, że zawdzięczam tę wiedzę jego wybitnym umiejętnościom dydaktycznym. Totalna bzdura, bo o położeniu Malediwów dowiedziałam się wtedy, kiedy razem z Heike chcieliśmy wybrać się na urlop połączony z zajęciami z medycyny Ayurveda. A takie wczasy organizują nie tylko na Sri Lance i w Indiach, ale właśnie także na Malediwach. Uznałyśmy jednak, że są zbyt drogie, i pojechałyśmy w końcu na weekend do Bad Salzschlirf w górach Rhön. Który zresztą się nie udał, bo dzień w dzień nakładano mi na włosy zjełczałe masło.

Uważam, że masło pasuje raczej do chleba, i osobiście wolę raczej gotowe kuracje niż jakieś papki z oleju, jajek i podobnych rzeczy. Ta olejowo-jajeczna mikstura po czterokrotnym szorowaniu włosów dała się zmyć dopiero, i to też połowicznie.

- Południowy zachód, dobrze, Andrea - odpowiada pan Girstmann i ciągle jeszcze się śmieje. - Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem, a jestem w klubie co weekend. Czuję się tu fantastycznie. Byłaś już na górze? - pyta, oblizując wargi.

Potrząsam głową. Nie jestem pewna, co może odbywać się tam, na górze, czuję jednak, że nie jest to program dla nieletnich.

- Może pójdziemy tam we dwoje, moja piękna? - pyta mnie Girstmann. Czy on upadł na głowę?

- Chwileczkę, Klaus - przerywa mu Ralf, mąż Ronji. - Ja pierwszy zapytałem. Kolejność musi być zachowana.

A więc Girstmann ma na imię Klaus.

- No dobrze - nauczyciel ustępuje panu domu - taka młoda kobieta jest na tyle wytrzymała, że może uszczęśliwić i ciebie, a potem jeszcze i mnie.

Moje obrzydzenie sięgnęło zenitu.

- Panowie, bardzo wam dziękuję, ale jestem kobietą zamężną - odparowuję chłodno i schodzę z barowego krzesła.

Muszę się stąd zmyć. Jak najszybciej. Gdzie jest Sabine? We frykadelowym amoku zupełnie straciłam ją z oczu.

- Sabine! - krzyczę w głąb pokoju.

Ani widu, ani słychu. Także Helmuth i Kai-Uwe jakby zapadli się pod ziemię. Bez niej nie mam środka lokomocji. Poza tym ona wzięła też klucz do szafki. Jak więc teraz miałabym uciec Girstmannowi i natrętnemu Ralfowi? Zawołać taksówkę i w bieliźnie oraz bez centa przy duszy pojechać do domu? Odpada. Sama myśl jest odrażająca: w staniku push-up i majtkach z napisem „środa” wchodzę do salonu, a tam siedzą Belle Michelle i mój mąż; proszę o pieniądze dla taksówkarza i wyjaśniam, że byłam w swinger-klubie, co absolutnie nic nie znaczy, ponieważ poszłam tam, bo byłam głodna, i zostałam wyłącznie dla smacznych frykadeli. No, a jutro zaczynam pracę! Co Belle Michelle opowie o mnie w kancelarii?

Nie, to niemożliwe. Potrzebuję Sabine, klucza i samochodu. Ruszam na poszukiwania przyjaciółki. Pytam o nią wszystkich po kolei.

- Przepraszam, czy widzieli państwo kobietę w różowej bieliźnie?

Jakie to poniżające! Na przyszłość wolę już być nazywana mamuszką i trzymać się z daleka od takich klubów. Człowiek uczy się jednak całe życie. Starsza kobieta w lila gorsecie (gdzie jeszcze można kupić coś takiego?) twierdzi, że chyba widziała Sabine.

- Poszła na górę, na matę - informuje mnie.

Kiedy jej dziękuję, zastanawiając się jednocześnie, co może znaczyć piętro-mata, obok kobiety w gorsecie staje nagle Girstmann i dotyka jej ud.

- No, Andrea, jak podoba ci się moja żona? - pyta obleśnym tonem. - Przedstawiam ci Luitgardę - mówi.

Luitgarda Girstmann.

- Bardzo mi miło - odpowiadam przerażona.

Żona mojego nauczyciela geografii w lila gorsecie, z gumkami do pończoch i natapirowaną fryzurą. Tego już, jak dla mnie, za wiele.

- No dobrze, pójdę poszukać mojej przyjaciółki, bo tak naprawdę wcale nie chciałam tu przychodzić. To był zupełny przypadek, nie miałam zielonego pojęcia, co tutaj się odbywa - próbuję szybko wyjaśnić, że nie trafiłam tu z własnej woli, ale padłam ofiarą gigantycznego nieporozumienia.

- Za pierwszym razem wszyscy są zawstydzeni - śmieje się Girstmann, gdy tymczasem jego ręka wędruje pod gorset Luitgardy i zaczyna miętosić jej pierś.

Nigdy bym nie pomyślała, że pod taki ciasny gorset da się jeszcze wcisnąć całą męską dłoń. Pewnie jest zrobiony z materiału z dużym dodatkiem streczu. Ale bezwstydnym jest ten Girstmann! A co dopiero jego żona. Zamiast przywołać go do porządku solidnym kuksańcem, chichocze tylko i mówi:

- Kiedyś oglądaliśmy wieczorami telewizję, a teraz urządzamy sobie własne show.

Aby zademonstrować, o jakie show jej chodzi, sięga ręką między nogi małżonka. Chyba zaraz zwymiotuję. Żegnaj się, pan Girstmann i jego żona Luitgarda uśmiechają się przyjaźnie, tak jakby cała ta sytuacja była zupełnie normalna i właśnie spotkaliśmy się na niedzielnym spacerze. Tymczasem on wyciąga rękę spod gorsetu i chce mi ją podać na pożegnanie. Tego już za wiele. Przed chwilą grzebał w lila staniku, a teraz chce tą samą ręką mnie dotknąć!

Ide i kątem oka dostrzegam, jak pani Girstmann uwalnia się z gorsetu. Tak, pewnie jestem kołtunem i chcę nim pozostać. Zdecydowanie nie należę do tego świata! Wiedziałałam dobrze, że takie kluby jak ten istnieją, ale żeby w Offenbach? Zresztą mogą być wszędzie, byle beze mnie! Wbiegam na schody prowadzące na pierwsze piętro, aby znaleźć Sabine albo przynajmniej zdobyć klucz do szafki. Trójka moich towarzyszy nie mogła się przecież tak po prostu rozpląnąć w powietrzu.

Potykając się, wpadam do pokoju zasłanego materacami i w przyciemnionym świetle widzę coś, czego wolałabym nie widzieć. Mam wrażenie, że znalazłam się w stadzie królików. Masa kotłujących się ciał. Wołam przerażona:

- Sabine!

Jakiś głos, bynajmniej nienależący do niej, odpowiada:

- Śliniaczku, chodź do nas, mam jeszcze dla ciebie miejsce! Zbiegam z zawrotną szybkością z powrotem na dół.

Obojętne jak - jadę do domu. Nie ma takiej frykadeli, dla której byłabym w stanie zostać tu choć chwilę dłużej. Wchodzę na korytarz z szafkami i dostrzegam siedzącą tam Sabine. Towarzystwa dotrzymuje jej Helmuth, który coś jej tłumaczy, trzymając ją za rękę.

- Dzięki Bogu! - mówimy prawie jednocześnie i bez zbędnych słów rzucamy się sobie w ramiona.

Sabine otwiera szafkę - w ciągu paru minut jesteśmy kompletnie ubrane.

- Zabierzecie mnie ze sobą? - pyta Helmuth.

Waham się, bo przecież po części to on nas tu przyciągnął.

Czy nie powinien poczekać na swojego przyjaciela? Nie zdążyłam jeszcze otworzyć ust, gdy Sabine odpowiada:

- Oczywiście. W końcu byłeś tak miły i poczekałeś ze mną na Andreę. Ubieraj się szybko. Znikamy stąd.

Trzy minuty później stoimy na ulicy. Sabine pierwsza zaczyna się śmiać. Jakby kamień spadł nam z serca. Mamy wrażenie, że uciekliśmy piekielnym mocom. Trzeba jednak przyznać, że nikt nam tam niczego nie zrobił. „Kto nie chce, nic nie musi” - szepnął mi ponad talerzem piekielnie smacznych frykadeli barman Ralf i miał rację.

Chociaż byłoby o wiele praktyczniej odwieźć najpierw Helmutha, Sabine decyduje mnie pierwszą podrzucić do domu. Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? Czyżby zaiskrzyło między szarą twarzą a moją drugą w kolejności najlepszą przyjaciółką? Można powiedzieć, że dobrali się jak w korcu maku. Dwa single z problemami, tak zwane trudne przypadki, jednocześnie znalazły swoją drugą połówkę. Chociaż Sabine zasłużyła na coś lepszego niż na szarolicego Helmutha. Ale jak już wspominałam, ona ma niezwykłą skłonność do interesowania się mężczyznami, po których, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie można sobie wiele obiecywać.

Będę się tym martwić jutro. Teraz muszę stanąć oko w oko z prawdą, jaka czeka mnie w domu. Jeśli Belle Michelle przyszła, ciekawa jestem, co ci dwoje porabiali w obecności dzieci?

Otwieram drzwi, wszędzie ciemno. Na palcach przebiegam przez korytarz i salon, dopiero w kuchni zbieram się na odwagę i zapalam światło. Wygląda nieźle. Nawet lepiej, niż gdybym ja sama w niej posprzątała. Na kuchence leży karteczka: „Dziękuję za zadaną pracę domową”. Uszczypliwa ironia czy miły żart? Wszystko jedno. Jak mówią żeglarze: najważniejsze, że zrobił klar.

Sprawdzam zawartość zmywarki do naczyń. Jeśli była tu Belle Michelle, na pewno zaproponował jej coś do picia. Christoph jest przecież uprzejmym mężczyzną - albo raczej potrafi nim być. Pusto. W zmywarce nie ma ani jednego naczynia. Zaczynam węszyć za pustymi butelkami. Może był na tyle sprytny i umył kieliszki w zlewie, ale puste butelki by go

zdradziły. Nic nie znajduję. Żadnych butelek po czerwonym winie lub piwie. Czy takie kobiety jak Belle Michelle w ogóle piją alkohol? A może ci dwoje wcale go nie potrzebowali i gruchali przy samej wodzie mineralnej?

Po dokładnych oględzinach kuchni kolej na salon. Także tutaj wszystko wygląda bez zarzutu. Chyba powinnam częściej spędzać wieczory poza domem. Christoph ujawnia umiejętności, o które dotąd go nie posądzałam. Jak to się zwykle mawiać: „Wyzwanie czyni mężczyznę”. Coś w tym jest.

Wślizguję się do sypialni. Leży tam. Mój mężczyzna. Śpi. Pochrapuje. Rozbieram się i układam ubranie obok jego rzeczy. Nawet powiesił porządnie koszulę i marynarkę. Grzeczny chłopiec. Kiedy poprawiam na wieszaku koszulę, czuję jakiś zapach. Obcy zapach. Nie nieprzyjemny, nieduszący, ale na pewno nie jest to zapach Christopha. Czym pachnie jego koszula? Wącham raz po raz, jakbym była uzależnioną od kleju szesnastolatką, która jest akurat na głodzie. Cytrynowa, ale nie ziołowa, przyjemna woń. Doskonale pasowałyby do Belle Michelle. Dlaczego do licha koszula Christopha pachnie jej perfumami? Czy ta mała żmijka położyła swoją piękną główkę na jego piersi? Przytuliła się do niego?

Przechodzę do kontroli marynarki, sprawdzam zawartość kieszeni. Gdy to robię, czuję się zdecydowanie nieswojo. Christoph nigdy nie byłby taki głupi, a poza tym, nawet jeśli między nimi coś jest, to już dawno wyszli poza fazę „liścików w marynarce”. Przecież on zaprasza już swoją ukochaną do siebie do domu, nie ma więc potrzeby bawić się w sekretne liściki.

Zastanawiam się, czy znowu nie położyć się na sofie. Ale moje łóżko - nasze łóżko - wygląda zbyt kusząco. Poza tym jutro powinnam być raczej wypoczęta. W końcu zaczynam pracę. Bardzo się cieszę. Nie mogę się przede wszystkim doczekać min kancelaryjnej parki. Z tą myślą zasypiam.

O wpół do siódmej odzywa się budzik. Odwracam się ostrożnie w stronę Christopha i próbuję wyczuć emocjonalny nastrój panujący w naszym domku. Po pierwszym spojrzeniu na męża oceniam, że klimat jest umiarkowany.

- Udany wieczór? - pyta mnie.

- Hmm, owszem - odpowiadam, nie wdając się w szczegóły, i zaraz pytam o to samo.

- A ty? Miło było z twoją Belle Michelle?

- Wpadła tylko na chwilę. Szczerze powiedziawszy, trochę mnie denerwuje - mówi mój mąż, chrząka jeszcze raz i wyslizguje się z łóżka.

Skąd to zadziwiające stwierdzenie? Aha, pewnie zmienił taktykę. Chce uśpić moją czujność. A może ona zbyt mu się narzuca? Może próbuje wymusić na nim decyzję? To jasne, że nie trzymam jej strony (tego byłoby już za wiele!), ale w tym względzie mogę ją zrozumieć. Rola ukochanej żonatego mężczyzny musi być niewątpliwie wyjątkowo niewdzięczna. Zwłaszcza w dłuższej perspektywie. We wszystkich poradnikach można przeczytać: „Jeśli on nie zdecyduje się opuścić rodziny w pierwszych tygodniach, nigdy tego nie zrobi”. Belle Michelle na pewno jest na tyle sprytna, by to wiedzieć. Albo to wszystko jest tylko przebiegłą grą, żebym zostawiła go w spokoju. Poza tym aż dziw bierze, że ani słowem nie wspomniał o wczorajszym chlewiku. To zupełnie nie w jego stylu. Oczekiwałam przynajmniej krótkiego kazania w rodzaju:

„Ja pracuję, ty jesteś w domu i pozwalasz na coś takiego?”. Tymczasem ani słówka. Zagadka za zagadką.

- Obudzę dzieci, a ty zostań jeszcze w łóżku. Zrobię śniadanie i zawiozę je po drodze do biura.

Kolejna zagadka. Czy on bierze valium albo zażywa inną cudowną tabletkę, po której życie wydaje się piękniejsze?

Zostać w łóżku - owszem, miałabym na to niemałą ochotę.

- Nie, mam dzisiaj dużo różnych zajęć. Też muszę wyjść z domu - mówię tylko i myślę: „Przekonasz się na własne oczy, o jakie zajęcia chodzi”.

Nie mogę się opanować i chichoczę cichutko, bo już sobie wyobrażam jego minę, kiedy zobaczy mnie w swojej świętej kancelarii.

Ranek jest bardzo spokojny, ale podskórnie wyczuwa się, że coś jest nie tak. Dzieci wylapują to w szczególny sposób, jakby miały specjalne anteny. Zdziwiający, bo przecież zazwyczaj nie grzeszą wyjątkową wrażliwością.

Wprawdzie niektórzy twierdzą, że dzieci są bardziej wrażliwe od dorosłych, ale moim zdaniem to bzdura. Jest wręcz odwrotnie. Większość znanych mi maluchów, łącznie z moimi własnymi, nie okazuje specjalnej delikatności, bez zahamowań mówi, na co ma ochotę, nie oglądając się na uczucia innych.

Jednakże dzisiejszego ranka Claudia i Mark wprost jedzą z ręki i co chwila podkreślają, jaki fajny był wczorajszy wieczór. Jestem tylko niepokieszona (Christoph chyba również, bo kręci się nerwowo na swoim krześle), kiedy Mark zaczyna rozwódzić się nad urodą Belle Michelle oraz nad tym, że przeczytała mu nawet bajkę.

- Ta pani jest taaaaaaka miła - powtarza kilka razy, a ja muszę mocno nad sobą panować, żeby nie powiedzieć: „Dosyć tego. Nie życzę sobie słyszeć więcej tego imienia w moim domu”. Gdyby mój syn musiał tego ranka się zdecydować, przy kim chciałby spędzić resztę swojego dzieciństwa i późniejsze lata młodości, nie jestem pewna, czy wybór wypadłby na mnie.

Dużo bardziej podoba mi się opinia Claudii. Uważa, że Belle Michelle jest lizuską.

- I śmierdzi - dodaje jeszcze.

Christoph oponuje:

- No, chyba przesadzasz, Claudia.

Ja natomiast za takie stwierdzenie najchętniej podniosłabym córce kieszonkowe.

Kiedy cała trójka opuszcza dom, pozostaje mi dokładnie dwadzieścia minut, aby przygotować się na swój pierwszy dzień w pracy.

Słychać sygnał SMS-a. To Helmuth znowu przysłał mi jedną ze swoich niezliczonych wiadomości. Znajomość z nim powoli zaczyna grać mi na nerwach. Chce ode mnie numer telefonu Sabine. No proszę, jak szybko przestawił zwrotnicę. Jeszcze niedawno chciał zaadoptować moje dzieci i spędzić ze mną resztę życia, a teraz jedyną rzeczą, jakiej ode mnie oczekuje, jest numer Sabine. Czuję się trochę urażona, bynajmniej nie dlatego, że chciałabym spędzić z nim resztę życia, ale dlatego, że miło jest być dla kogoś tą najważniejszą. W głębi duszy doskonale go rozumiem. Kto chciałby wiązać się z kobietą z dwojgiem dzieci i mężem, jeśli może mieć inną bez żadnych zobowiązań. Wysyłam mu numer Sabine, w po-

śpiechu nie pytając jej o zgodę. Jej sprawa, jak się go pozbędzie albo zrobi z nim, co zechce. Po wycieczce poprzedniego wieczoru i wielkiej internetowej zdobyczy Sabine w osobie Kaia-Uwego oboje z Helmuthem są mi coś winni. Zresztą moja przyjaciółka nie wzbraniała się specjalnie przed awansami Helmutha. A poza tym niech ci dwoje sami sobie radzą, ja muszę jechać do pracy.

Punktualnie trzy kwadranse przed rozpoczęciem pracy wychodzę z domu. Mam na sobie, jak zawsze na oficjalne okazje (a praca do nich należy), swój ciemny garnitur. Pod marynarkę włożyłam biały top. Biorąc pod uwagę to, w jakim chaosie żyłam przez ostatnich parę dni, uważam, że wyglądam naprawdę dobrze. Co prawda pod oczy potrzebna była potrójna warstwa fluidu, tak zwanego korektora, żebym nie wyglądała jak chora na nerki. Na temat fryzury zdania też mogą być podzielone. Ale wariant bez używania suszarki tak czy inaczej pozwala oszczędzić sporo czasu, a takich włosów jak Belle Michelle i tak nigdy nie będę mieć, choćbym nie wiem jak się starała. Już się z tym pogodziłam. Więcej cudów na mojej głowie nie da się już zrobić. Życie staje się prostsze, kiedy człowiek twardo stąpa po ziemi.

Do miasta jadę kolejką. Jeśli wszystko dobrze się ułoży, może będę mogła wracać do domu samochodem z Christophem. Czuję się jak podczas końcowego odliczania przy starcie rakiety kosmicznej. Dzisiaj się rozstrzygnie, jak dalej potoczą się sprawy. Albo się uda, albo wszystko szlag trafi. Ostateczna konfrontacja.

Wchodzę do kancelarii pięć minut przed czasem. Połączenie kolejką jest idealne. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Christoph nie chce z niego korzystać i upiera się, by jeździć do biura autem.

Jestem zdenerwowana. O dziwo, mniej z powodu męża czy Belle Michelle, ale bardziej z powodu czekających mnie zadań w nowym miejscu pracy. Czy dam sobie radę? Czy praca będzie sprawiała mi przyjemność? Do kogo w ogóle mam się zgłosić?

W recepcji stoi młoda kobieta, której nie znam. A poznałam już większość kolegów i koleżanek Christopha z kancelarii, włącznie z jego szefem.

- Jestem Klara - wita mnie. - A pani jest moim wybawieniem.

Przypominam sobie. Klara. Christoph o niej wspominał. Jest praktykantką, chce odbyć praktykę u adwokata lub notariusza i specjalizować się w sprawach upadłościowych.

- Wreszcie mogę się stąd wydostać - cieszy się, porządkując swoje stanowisko.

- Zawołam doktora Langnera, aby panią przywitał i wyjaśnił, na czym polegają pani obowiązki - mówi mi i zaraz uspokaja: - To nic trudnego.

Doktor Langner nie kryje zaskoczenia na mój widok.

- Ależ pani Schmidt, co pani tutaj robi? Myślałem, że przyszła nasza nowa pomoc z biura pośrednictwa pracy - odwraca się z pytającym spojrzeniem w stronę Klary.

Ta wzrusza ramionami i robi bezradną minę.

- Myślałam, że to właśnie pani - mówi.

- Zgadza się, to ja panią teraz zastąpię - wyjaśniam sytuację. - Dzień dobry, doktorze Langner, cieszę się, że mam możliwość podjęcia pracy w pana kancelarii - witam szefa i na dobry początek staram się mu trochę przypodobać:

- Świetnie pan wygląda.

- Dziękuję, dziękuję pani Schmidt. Coś takiego! Wprost nie chce mi się wierzyć - śmieje się. - A pani mąż to szczwany lis, nie pisał ani słówka.

- Nie mógł, bo nic nie wiedział - biorę Christopha w obronę. - Dla niego to również niespodzianka. Takie małe zrządzanie losu. Proszę mu jeszcze nic nie mówić - zwracam się do doktora Langnera. - Już od paru dni nie mogę doczekać się, jaką zrobi minę, kiedy mnie tu zobaczy.

Pan Langner zgadza się bez wahania. Jest mężczyzną, który lubi zaskakiwać - przecież kiedyś okazał się bardzo pomocny w przygotowaniu urodzinowej imprezy niespodzianki dla Christopha.

- Tak czy owak, cieszę się, że znów będziemy mieć kogoś w recepcji. Klara, nasza praktykantka, wszystko pani wytłumaczy. To miło, że dołączyła pani do nas i zaopiekuje się nami. Klaro, proszę wyjaśnić wszystko pani Schmidt, a potem zgłosić się do pani Michels.

Tyle wprowadzenia. Klara przewraca oczami.

- Znowu ta Michels - syczy, a ja czuję się, jakbym właśnie znalazła sprzymierzeńca. Dobrze się składa. Klara uważa, że niespodzianka, jaką zrobiłam mężowi, jest bardzo zabawna. Czekające mnie zadania nie wydają się trudne. Dzwonić potrafię, powiedzieć „dzień dobry” również, a sortowanie poczty też na pewno nie przerasta moich możliwości. W recepcji nie ma więcej obowiązków. Milutka Klara wyjaśnia mi także, jak łączyć rozmowy wewnątrz kancelarii. Firma Langnera mieści się na dwóch piętrach. Pośrodku hallu znajdują się kręte schody prowadzące na piętro. Langner, król kancelarii, siedzi na dole. Większość

pracowników, także młodszy partnerzy, jak mój mąż, pracują na piętrze nad recepcją. Lokalizacja bardzo korzystna dla mojej niespodzianki.

Po godzinie Klara pozostawia mnie, nie bez żalu, samą.

- Muszę iść do Michels - narzeka, ja zaś pytam ze świętoszkowatą miną:

- Jaka jest właściwie ta Michels?

Moje pytanie działa jak odkręcenie wentyla. Klara natychmiast wyrzuca z siebie:

- Uważa się za kogoś wyjątkowego. Na kogoś takiego jak ja w ogóle nie zwraca uwagi. Arogancka krowa.

Kiedy uświadamia sobie, co wymknęło jej się w przyływie szczerości, robi się czerwona jak burak.

- Przepraszam, wcale tak nie myślę. Sądzę, że ta pani ma jakieś kłopoty osobiste - próbuje się wytłumaczyć. - Ale pani mąż jest bardzo sympatyczny. - Szybko zmienia temat.

A co ta mała miała powiedzieć? Że mój mąż jest takim samym aroganckim bucem jak sama Belle Michelle?

- Miło mi to słyszeć - odpowiadam.

Gdybym tylko mogła, zaczęłabym skakać z radości.

Belle Michelle, ubóstwiana przez facetów, a znieawidzona przez personel administracyjny. Zawsze coś.

- Jeśli miałaby pani ochotę, dziś mam półmetek na studiach i dlatego po południu organizuję lampkę szampana na górze - zaprasza mnie już pierwszego dnia w pracy. - To dla pani świetna okazja, żeby wszystkich poznać, pani Schnidt.

- Proszę mówić mi Andrea - proponuję jej przejście na „ty”. Chociażby z powodu naszej wspólnej niechęci do kancelaryjnej piękności.

Obiecuję wpaść na szampana, po czym Klara idzie na górę. Siedzę więc sama na swoim nowym miejscu pracy. Jako pierwsza dzwoni małżonka Langnera. Nie rozpoznaje mnie i sprawia wrażenie, że wszystko jej jedno, kto odbiera telefony w recepcji. Jest skąpa w słowach: „Tu Langner, chciałabym rozmawiać z mężem”. U dzieci w żadnym razie nie umiałabym tolerować takiego zachowania. „Dzień dobry” albo przynajmniej „proszę” byłyby chyba jak najbardziej wskazane, nie jestem jednak uprawniona do wychowywania żony szefa. Po dwóch godzinach pracy w kancelarii ciągle jeszcze nie widać na dole mojego męża. Nikt też do niego nie dzwoni. Ale kto właściwie miałby z nim rozmawiać? Jego żona

siedzi w tym samym biurze, dzieci są pod najlepszą opieką, a jego Belle Michelle jest z całą pewnością blisko niego. Wolę nawet nie myśleć, jak blisko.

Po kolejnej godzinie nastąpił wreszcie moment długo wyczekiwanego spotkania. Słyszę kroki na schodach i w pierwszej kolejności dostrzegam nogi. Nogi, które niedługo wszędzie bezbłędnie rozpoznam. Należą do Belle Michelle. Nosi dosyć krótką spódnicę - w biurze z kręconymi schodami raczej prowokujący styl. Kiedy mnie zauważa, podchodzi z uśmiechem.

- Coś takiego! - wita mnie, a ja kładę palec na ustach, żeby nie zdradziła się przed Christophem.

Kiwa głową na zgodę.

- Christoph, zejdziesz na dół? - woła jeszcze w stronę schodów.

Albo ona jest pozbawioną uczuć bestią, albo osobą, która niczego się nie boi. Gdybym nic o niej nie wiedziała, po dzisiejszym spotkaniu mogłabym ją nawet uznać za miłą. Uwaga, Schmidt, zachowaj czujność rewolucjonisty! Wreszcie dojdzie do tego, że obie będziemy sobie ucinąć pogawędkę na naszym tarasie, mimo że przecież ona próbuje mi ukraść męża. Ale istnieją takie pokojowo nastawione natury, które, kierując się tylko dobrem dzieci, potrafią wszystko wybaczyć.

- Żołądek skręca mi się z głodu. Znów nic nie było na śniadanie - to pierwsze słowa, jakie słyszę z ust mojego męża w nowym miejscu pracy.

„Znów nic nie było na śniadanie!”. Zanim zdążyłam zdenerwować się adekwatnie do wymowy tego zdania, staje przede mną Christoph. Szczęka mu opada, co raczej nie dodaje mu atrakcyjności. I znów ma na sobie ten obrzydliwy pasiasty krawat. Miał go od rana? Nieee. Z całą pewnością nie, inaczej zwróciłabym na niego uwagę.

- Andrea, co ty tu robisz? - to jego pierwsza reakcja.

- Zająłam przemocą recepcję i czekam na okup - odpowiadam.

- Bardzo śmieszne - mówi tylko. - Pytam poważnie, co ty tutaj robisz?

- Zostałam przysłana z biura pracy i zastępuję recepcjonistkę. Gdybyś od czasu do czasu zapytał, co u mnie słyhać, nie byłbyś zaskoczony - daję jeszcze upust swojej uszczypliwości. Zdaję sobie sprawę, że ta uwaga zawiera obraźliwy podtekst, ale nie udało mi się ugryźć w język.

- A gdzie dzieci? - brzmi drugie pytanie.

- W domu dziecka, a gdzieżby indziej - odpowiadam niegrzecznie.

Wszystko przebiega inaczej, niż się spodziewałam. Myślałam, że kiedy Christoph mnie tutaj zobaczy, padnie mi w ramiona i powie: „Tylko ty! Jak mogłem być tak ślepy”. Albo coś podobnego. Uwaga o domu dziecka była może zbyt drastyczna. Chociaż Belle Michelle dosyć głośno chichocze, mam więc na koncie mały sukces. Informuję go, że dzieci są dokładnie tam, gdzie o tej porze powinny się znajdować - w przedszkolu i szkole. A gdzieżby indziej, w końcu nie ma ferii.

- A potem? - pyta Christoph.

- Potem ja odbieram jedno, a drugie przychodzi do domu na piechotę, jak zwykle zresztą. Będę tu przychodzić tylko na pół dnia, ale dzisiaj wyjątkowo twoja mama odbierze Marka - uspokajam zatroskanego ojca.

- To dobrze - na tym chyba koniec pytań, bo mój małżonek zwraca się z powrotem do Belle Michelle: - Możemy jechać.

Ona waha się - widać, że przynajmniej jej sytuacja wydaje się niezręczna. Mojemu mężowi mniej. On mówi tylko:

- To na razie. Jeśli będą do mnie telefony, przekaż, że wracam do biura za półtorej godziny. Cześć.

Belle Michelle rzuca w moją stronę spojrzenie, w którym da się dostrzec coś w rodzaju kobiecego współczucia. Żegna się i dodaje:

- Mam przy sobie komórki, jeśli byłoby coś pilnego.

Żadne z dwojga nie zamierza zapytać mnie, czy nie chciałabym im towarzyszyć. Nie pada nawet pytanie, czy mi czegoś nie przynieść. Mój mąż traktuje mnie jak personel administracyjny. Niezbyt przyjemne doświadczenie.

Najchętniej pobiegłabym za nim i wreszcie się z nim rozmówiła.

Daję jednak spokój. Lepiej będzie, jeśli załatwię to bez Belle Michelle przy jego boku. Zamiast tego dzwonię do Inge z prośbą, aby dłużej, niż planowałyśmy, zaopiekowała się dziś dziećmi. Zależy mi, żeby pojawić się na małej uroczystości Klary. Od dzisiaj skończyło się dla Christoph'a beztrudne i rozkoszne życie w kancelarii ze swoim misiaczkiem u boku.

Inge jest zachwycona.

- Ależ Andrea, oczywiście, bardzo chętnie. Mogą też tu spać, jeśli chcesz - proponuje.

Dziękuję za propozycję, ale odrzucam ofertę teściowej.

- Niezły bałagan był u was wczoraj - mówi po chwili Inge.

Zaczynam kojarzyć. Ten nienaganny porządek! Oczywiście, cały synecek mamusi. Wiedział, do kogo zwrócić się o pomoc, zresztą robił tak już wcześniej, wiele lat temu. Zadzwoił do mamy i zamówił sprzątaninę. Bo sam jest zbyt leniwy! Bezwstydny i bezczelny! Dziwię się, że Inge pozwala sobie na takie traktowanie. Moja matka na samą myśl, że miałyby u nas posprzątać, pękłaby ze śmiechu. Przepraszam Inge, dziękuję wylewnie i odkładam słuchawkę.

Do czasu przerwy obiadowej niewiele się dzieje, odbieram tylko dwa telefony do Langnera, w tym jeden od małżonki. Przepuszczam pocztę przez maszynę stemplującą, co nie jest zbyt absorbującym zajęciem, i rozmyślam. O sobie, mężu i życiu. Musi się coś wydarzyć. Dziś wieczorem wszystko wyjaśnię i wreszcie powiem, co mi leży na wątrobie. Dostaję SMS-a od Sabine. „Juhu - umówiłam się z Helmutem”. Trzymam za nią kciuki. Ja również dowiem się dziś wieczorem, na czym stoję.

Christoph i Belle Michelle wracają z przerwy obiadowej.

- Możemy porozmawiać dziś wieczorem? - proszę swojego męża.

Ten patrzy na mnie niepewnie i odpowiada:

- Chętnie. Kiedy tylko chcesz. Tak w ogóle dobrze ci w nowej fryzurze.

A cóż to się stało w czasie przerwy obiadowej? Czy Belle Michelle prawiała mu morały? Poradziła mu, żeby był dla mnie miłszy? A jeśli tak, to niby dlaczego? Może chce swoim przyjaznym zachowaniem uśpić moją czujność, a potem, bezbronną i nieprzygotowaną, znenacka zaatakować? Albo z jakiegoś powodu po wczorajszym wieczorze zrezygnowała z Christopha? Cała sprawa wydaje się coraz bardziej zawiła. Już się pogubiłam, kto jest po czyjej stronie i z kim należy walczyć. Czy Michelle przestała być moim wrogiem?

Po przerwie obiadowej dzieje się znacznie więcej. Nieustannie dzwonią klienci i uzgadniają terminy spotkań. Natomiast pani Langner, biorąc pod uwagę częstotliwość jej telefonów, powinna mieć gorącą linię do gabinetu męża. Ciekawe, co ci dwoje mają wciąż do omówienia. Około 14.30 - od pół godziny mam już wolne, ale w pierwszym dniu nie chcę być taka skrupulatna - przychodzi Klara i informuje, że zaczyna się impreza.

- Będą wszyscy oprócz Michelle - mówi bardzo podekscytowana.

- A dlaczego jej nie będzie? - pytam, nawet trochę rozczarowana, bo chciałam obejrzeć sobie męża w towarzystwie mojej rywalki.

- Langner i Michels muszą jeszcze pracować. Jakaś mocno tajemnicza i zawiła sprawa - informuje Klara i uśmiecha się do mnie. - Nie mam zamiaru płakać z tego powodu. Wręcz przeciwnie. Dla mnie może ich nie być - nie owija w bawełnę.

Przełączam telefon na automatyczne łączenie i pomagam jej trochę przy kanapkach.

I znowu frykadelki, ale dla odmiany tutaj nie muszę się rozbierać, żeby zjeść choć jedną. Oprócz Christopha, Klary i mnie są jeszcze: pani Trundel (z sekretariatu Christopha i Belle Michelle - ci dwoje mają wspólną sekretarkę), pani Ludwig (asystentka notariusza) i pani Pilscher (nie jak ta Rosamunde, ale przez sch!), wiedźma od Langnera. Kolega Christopha, Heinzmaier, jest na urlopie. Jako aplikantowi sądowemu nie przysługuje mu sekretarka. Widać od razu, że pani Pilscher ma w tym towarzystwie najwięcej do powiedzenia.

- Czasem potrafi nieźle zaleźć za skórę - szepcze mi Klara, moja nowa biurowa informatorka. - Ale ciebie nie tknie, bo jesteś panią Schmidt.

Szczęściara ze mnie! Pani Pilscher wyróżnia się, można powiedzieć, końską fizjonomią. Wysoka, szeroka, owłosiona, wzbudza lekki postrach. Do tego dorastała najwyraźniej w czasie, kiedy nie było jeszcze stałych aparatów ortodontycznych. Ma bowiem sterczące, wystające siekacze, które, niczym u królika Bugsa, stały się cechą charakterystyczną twarzy.

Christoph przedstawia mnie wszystkim koleżankom. Sympatyczny gest. Tak jakby między nami wszystko było w najlepszym porządku. Nie należy jednak brać tego za dobrą monetę. Mój mąż jest przecież adwokatem, a adwokaci dobrze wiedzą, jak rozegrać sytuację na swoją korzyść. Poza tym Christoph należy do mężczyzn, którzy za nic w świecie nie dabyli powodu do plotek na swój temat. Własny wizerunek ma dla niego ogromne znaczenie. „Sprawy prywatne powinny pozostać prywatnymi”, brzmi jego credo i tego zwykle się trzyma. Jeśli wszyscy by tak postępowali, życie nie byłoby zbyt ciekawe. Nie siać plotek - zachowanie bardzo chwalebne, ale mimo wszystko obrzydliwie nudne.

Pani Pilscher uosabia przeciwieństwo taktu oraz dyskrecji i namiętnie mnie wypytuje. Chce wiedzieć wszystko - zwłaszcza czy dzieci, biedne dzieci (dlaczego biedne - powinna przecież wiedzieć, że mój mąż raczej źle nie zarabia!), nie cierpią zbyt, kiedy ja, mamuśka (znów to słowo!), idę do pracy. Patrzy przy tym na mnie tak surowo, że czuję się wręcz zmuszona do usprawiedliwienia swego postępowania, ale tu wkracza do akcji Christoph.

- Pani Pilscher, jesteśmy nowoczesnym małżeństwem. Każdy ma prawo do pracy zawodowej. Dzieci na tym nie ucierpią. Ja przejmę więcej obowiązków w domu.

Pani Pilscher jest zdumiona. Ja nie mniej. Czy to mój mąż wypowiedział te słowa z tak wielkim przekonaniem? Belle Michelle widać dokonała cudu podczas przerwy obiadowej albo zrobiła mu coś w rodzaju prania mózgu. Wynik jest w każdym razie imponujący. Nawet pani Pilscher wydaje się pod wrażeniem i odchodzi w stronę okna.

Gawędzę z panią Trundel o tym i owym, gdy nagle rozmowę przerywa nam głośny krzyk. To wrzask Pilscherowej:

- Nie, to nieprawdopodobne, nie może być! Ależ tak, to Langner! A raczej jego tyłek!

Wszystkich ogarnia zdumienie. Pani Pilscher, wierna duszyczka Langnera, mówi o tyłku szefa. Przecież tak nie wypada! Jak tak można? Kobiecie, która wypowiada się raczej subtelnie, której język jest raczej dystyngowany i poprawny, nie przystoi używać słowa „tyłek”.

Nic dziwnego, że cała grupka rzuca się w stronę okna, aby przekonać się na własne oczy, co mogło tak wyprowadzić panią Pilscher z równowagi. Wszyscy widzimy jak na dłoni, co wzburzyło i zdenerwowało panią Pilscher. W szybie okna naprzeciwko, piętro niżej, gdzie przedpołudniami pocą się na zajęciach uczniowie ze szkoły zawodowej, odbija się wnętrze biura Langnera - ciemna żaluzja szkolnej klasy tylko potęguje doskonały efekt. To, co można tam zobaczyć, niewiele ma wspólnego ze standardową pracą w biurze. Półnagi mężczyzna z dużymi białymi pośladkami - można powiedzieć imponującymi - opiera się o swoje biurko, a coś pod nim porusza się rytmicznie. Po bujnej grzywie, jaka zwisa znad brzegu biurka, można od razu poznać, że może być to tylko Belle Michelle. Włosy, które rzucają się w oczy, mają jednak i swoje złe strony.

Myślę, że jestem jedyną z zebranych, którą cieszy ten widok. Dla mnie to dowód, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Christoph nie ma żadnego romansu z Belle Michelle. No już tak rozwiązała to chyba ona nie jest! Reakcja mojego męża również potwierdzałyby to przypuszczenie. Szczerzy zęby w uśmiechu, a przecież nie robiłby tego, gdyby jego kochanka zdradzała go z Langnerem.

Pani Trundel odpędza w końcu wszystkich od okna.

- Myślę, że widzieliśmy wystarczająco dużo. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wypić kieliszek szampana - mówi i jako pierwsza kieruje się w głąb gabinetu. Jak ci dwoje

mogli być tak głupi i nie spuścić żaluzji? Bardzo nieostrożne posunięcie. Z drugiej strony, pomieszczenia naprzeciwko są popołudniami puste i jeśli oboje mają taki sam poziom wiedzy z zakresu fizyki co ja, potrafię zrozumieć, że nie zwracali uwagi na żaluzje. Niesamowite, jakie fantastyczne zjawiska może tworzyć światło. Słoneczna pogoda ma też swoje minusy. Teraz już wiem, dlaczego żona Langnera wydzwania do kancelarii. Zżera ją zazdrość i czuje, że coś nie gra. W przeciwieństwie do mnie, ma podstawy, by coś podejrzewać.

Tymczasem wszyscy już wycofali się spod okna. Pani Pilscher nie może się uspokoić. Cała drży. Jej ciałem wstrząsają dreszcze.

- Od dwudziestu trzech lat pracuję dla niego. To skandal. Obrzydliwość. Jak ja będę mogła teraz rozmawiać z panią Langner? - mówi pod nosem.

Rozumiem ją, bo nikt nie chciałby zobaczyć swojego szefa gołego od pasa w dół, a tym bardziej z koleżanką z pracy. A może Pilscherowa od lat kocha się w Langnerze? Przecież często zdarzają się podobne historie. Atmosfera w pokoju jest ciężka. Każdy z obecnych zastanawia się nad tym, czego był właśnie świadkiem. Ja również. Podchodzę do Christoph'a.

- Moja piękna, moja piękna - mówi do mnie i patrzy pytająco.

Czy nie tak nazywał mnie Helmuth w swoich SMS-ach? Sądzę, że w ten sposób Christoph domaga się ode mnie wyjaśnień. Ciągnę go w kąt pokoju i zaczynam się tłumaczyć. Opowiadam mu, gdzie poznałam Helmutha i że między nami oczywiście nic nie było, a sam Helmuth zainteresował się Sabine.

- Myślałam, że ty masz romans z Belle Michelle - przyznaję się w końcu, na co on zdziwiony potrząsa przecząco głową.

- Owszem, podoba mi się, ale to chyba oczywiste, że nie miałbym u niej żadnych szans.

Miałam nadzieję na inną odpowiedź. Czy jego słów nie można zinterpretować w ten sposób: gdybym potrafił, spróbowałbym ją zdobyć? Wyjaśnienie tej kwestii będzie moim zadaniem na następne dni.

Odgłos kroków na schodach przerywa wszelkie rozmowy. Belle Michelle i Langner, jakby nigdy nic, wchodzi razem do pokoju na małą biurową uroczystość. Nie mają pojęcia, że o wszystkim wiemy. Atmosfera robi się gęsta, jedynie Klara nie może przestać chichotać.

Langner nic nie zauważa. Typowy szef. Ja od razu pomyślałabym sobie: ona na pewno śmieje się ze mnie! Mężczyźni tacy jak Langner nie przyjmują do wiadomości, że ktoś może się z nich śmiać. Dobry Boże, ależ to żalosne! W obliczu jego wyczynów moje wpadki z ostatnich dni wydają się śmieszne. Nikt nie jest w stanie wydusić z siebie słowa. Pani Pilscher patrzy na swojego szefa tak, jakby miała zamiar wymierzyć mu siarczysty policzek. Albo jeszcze chętniej samej Belle Michelle. W końcu Langner zabiera głos:

- Tak więc, droga Klaro, cieszymy się, że jest pani z nami, i mamy nadzieję, że nadal będziemy ze sobą współpracować. Atmosfera pracy w naszej kancelarii i wzajemne relacje są, można powiedzieć, jedyne w swoim rodzaju.

Po tym, co zobaczyliśmy, sformułowanie „jedyne w swoim rodzaju” nie wydaje się przesadzone i nabiera zupełnie nowego znaczenia. Następnie Langner częstuje się przy bufecie i gawędzi z panią Trundel i Christophem.

Belle Michelle podchodzi do mnie, gdy kręcę się przy kuchni.

- Wszyscy są jacyś dziwni. Co tu się stało? - pyta mnie.

I co teraz? Skłamać, wszystkiemu zaprzeczyć albo opowiedzieć jej, jakiego wspaniałego przedstawienia byliśmy świadkami.

- No więc - decyduję się jednak powiedzieć prawdę - widzieliśmy was.

Robię małą przerwę, aby poczekać na jej reakcję.

- Jak to? Kogo widzieliście? O co chodzi? - pyta i wydaje się trochę zbita z tropu. Skoro zaczęłam, nie ma już odwrotu.

- Widzieliśmy, jak ty i Langner, no wiesz, na biurku...

- Szlag by trafił - mówi tylko. - Cholera jasna!

Tak, nic dodać, nic ująć. Na jej miejscu nie wychodziłabym z toalety. Zamknęłabym się i odczekała, aż wszyscy pójdą do domu. Belle Michelle jest jednak inna.

Wzdycha i zaczyna mi się żalić. Langner nie chce odejść od żony. Jeszcze nie. Z powodu dzieci. Są już wprawdzie dorosłe, ale jego syn niedługo się żeni i ojciec chciałby odczekać przynajmniej do tego czasu. Oprócz tego nic już go z żoną nie łączy, oczywiście ona go nie rozumie. Nigdy nie sądziłabym, że taka kobieta jak Belle Michelle da się nabrać na takie rzeczy. Nie mogę ponadto zrozumieć, czego ktoś taki jak ona oczekuje od takiego starego pryka jak Langner? Tego rodzaju związki są dla mnie zawsze podejrzane. Rzekomo nie chodzi w nich o pieniądze, ani o prestiż. Ha, ha.

Ale: zaufanie za zaufanie. Opowiadam jej, że od tygodni byłam przeświadczona, że ona romansuje z Christophem. Pomysł ten znów wywołuje uśmiech na jej twarzy.

- Twój Christoph jest słodki, przyznaję. Ale ja, Andrea, mam ambicje. Nie jestem już taka młoda, żeby zaczynać od niczego. Jestem kobietą nastawioną na grubsze ryby.

Czy Belle Michelle nie obraziła właśnie mojego męża? Obojętne, najważniejsze, że go nie tknęła. Po tym jak zobaczyłam tyłek Langnera, na pewno nigdy nie wykażę zainteresowania grubymi rybami. Każdy ustanawia własne priorytety.

Kiedy wracamy do reszty towarzystwa, pani Pilscher właśnie wychodzi i mówi z przekąsem:

- Życzę wszystkim dobrej zabawy. Mnie już wystarczy.

Langner komentuje jej wyjście:

- Pani Pilscher jest dzisiaj w złym humorze. Jakaś zmieniona. Markotna. Tak, to na pewno menopauza. Znam te objawy bardzo dobrze. Kobiety w tym wieku!

Jego uwaga jest tak obrzydliwa, że właściwie ktoś powinien w tym momencie do niego podejść i powiedzieć mu, że jest jeszcze starszy, a jego prostata zapewne też miewała lepsze dni. Albo najzwyczajniej na niego napluć. Wariant z telefonem do żony też nie jest zły.

Mężczyźni w typie Langnera okazują się często żalonymi tchórzami i w obliczu zbliżającej się awantury szybko podkulają pod siebie zwykle bardzo aktywny ogon.

Nikt jednak nie reaguje. On jest tu przecież szefem. Tylko Belle Michelle podchodzi do niego. Powoli, przez cały pokój - niczym moderator prowadzący program publicystyczny do swojego rozmówcy.

Zanim dojdzie tutaj do drastycznych scen wieńczących przedstawienie, biorę pod pachę Christopha i żegnamy się z towarzystwem.

- Do jutra, pani Schmidt, cieszę się, że mogłem panią powitać na pokładzie - woła Langner i wtedy uświadamiam sobie, że począwszy od dzisiaj, jestem znów kobietą czynną zawodowo. Pierwszy dzień w pracy był bardzo pouczający.

- Do jutra i dziękuję, Klaro! - wołam do wszystkich, po czym wychodzimy.

Przed drzwiami do kancelarii pierwszy raz od dłuższego czasu całuję się z Christophem.

- Ciekawe, co dzieje się teraz tam na górze? - pyta mnie Christoph.

- Jutro się dowiemy - mówię, a on patrzy na mnie zdumiony.

- Chcesz tu jutro przyjść? - dopytuje się.

Jakby moje pojawienie się tutaj było tylko drobnym epizodem! Jeszcze nie pojął, że ja na poważnie chcę wrócić do pracy? To kolejna sprawa, którą w najbliższych dniach muszę wyjaśnić - zaraz obok kwestii „Startowałbym, gdybym miał u niej szansę” oraz pochodzenia tego obrzydliwego pasiastego krawata. Jednak wszystko po kolei. Szczerze mówiąc, jestem zadowolona, że zapanował pokój, chociaż najwyraźniej tylko powierzchowny. Być może zawarliśmy jedynie zawieszenie broni, ale ja i tak już czuję się szczęśliwa.

Jedziemy bezpośrednio do Inge i Rudiego odebrać dzieci. Teściowa cieszy się, że widzi nas razem, i wcale nie ma ochoty oddać nam Marka i Claudii.

- Zróbcie sobie miły wieczór, a ja jutro rano zawiozę je gdzie trzeba - proponuje nam.

Claudia opowiada rozradowana, że jej osobisty wróg Emil, syn naszej sąsiadki Tarmy, idzie do szkoły dla wybitnie uzdolnionych i że ona w związku z tym już po wakacjach definitywnie się od niego uwolni. Jak widać, nawet w tym wieku, pozbycie się niewłaściwego mężczyzny może radykalnie poprawić nastrój.

Mark, nasz syn, zachowuje się natomiast zaskakująco cicho.

- Czy coś się stało, kochanie? - pytam.

Mały oblewa się rumieńcem i potrząsa przecząco głową.

- Nie.

To wszystko, co udaje mi się z niego wydobyć. Podejrzane. Inge odciąga mnie na bok.

- Andrea, coś musiało się zdarzyć w przedszkolu. Wychowawczynie powiedziała mi, że musi z wami porozmawiać. Pilnie. Mnie nic nie chciała powiedzieć, wspomniała tylko, że tak dalej być nie może.

Byłoby zbyt pięknie, gdyby wszystko poszło dziś jak z płatka.

- Jeśli dacie radę, powinniście jeszcze dziś tam pojechać - dodaje Inge.

Nie brzmi to zbyt dobrze. Podchodzę do Marka i zaczynam małe przesłuchanie. On jednak się boczy i nie chce nic powiedzieć. Niech mu będzie. Do tej pory zazwyczaj udawało mi się wyciągać z niego całą prawdę.

- Musimy pojechać do przedszkola - oświadczam mężowi, a on mówi tylko:

- Jeśli uważasz, że trzeba.

Inge uznaje wiadomość o moim powrocie do pracy za wspaniałą.

- Cudownie, Andrea. Gratuluję. Naprawdę bardzo się cieszę.

Jednakże z zupełnie innych względów niż ja. Właściwie taka sytuacja nie odpowiada jej wyobrażeniu o idealnej rodzinie. Inge jest bowiem tradycjonalistką.

- Maluchy potrzebują matki. Po co rodzić dzieci, jeśli potem trzeba je odsunąć na boczny tor.

Ale w tym szczególnym wypadku popiera moje posunięcie.

- My możemy częściej i więcej opiekować się dziećmi - składa ofertę.

- Bardzo dziękuję, Inge - mówię i jestem jej naprawdę ogromnie wdzięczna.

Dyskusja z Inge o nowoczesnym modelu rodziny nigdy nic nie wnosi. Poddałam się już dawno. Rudi, mój teść, żegna mnie wyjątkowo mocnym uściskiem.

- Wszystko u was w porządku, Andrea? - pyta i patrzy mi w oczy.

- Tak, Rudi, lepiej niż kiedykolwiek - odpowiadam i po raz pierwszy od wielu dni nie kłamię w tej kwestii. Dzisiaj nastrój jest stokroć lepszy niż wczoraj czy przedwczoraj.

W drodze do domu wstępujemy na chwilę do przedszkola. Nie sędzę, żeby działo się coś dramatycznego, ale moja ciekawość została zbyt mocno rozbudzona, żeby czekać do jutra. Poza tym przyście krótko przed zamknięciem, kiedy wychowawczynie nie mają już ochoty na długą gadaninę, wydaje mi się sprytnym posunięciem.

Po drodze dzwoni moja komórka. To Birgit, moja siostra. Jeszcze tej mi brakowało.

- Co się dzieje, Andrea? Mama mówiła, że pokłóciliście się z Christophem? - bez ogródek przechodzi do sedna sprawy.

Jedno trzeba przyznać: cicha poczta rodzinna funkcjonuje bez zarzutu.

- Bzdura - mówię tylko. - Małe nieporozumienie. Przyjdziemy na grilla.

I przezornie nie pozwalam jej już dojść do słowa, bo kiedy ona zacznie trajkotać, można stracić cały dzień.

W przedszkolu już na nas czekają. Mark chce zostać w samochodzie. Wzbrania się uparcie i nie daje się nakłonić do wyjścia z auta. Interpretuję to jako przyznanie się do winy i zostawiam go w spokoju. Claudia, jego siostra, cieszy się sytuacją i spekuluje zawzięcie, jakiego występku mógł się dopuścić.

- Na pewno zbił kogoś na kwaśne jabłko - wymyśla.

Żeby nic nie stracić, chce naturalnie pójść razem z nami do wychowawczynie.

- Zostaniesz ze swoim bratem. Zaraz wracamy - postanawia Christoph i jak zawsze, kiedy tatuś coś powie, Claudia się podporządkowuje, chociaż czasami się krzywi.

Kierowniczka przedszkola wita nas osobiście.

- Państwo Schnidt, wreszcie. Zapraszam do siebie, do gabinetu.

- Co takiego się stało? - pytam, trochę zaniepokojona.

- Czy mają państwo problemy rodzinne? - odpowiada pytaniem na pytanie.

Patrzę na Christopha, on na mnie i jednogłośnie mówimy:

- Nie. Dlaczego?

Czy to było rozsądne? W zależności od tego, co nabroił nasz syn, moglibyśmy jego zachowanie wytłumaczyć naszą sytuacją rodzinną i w ten sposób próbować go usprawiedliwić. Za późno. Nie, znaczy nie. Czuję się jak na ławie oskarżonych, właśnie głos zabiera przedszkolny prokurator:

- Państwa syn, Mark, nasikał dzisiaj na zjeżdżalnię. Przy wszystkich dzieciach.

Patrzy na nas surowo i wyczekująco. A Christoph zaczyna się śmiać. Nie jest to reakcja, jakiej oczekiwała pani Schneider.

- Nie wiem, co w tym zabawnego? - gromi męża.

- Czy komuś się coś stało? - pytam ostrożnie, starając się zdusić uśmiech.

Mój syn obsikuje zjeżdżalnię! Co też mu przyszło do głowy?

- A dlaczego nasikał na zjeżdżalnię? - dopytuję się.

- Powinni państwo zapytać o to swojego syna! - nie bez racji odpowiada pani Schneider.

- Oczywiście, zapytamy - oznajmia szybko mój mąż i dodaje: - Miłego wieczoru.

Pani Schneider chrząka skonsternowana.

- Chwileczkę, nie tak szybko. Mama Desiree jest bardzo zbulwersowana. Desiree właśnie zjeżdżała w dół i całkiem zamoczyła sobie nową sukienkę.

Och, to rzeczywiście dramat. Czy ta pani nie ma pralki?

- Rzecz jasna, pokryjemy straty, ale teraz już musimy iść. - Christoph kończy tę żalną konwersację.

Pani Schneider nie jest usatysfakcjonowana tak szybkim przebiegiem rozmowy. Wiadać wyraźnie, że oczekiwała od nas większej skruchy.

- Będziemy musieli porozmawiać o tym na zebraniu rodziców - zapowiada, widząc kierującego się w stronę drzwi Christopha.

- Powinna pani pomyśleć też o poinformowaniu prasy - proponuje jeszcze mój mąż.

W tym momencie nie mogę już powstrzymać się od śmiechu. Pani Schneider na pożegnanie rzuca mi lodowate: „Do widzenia”.

Przy pomocy Christopha zyskałam sobie przyjaciółkę zapewne na całe życie.

W samochodzie mój mąż oświadcza:

- Czas na męską rozmowę. - I przesiada się do dzieci na tylnym siedzeniu.

Ja prowadzę auto. Mark ma spuszczoną głowę, gdy Christoph zaczyna mówić.

- Wiem, co się stało. Wiem, że nasikałeś na zjeżdżalnię. Powiedz mi tylko, dlaczego to zrobiłeś?

Po chwili milczenia Mark wyrzuca z siebie wreszcie:

- Bo ta Desiree była moją narzeczoną, a teraz jest narzeczoną Benny'ego.

Nie ma wątpliwości, że Mark jest moim nieodrodnym synem. Zazdrość najwyraźniej nie zależy od wieku.

Samochód mam pełen pasażerów, niestety, bak jest pusty. Zatrzymuję się przy swojej stacji benzynowej. Już z daleka kobieta przy kasie śle mi promienny uśmiech.

- Znów dostaliśmy pulsomierze. Mam jeden dla pani.

Czasami to trwa, ale w końcu dostajemy, co sobie wymarzyliśmy. A może lepiej chcieć tego, co ma się dostać. Może to stanowi rozwiązanie wszystkich problemów.

- Tylko że będzie mi pani musiała oddać plecak. Wtedy bez zbędnej biurokracji wymienimy prezenty!

Mój plecak na piknik? Wymienić na pulsomierz? Nigdy! Nie chciałam go, ale teraz nie mogę już się bez niego obejść. Czasami tak właśnie bywa. Odrzucam więc ofertę miłej kasjerki. Nie oddam go, ponieważ bardzo się do niego przyzwyczaiałam. Poza tym: czy w końcu plecak na piknik nie kojarzy się lepiej niż pulsomierz? Plecak jest - w szerokim sensie - symbolem relaksu, a takie urządzenie do mierzenia pulsu łączy się dla mnie z wysiłkiem. A kto dobrowolnie wybrałby wysiłek?

Kobieta przy kasie jest naburmuszona, a ja wracam zadowolona do samochodu. Cieszę się z plecaka, pogody i lekkości, z jaką odrzuciłam propozycję zamiany go na zegarek.

Dzisiaj wszystko dobrze się układa. Wszystko.

Ale jak mawiała Scarlett z *Przeminęło z wiatrem*: „Jutro jest przecież nowy dzień”.



TLR